PO GŁOSOWANIU NAD FUNDUSZEM ODBUDOWY

Kaczyński rządzi? – Ziemkiewicz o polskiej scenie politycznej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 19/424 10–16 MAJA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Marian Banaś kontra PiS

HISTORIA GESTÓW WŁADYSŁAWA KOZAKIEWICZA

Jak Izrael zwalcza chrześcijańskich misjonarzy

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

Śledztwo Łukasza Warzechy

WIELKIE ZIELONE OSZUSTWO

Pięć największych kłamstw fanatyków ocieplenia klimatu

Spisz się przez Internet i graj o nagrody w loterii!

Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań trwa od 1 kwietnia do 30 września 2021 r.

Nie czekaj do ostatniej chwili! Spisz się przez Internet i weź udział w loterii.

To proste:

1. Wejdź na stronę **spis.gov.pl** i spisz się w dogodnej dla siebie chwili.
2. Pobierz unikatowy kod uprawniający do udziału w loterii.
3. Zgłoś kod na stronie **loteria.spis.gov.pl.**

Przyjmowanie zgłoszeń do loterii trwa od 22 kwietnia do 7 lipca 2021 r.
Pamiętaj, że tylko spisanie się przez Internet daje możliwość wzięcia udziału w loterii!

Do wygrania karty przedpłacone o wartości 500 zł i 1000 zł oraz samochody osobowe

Losowania odbędą się w terminach:

07.05.2021 r. | 21.05.2021 r. | 08.06.2021 r. | 18.06.2021 r.

02.07.2021 r. | 09.07.2021 r. | 14.07.2021 r. ← **Finałowe losowanie samochodów!**

W finałowym losowaniu wezmą udział wszyscy, którzy zgłoszą się do loterii – nawet te osoby, które wygrały już wcześniej nagrody.

Zwiększ szansę na wygraną!

Im wcześniej spiszesz się przez Internet i zgłosisz do loterii, tym masz więcej szans na wygraną – będziesz uczestniczyć w większej liczbie losowań!

Regulamin i szczegóły dotyczące loterii dostępne na stronie **loteria.spis.gov.pl.**
Organizatorem loterii jest Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

Wejdź na spis.gov.pl, spisz się i daj sobie szansę na wygraną!

Liczymy się
DLA POLSKI!

GUS | Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021

eprasa.pl 254763f74e

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nie, dziękuję za paszport

Od lat polityka zdrowotna nie odgrywała takiej roli jak obecnie. Zagrożenie epidemią COVID-19 sprawiło, że niemal z dnia na dzień decyzje dotyczące zdrowia zyskały zupełnie niezwykłą rangę. Jak daleko mogą posunąć się władze w ograniczaniu praw i swobód obywatelskich jednostek, dążąc do ochrony całości społeczeństwa? Jak wielkie musi być zagrożenie dla zdrowia i bezpieczeństwa, żeby decydować się na ingerencję w sferę praw podstawowych?

W tym sporze o zakres ograniczeń nikt nie ma patentu na rację. Sytuacje nadzwyczajne mają to do siebie, że nikt ich wcześniej nie przewidział i dlatego tak trudno znaleźć dobre rozwiązanie. Trudno też odwoływać się do praktyki innych, skoro każdy rząd Unii, a szerzej – świata zachowuje się w walce z epidemią inaczej niż pozostałe. Ba, wystarczy wskazać, że nawet w jednym państwie, takim jak USA, różni gubernatorzy, np. Kalifornii i Florydy, dysponując takimi samymi danymi, podejmują skrajnie różne decyzje. Również w Europie widać ogromne różnice. Rząd węgierski choćby ogłosił, że dostęp do wielu podstawowych usług publicznych będzie wyłącznie dla zaszczepionych. Podobnie drastyczną decyzję przyjął rząd Holandii. Czy to rozsądne? Wątpię. Wprowadzenie w życie takiej zasady pociąga bowiem za sobą bardzo poważne konsekwencje. Po pierwsze, wymusza nieznany do tej pory wzrost kontroli władzy nad obywatelem. Skoro o dostępie do kin, szkół, a może sklepów ma decydować informacja o zaszczepieniu, to musi powstać instytucja kontrolna, która będzie sprawdzać prawdziwość danych. Pal sześć, gdyby to była jednorazowa informacja, ale łatwo zauważyć, ze względu na sezonowość choroby i jej mutacje, że raz wprowadzone reguły będą oznaczać coraz większe zacieśnienie wolności. Krótko mówiąc: kto poważnie chce paszportów szczepionkowych, czyli dokumentów uprawniających do korzystania z powszechnych usług, opowiada się za rozbudową systemu inwigilacji i dyscypliny. Po drugie, taka reguła wprowadzi system podziału społeczeństwa na lepszych (zaszczepionych) i gorszych (niezaszczepionych). Po trzecie wreszcie, można mieć ogromne wątpliwości co do praktycznych efektów takiego rozwiązania.

Rządy nie tylko różnią się co do konkretnej polityki wobec szczepień, lecz także w swojej ocenie szczepionek. Wspomniane Węgry na przykład stosują masowo szczepionkę rosyjską, którą wiele państw Unii odrzuca. Są państwa, które nie chcą używać szczepionek AstraZeneca, inne nie widzą w tym problemu. Jedne uważają, że preparat firmy Johnson & Johnson jest doskonały, inne, takie jak Dania, zakazują jego używania. A przecież trzeba zakładać, że wszyscy podejmujący decyzję o dopuszczalności lekarstwa mają podobnie dobrą wolę i podobną wiedzę. Dodatkowym problemem jest wiedza na temat gigantycznych zysków firm produkujących poszczególne preparaty. Jeśli w ich interesie jest sprzedaż maksymalnej liczby dawek, to czy można mieć pewność, że dysponujemy na temat ich skuteczności pewnymi, rzetelnymi i niebudzącymi wątpliwości informacjami? Czy też, w pewnej mierze przynajmniej, ulegamy zmasowanej akcji marketingowej? Biorąc pod uwagę osobliwe zachowanie większości mediów, które zachowują się, jakby za wszelką cenę chciały wywołać panikę, to wszystko pytania oczywiste.

W takich momentach niejasności tym ważniejsze jest zachowanie ostrożności, zimnej krwi i roztropności – postawy, które od początku próbuje wspierać tygodnik „Do Rzeczy". Dlatego dopuszczamy na naszych łamach różne głosy, często – wydawałoby się – kontrowersyjne. Wierzymy w wartość debaty. Uważamy, że lepiej przekonywać i tłumaczyć, niż nakazywać. Tym bardziej musi cieszyć, że podobną ostrożność w stosunku do różnych pomysłów ograniczeń wobec osób niezaszczepionych zdaje się zachowywać obecny minister zdrowia Adam Niedzielski. W wywiadzie dla specjalnego dodatku „Wizjonerzy zdrowia" mówi: „Mam co do tego [paszportów szczepionkowych] wątpliwości, ponieważ tego typu zasady dotyczą sfery wolności człowieka. Uważam, że nie można z jednej strony stwarzać wrażenia, że szczepienia są dobrowolne, a z drugiej tak ograniczać sferę możliwości wyboru. Staramy się przekonywać, chcemy, żeby decyzja o szczepieniu była dobrowolna. Na razie nie ma takiego myślenia, żeby miały być tworzone jakieś specjalne »strefy« czy »zestaw uprawnień« dla osób zaszczepionych". W dzisiejszej sytuacji powszechnej paniki to przejaw zdrowego rozsądku. Trzeba mieć nadzieję, że ta postawa nie ulegnie zmianie. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 254763f74e

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
KLIMATYZM OBNAŻONY
Nauka przeczy klimatystom

KRAJ

20 ROZMOWA Z JANEM MARIĄ JACKOWSKIM
POLSKI MOMENT HAMILTONOWSKI
Prędzej czy później trzeba będzie zapłacić

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KACZYŃSKI: WIELKI TRIUMF TAKTYKI

26 KAMILA BARANOWSKA
KONTROLNA WOJNA PODJAZDOWA

30 MACIEJ PIECZYŃSKI
ANDRZEJ SOŚNIERZ – PRAWICOWIEC UGODOWY

32 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
NIEPOKORNA TOPOLÓWKA

34 TOMASZ ROWIŃSKI
SĄ SYMPTOMY OCZYSZCZANIA SIĘ KOŚCIOŁA

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POLIZAĆ YOUTUBERA

KULTURA

38 WIESŁAW CHEŁMINIAK
PRAWDA I NATURA
Wystawa prac Kotsisa

42 PIOTR GOCIEK
SEKS, CZYLI WSZYSTKO?

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 ROZMOWA Z DR. KAROLEM NAWROCKIM
PRAWDA NIE OBRONI SIĘ SAMA
IPN, czyli sztuka opowiadania historii Polski

52 TOMASZ CUKIERNIK
NADMIAROWE ZGONY POLAKÓW

54 PRZEMYSŁAW ZAŁUSKA
OPUSTOSZAŁE PIEKŁO KOREI

HISTORIA

56 ANNA MANDRELA
PATRON NA CZASY KRYZYSU?
Duchowość i postawa rtm. Witolda Pileckiego

60 ROZMOWA Z KSAWERYM SZCZEPANIKIEM
GESTY KOZAKIEWICZA

ŚWIAT

62 PIOTR WŁOCZYK
ZAKAZ NAWRACANIA
Między chrześcijaństwem a judaizmem

66 ROZMOWA Z PEDREM F. BARBADILLO
PRZEWROTNA PAMIĘĆ LEWICY

68 MARIA KĄDZIELSKA
INWIGILACJA PO CHIŃSKU

70 JOANNA BOJAŃCZYK
BILL I MELINDA

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
START PO ZYSKI NA NIEBIE
Głód podróży po pandemii

76 JAKUB WOZINSKI
PODDUSZANIE ZA POMOCĄ EURO

STYL

88 RADOSŁAW WOJTAS
BIZNES NA RATUNEK
Zabytki w prywatnych rękach

90 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM W. LASECKIM
URATOWAŁEM ZAMEK KRÓLEWSKI

O ZDROWIU

92 ROZMOWA Z DR. N. MED. PIOTREM GASTOŁEM
UROLODZY WALCZĄ O... CEWNIKI
Zapobiec powikłaniom i cierpieniu dzieci

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (59), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (78), KOMUDA (94), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 254763f74e

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Zapraszając do przesyłania korespondencji, przypominamy, by pocztę elektroniczną do rubryki „Listy" kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Komuniści a święto 3 Maja

W ciągu ostatnich 30 lat w polskiej publicystyce ukazało się wiele artykułów i opracowań opisujących działania władz komunistycznych, mające na celu utrudnianie, a nawet brutalne pacyfikowanie obchodów święta 3 Maja. Zabrakło natomiast jednoznacznej odpowiedzi na pytania: Dlaczego tak się działo? Dlaczego komuniści przez wiele lat konsekwentnie nie godzili się na obchodzenie tego święta? Tymczasem odpowiedź jest bardzo prosta i jeśli dotychczas nie pojawiała się w piśmiennictwie (w tym również w poważnych opracowaniach historycznych), to wynika to przede wszystkim z serwilizmu osób zajmujących się tą sprawą. Spróbujmy więc na zasygnalizowany problem spojrzeć trochę szerzej.

1. Przewrót bolszewicki, aczkolwiek obalił rządy cara, nie zmienił myślenia geopolitycznego jego następców – Lenina, Stalina, Trockiego i kolejnych władców ZSRS, w tym również obecnego prezydenta Rosji W. Putina. Wszyscy oni byli zwolennikami imperialnej Rosji oraz kontynuatorami imperialnej polityki Piotra I, Katarzyny II i ich następców.

2. Uwzględniając powyższe, konstytucja trzeciomajowa jako ustawa mająca wzmocnić państwo i zachować jego integralną całość była całkowicie sprzeczna z intencjami ościennych mocarstw, w tym przede wszystkim carskiej Rosji. Kontynuacją tego myślenia była doktryna polityczna bolszewików, niegodzących się, podobnie jak carska Rosja, na istnienie niezależnego Państwa Polskiego i uważających, że miejsce dla narodu polskiego jest jedynie w ZSRS – „starszym i mądrzejszym bracie" wszystkich Słowian.

3. Jeśli przedstawiony wywód jest słuszny (a trudno mu według mnie zarzucić brak logiki), to jego konsekwencją jest stwierdzenie, że wszyscy kolejni władcy PRL – Bierut, Gomułka, Gierek, Kania i gen. Jaruzelski, którzy pamięć o Konstytucji 3 maja tępili, nie mieli nic wspólnego z polskością i polskim patriotyzmem i nigdy nie reprezentowali polskiej racji stanu. Wręcz przeciwnie – byli wiernymi realizatorami polityki obcego, wrogiego polskiemu narodowi mocarstwa.

4. W cywilizowanym świecie takich ludzi nazywa się renegatami (są również określenia znacznie bardziej wyraziste, których ze względu na chrześcijańskie miłosierdzie nie używam). W Polsce nawet po 30 latach niepodległości w podręcznikach szkolnych, w publicystyce i licznych opracowaniach historycznych słowa „renegat" brakuje, a używanie w stosunku do wymienionych powyżej postaci i ich wiernych akolitów (zazwyczaj członków PZPR) określenia „patrioci" jest coraz częstsze.

5. Chciałbym, aby 230. rocznica uchwalenia Konstytucji 3 maja uświadomiła wszystkim, dla których troska o dobro kraju jest wartością najwyższą, potrzebę zmiany powyższej narracji. Jeśli w debacie publicznej zabraknie prawdy, to nasze wnuki będą się uczyły, że obok Józefa Piłsudskiego, Władysława Sikorskiego, Władysława Andersa, Stanisława Mikołajczyka, prymasa kardynała Wyszyńskiego oraz Ojca Świętego Jana Pawła II „wybitnymi" polskimi patriotami, dobrze służącymi sprawom ojczyzny, byli Marceli Nowotko, Róża Luksemburg, Wojciech Jaruzelski, Czesław Kiszczak i ich, na szczęście niezbyt liczni, ale bardzo aktywni, spadkobiercy.

Wojciech Starzyński
3 maja 2021 r.

„Głosiciele złej nowiny", Paweł Chmielewski, „DRz" 18/2021

[...] Biskup Innsbrucka nie nosi tytułu prymasa Germanii. Jeśli już, to arcybiskup Salzburga.

Pozdrawiam serdecznie
ks. Adam Romejko

Od autora

Oczywiście to słuszna korekta. Kilka linijek niżej w tekście występuje arcybiskup Salzburga Franz Lackner i to właśnie do niego powinno odnosić się zdanie dotyczące prymatu Germanii. Za pomyłkę przepraszam.

Paweł Chmielewski

Uzupełnienie

Autor tekstu „Spotkania na szczycie" („Do Rzeczy" nr 18/2021) dr hab. Rafał Łatka jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

Redakcja

eprasa.pl 254763f74e

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Narodziny „mniejszego zła”

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Dzień referendum [30 czerwca 1946 r. – przyp. red.] był dniem nacisków władz na jawne głosowanie w zwartych grupach z demonstracyjnym okazywaniem poparcia dla bloku demokratycznego. Władze ogłosiły swoje zwycięstwo, twierdząc, że na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało 68 proc., na drugie „tak” odpowiedziało 77,2 proc., a na trzecie twierdzącej odpowiedzi miało udzielić 91,4 proc. Skala fałszerstwa była szokująca nawet dla ludzi, którzy spodziewali się po komunistach wszystkiego najgorszego. Leszek Moczulski, który miał wówczas 16 lat, wspomina: „O ile [...] po przeżyciach wojennych było dla mnie jasne, że ludzie są zdolni do gwałtu czy zabójstwa, o tyle nie przychodziło mi do głowy, że można sfałszować wynik ogólnonarodowego głosowania”.

Do tzw. zabezpieczania referendum skierowano m.in. oddziały LWP pod wodzą Wojciecha Jaruzelskiego, co faktycznie oznaczało zazwyczaj nadzorowanie i uzupełnianie akcji terroru UB. Wiele mówi fakt, że na dwa tygodnie przed głosowaniem wyszedł z pułku Jaruzelskiego wniosek na stopień kapitana, który wszedł w życie 22 lipca 1946 r. Obrońcy Jaruzelskiego twierdzą, że była to nagroda za walki z oddziałami UPA. Ale wręczony mu 22 lipca 1946 r. awans musiał jawić się jako nagroda za niedawną pomoc w fałszowaniu referendum.

Jakie były prawdziwe wyniki referendum? Sześć dni po głosowaniu, 5 lipca 1946 r., Stefan Korboński pisał: „Orientujemy się już na ogół, jak wypadło głosowanie ludowe. Według naszych obliczeń, opartych na danych dostarczonych przez członków komisji głosowania, PSL-owców lub sympatyków, z więcej niż dwóch tysięcy obwodów – na pierwsze pytanie głosowało »nie« 83,54 proc. Naturalnie wyniki są inne: na pierwsze – »nie« 32 proc. [dokładnie 31,8 proc. – przyp. aut.], a »tak« 68 proc. Sfałszowano prawdziwy rezultat bez ceremonii [...]”.

Całkowicie jawne i bezczelne sfałszowanie referendum miało dla nastrojów Polaków to samo znaczenie co kryzys bydgoski w czasach Solidarności. W obu wypadkach komunistyczna władza pokazała, że dysponuje wystarczającą siłą, by kpić sobie z wolnościowej mobilizacji społeczeństwa. Po klęsce referendum zaczęły się pierwsze odejścia z PSL lub też w szeregi ludowców wkradała się bierność. Te nastroje natychmiast wychwyciła władza i jeszcze mocniej rozwinęła akcję prowokacji. W Krajowej Radzie Narodowej komuniści już jawnie grozili PSL-owcom siłową rozprawą. [...]

Budzi smutną zadumę, że [...] komuniści nawzajem motywowali się do sfałszowania wyborów, głosząc teorię wyboru „mniejszego zła”, którą potem będzie posługiwał się Wojciech Jaruzelski. Ambasador USA Arthur Bliss Lane notował: „Rządowi komuniści przyznawali swoim przyjaciołom, że obecny rząd upadnie, jeśli odbędą się uczciwe wybory. W takim przypadku Rosjanie wkroczyliby i opanowali kraj. Polscy komuniści uważali, że są usprawiedliwieni w stosowaniu wszelkich metod utrzymania się przy władzy”. ©℗

FOT. MAJ. ROBERT FELLINGHAM/U.S. ARMY PHOTO

WIELKIE ĆWICZENIA OBRONY EUROPY

Ponad 30 tys. żołnierzy z 26 państw i ponad 1,3 tys. jednostek sprzętu bierze udział w rozpoczętych w ubiegłym tygodniu wielkich ćwiczeniach DEFENDER-Europe 21. Wojskowe manewry prowadzone jednocześnie na 30 poligonach w 14 krajach południowej Europy potrwają aż do czerwca. W ćwiczeniach sprawdzających umiejętność współpracy pomiędzy państwami NATO biorą również udział kilkuset polskich żołnierzy z 6. Brygady Powietrznodesantowej oraz oficerowie z 11. Dywizji Zmechanizownej. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 254763f74e

PGNiG
marka godna zaufania

Odpowiedzialność, wiarygodność, partnerstwo i jakość to filary naszego działania. Jesteśmy dumni, że świadczone przez nas usługi zostały docenione przez polskich przedsiębiorców, którzy przyznali nam tytuł Marki Godnej Zaufania. Dziękujemy za to zaszczytne wyróżnienie!

MARKA GODNA ZAUFANIA 2021
MY COMPANY POLSKA

eprasa.pl 254763f74e

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Opera żebracza

W szwedzkim dzienniku „Dagens Nyheter" ukazał się, w formie całostronicowej reklamy, płomienny apel Adama Michnika o ratowanie w Polsce „wolnych mediów" przez wpłacanie datków na „Gazetę Wyborczą". Mniejsza o szczegóły – treść apelu to kondensat wszystkich propagandowych bredni, jakie „opozycja totalna" od sześciu lat upowszechnia na temat Polski, rządzonej rzekomo przez „totalitarny reżim". Jedynym oryginalnym elementem jest porównanie „ataku rządu PiS na wolne media" (chodzi o próbę wprowadzenia podatku od reklam) do ataku zwolenników Trumpa na Kapitol. Proszę mnie nie pytać, jakiego iunctim Michnik się tu zdołał dopatrzyć.

Pamięć, gdy się o tym dowiedziałem, przeniosła mnie o 30 lat, do pionierskich czasów prawicowych bieda-pisemek lat 90. Duszonych monopolistyczną dystrybucją Ruchu (numer „Najwyższego Czasu!" z „listą Macierewicza" w ogóle nie wyszedł na kioski, w rozliczeniu Ruch wykazał ponad 80 proc. zwrotów), bojkotem powiązanych z władzą reklamodawców, pozbawionych kapitału (wydawało się pierwszy numer, czekało miesiącami na spływ pieniędzy i dopiero wydawało się następny), niszczone po bandycku „ostrzeganiem" zagranicznych inwestorów („Spotkania", telewizja RTL7). Pamiętam ówczesnych butnych, rozrechotanych fagasów Michnika, ustawionych przez Okrągły Stół monopolami, gangsterskim rozdaniem „tymczasowych" koncesji i przejęciem PRL-owskiego „RSW", których ulubionym szyderstwem było wtedy: prawica po prostu nie radzi sobie na wolnym rynku! Wolny rynek mówi prawdę!

Poniekąd – gdy rzeczywiście pojawiły się w mediach zaczątki wolnego rynku, pozycja pupilków Magdalenki osłabła. Chociaż przewagą, zdobytą przez kilkanaście lat oligopolu, i tak dawała im uprzywilejowaną pozycję. Większość liberalno-lewicowych mediów, wykorzystując tę przewagę umiejętnie, wciąż zarabia tu wielką kasę, choć już dla zagranicznych korporacji. Gazeta Michnika do nich nie należy – na wolnym rynku, bez państwowych pieniędzy, zdycha i brzydko żebrze, próbując naciągnąć naiwnych Szwedów i oczerniając Polskę. Nie współczuję. ©℗

OD POCZĄTKU

Abdykacja – bez kompromisu

MAREK JUREK

Nie wiem, co w czasie ratyfikacji przyznawania Unii Europejskiej prawa do zadłużania Polski było najbardziej żenujące. Licytacja między PiS a PO, kto Unię bardziej kocha? Zarzucanie sobie nawzajem przez obie partie, które wspólnie przeforsowały traktat lizboński, dążenia do polexitu? Demonstracja, że mamy „silne państwo" w postaci niedopuszczenia ministra Ziobry do głosu? Pogwałcenie prawa parlamentarnego, które ministrom zawsze gwarantuje prawo głosu w Sejmie? Czy wreszcie zlekceważenie art. 90 konstytucji, który zwykłej większości sejmowej odmawia prawa do cesji suwerennych kompetencji państwa za granicę? Wszystko to już było, ale zebrane razem ciągle robi wrażenie.

Nieraz słyszę, że w polityce potrzebne są kompromisy, inna rzecz, że na ogół od ludzi, którzy ustępując – nie mają odwagi domagać się żadnego kompromisu. Skoro między władzami RP a władzami UE spraw spornych nie brakuje, warto teraz zapytać, co nasze władze uzyskały w zamian za przyznanie Unii prawa do suwerennego zaciągania długów na rachunek państw. Jakie ustępstwa w innych dziedzinach władze Unii poczyniły? W takich sytuacjach dostaje się czasem tylko zapewnienia i słowa. Później przynajmniej można je przypominać. Ale my nie dostaliśmy nawet słów. Choćby deklaracji przewodniczących von der Leyen i Michela, że dla władz Unii jest oczywiste, iż każde z jej państw może przyjąć albo odrzucić konwencję stambulską. Z wyraźnym potwierdzeniem, że to kompetencje państw, a nie Parlamentu Europejskiego, który – w tym zakresie – nie ma żadnych. Potwierdzenie nadużyć kompetencji przez PE to byłoby już coś, również w ważnych dla rządu kwestiach „praworządności". Jednak aby zabiegać choćby o taką deklarację, trzeba traktować wartości i interesy Rzeczypospolitej przynajmniej tak samo jak własne interesy wyborcze. Niestety, to te ostatnie urosły ostatnio do rangi ostatecznego wymiaru rzeczywistości. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O skradzionym pocałunku

Po ponad roku lockdownu otworzył się wreszcie Disneyland w Kalifornii. Przygotowano dla dzieci nową, pełną wspaniałych efektów podróż po krainie baśni, jak dawniej nawiązującą w tytule i treści do „Królewny Śnieżki". Realizatorzy projektu kompletnie jednak zlekceważyli najnowsze, wiekopomne zdobycze postępowej myśli społecznej i pedagogicznej.

W bajce, jak wiecie, książę całuje królewnę, budząc ją z klątwy letargu rzuconej przez złą macochę. I wyobraźcie sobie, że scenę pocałunku, jakby nigdy nic, dalej pokazują w Disneylandzie! A przecież już cztery lata temu pani profesor socjologii i teorii genderowych na uniwersytecie w Osace, Kazue Muta, stwierdziła, że jeśli racjonalnie pomyśleć o „Królewnie Śnieżce" czy „Śpiącej Królewnie", to opisują one seksualną napaść księcia na bezbronną, bo śpiącą, królewnę, a co za tym idzie, „te bajki są promocją przemocy seksualnej i chciałabym, żeby każdy był tego świadom".

Nic więc dziwnego, że Katie Dowd, naczelna „SFGate", po wycieczce do Disneylandu nie posiadała się z oburzenia. „Przecież już ustaliliśmy, że głównym problemem wczesnych filmów Disneya jest kwestia braku zgody królewny na pocałunek. Jak uzgodniliśmy, uczenie dzieci, że pocałunek, gdy jedna ze stron nie wyraża zgody, nie jest OK. Ciężko pojąć, dlaczego Disneyland w 2021 r. zdecydował się na scenę, która jest wyrazem staroświeckich poglądów na temat tego, co mężczyzna może uczynić kobiecie". Pani redaktor nie może pojąć, dlaczego Disneyland nie poszedł z duchem czasu i nie wymyślił nowego zakończenia.

Włoski dziennik „Libero" w odpowiedzi na te rojenia podniósł alarm, że postępowcy wolą królewnę martwą niż pocałowaną. Todd Piro, dziennikarz Fox News, wyraził obawy, że zideologizowane niewiasty niebawem wyjmą spod prawa zabieg sztucznego oddychania metodą usta-usta bez zgody nieprzytomnego poszkodowanego, a zwłaszcza poszkodowanej.

Jest wiosna. Znów wszystko kwitnie, a najpiękniej głupota w Kalifornii. Uważajcie na siebie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

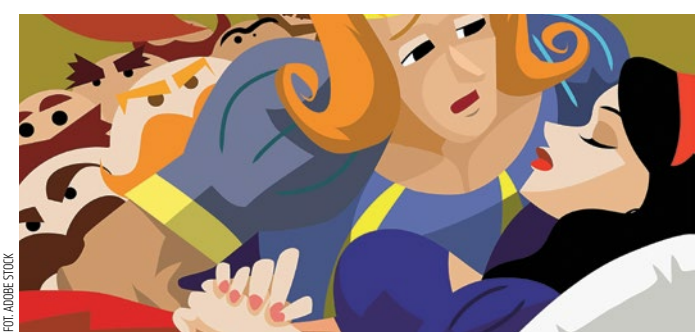

FOT. ADOBE STOCK

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Intelekt i pryszcze

Bo co jest najważniejsze? Marzenia, marzenia są, proszę Państwa, najważniejsze. A potem? A potem, proszę Państwa, pomysł, no i Twitter. Marzenia miała mianowicie twitterowiczanka Hanna Zagulska, znana jako lewicowa aktywistka. Osobiście nie lubię określeń „aktywista" czy „aktywistka", bo każdy wtedy myśli, że to pewnie straszny leń. Więc ta aktywistka miała marzenie, żeby mieć nowy komputer. Ponieważ aktywistki nie są znane przede wszystkim z pracowitości, więc nie miała akurat Zagulska Hanna pomysłu, żeby pracować. Miała natomiast pomysł, żeby pieniądze dali jej inni ludzie, twitterowiczanie. I tu, w zależności od naszego stosunku do świata i bliźnich, nazywamy ich szczodrymi bliźnimi lub dętymi frajerami. Niemniej, pani Hanna Zagulska odniosła sukces i pokazała, że sobie przyniosła do domu komputer z marzeń i zbiórki czy tam z żebractwa. I ludzie się ucieszyli lub wkurzyli, w zależności od stosunku, jak już pisałem. Obiektywnie jednak komp jest i jest realny. I w ogóle brawo.

Właśnie przy tej okazji ludowi twitterowemu przypomniała się inna aktywistka twitterowa, ale także lewicowa, pani Maja Staśko, która swego czasu wypomniała Robertowi Lewandowskiemu, że miał u prezydenta Dudy zegarek wartości podobno mieszkania. Generalnie na TT była z okazji tej asocjacji, także w kontekście Hanny Komputerowianki, napaść na lewicę. Że jak się żebraczy na kompa, to jest bardzo OK, a jak się zarobi na zegarek ciężkim talentem z pracą, to nie jest OK. Ludzie byli bardzo nieprzyjemni dla tych dwóch pań, czego bynajmniej nie pochwalam.

A skoro się wspomniało panią Maję Staśko, to wspomnieć trzeba i Justynę Klimasarę, też lewica. Otóż nie uwierzą Państwo, ale tak było! Pani Justyna zasugerowała na TT, że piersi pani Mai to pryszcze. No i pal diabli prawdę obiektywną, lewica zdecydowanie tej prawdy się wystrzegała, jakby wzbraniała się przed kategoryczną oceną, całą dyskusję przekierowując na wygięte tory, że czemu Justyna postrzega inną osobę przez pryzmat wyglądu. Bardzo to jest słuszne stanowisko lewicy, bo w historii świata nikt nigdy nikogo nie postrzegał i nie postrzega przez pryzmat wyglądu, a na przykład faceci to w ogóle nie zwracają uwagi na piersi wcale. Rzeczą, na którą zawsze patrzą faceci przy pierwszym zerku, to jest, proszę Państwa, intelekt. Faceci lubią u kobiet taki spory, jędrny, kształtny intelekt. Tak, tak, intelekt. Jak bune dune! ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl

eprasa.pl 254763f74e

FOT. PAWEŁ GROMADA

AUTORKA MEMÓW

Ten tydzień należał do Kingi Rusin, która co prawda przebywa na Malediwach, ale robi wszystko, byśmy w Polsce o niej nie zapomnieli. I jest bardzo skuteczna! Kinga wyspecjalizowała się w komentarzach politycznych, które okrasza swoimi pięknymi fotkami ze słonecznych plaż. Ostatnio wypowiedziała się na temat ratyfikacji Funduszu Odbudowy i skrytykowała część opozycji (Lewicę konkretnie) za głosowanie razem z PiS. – Tańce na grobie Konstytucji i Krajowy Program Odbudowy (KPO), czyli nie dajmy się oszukać PiS-owi! – zaczęła swoją odezwę. – Politycy opozycji, nie wierzcie PiS-owi! Pamiętajcie, kto co naprawdę robił w przeszłości, i nie dajcie się zwieść sprytnym, zakłamanym, pisowskim aktorom, którzy trąbiąc o odbudowie, chcą zapewnić sobie władzę i dostęp do koryta na następne długie lata. Wszyscy chcemy tych pieniędzy dla Polski, ale głosujcie za Krajowym Programem Odbudowy (KPO) tylko wtedy, gdy PiS zgodzi się na zabezpieczenia dla demokracji, praworządności, praw człowieka, praw kobiet, praw mniejszości! – grzmiała w swoim wpisie. – To jest możliwe! Odsuńcie głosowanie. Wyszarpcie to tak, jak Solidarność wyszarpała od omunistów Porozumienia Sierpniowe w 1980 roku – pouczała opozycję.

Celem dodania wiarygodności do manifestu dołączyła swoje zdjęcie, a na nim: Malediwy, piękna plaża, rozpromieniona Kinga i konstytucja. Nas przekonała.

WSZYSTKIE WOJNY KINGI

Zdjęcie-mem Kingi szybko stało się hitem Internetu i skomentował je nawet działacz społeczny Jan Śpiewak. „Celebrytka-milionerka Kinga Rusin poucza nas, jak żyć, z »wygnania« na Malediwach. To stały mechanizm na Instagramie. Oderwani od rzeczywistości celebryci-bogacze uczą nas, robaków, co mamy myśleć i jak mamy żyć. Dlaczego jakiś pusty typ i laska, którzy w życiu nic nie przeżyli, nic nie zaryzykowali, zawsze płynęli z prądem, mają pozycję, żeby czegoś nas nauczać?" – pyta Śpiewak. Wiadomo było, że Kinga musi zareagować. I tak też się stało. Kinga nie kryła oburzenia, że ktoś odmawia jej prawa do wypowiadania się na tematy polityczne! – Wyraźnie temu socjalistycznemu radykałowi przeszkadza, że jestem przedsiębiorcą produkującym w Polsce i płacącym w Polsce podatki. A w dodatku, o zgrozo, dzielę się majątkiem z potrzebującymi! Próbuje pogardliwie wrzucić mnie do grona „instagramowych influenserek", które rzekomo mówią ludziom, „jak żyć" – odgryza się Rusin. Biedna Kinga, siedzi na tych Malediwach, co drugi dzień pisze te swoje polityczne manifesty, ryzykując, że iPhone pobrudzi jej się piaskiem, a opalenizna nie będzie równomierna, a niewdzięczny plebs jeszcze się czepia. Jak żyć?

TAKIE TAM KLIMATY

Edyta Pazura, żona Cezarego, została zapytana na Instagramie przez jednego z fanów, czy przyjaźni się z innymi gwiazdami, a konkretnie z małżeństwem Rubików. Odpowiedziała, że nie. – W ogóle mamy taką zasadę od pewnego

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

czasu, że nie utrzymujemy bliższych kontaktów z osobami z show-biznesu. Nasze przyjaźnie i znajomości są spoza tego kręgu. I tego się trzymamy. Za dużo plot, aferek i ogólnie nie nasze klimaty – wyjaśniła. Czyli generalnie jak cały show-biznes. A od niego jakoś nie stronią. Dziwne.

PIĘKNA NIE DO POZNANIA

Tymczasem celebrytka Blanka Lipińska, ta od powieści erotycznej, na podstawie której nakręcono najgorszy film wszech czasów, pochwaliła się, że była u pani makijażystki, która tak ją upiększyła, że nawet ona sama siebie nie poznała. – Madzia jest jedyną osobą, która jest w stanie mnie pomalować tak, że sama siebie nie poznaję. Po prostu wreszcie jestem ładna, no umówmy się – wyznała Blanka. – Uwielbiam tak wyglądać, bo nie wyglądam jak ja – przyznała jeszcze. Pewnie po cichu liczyła na to, że fani i fanki ruszą z zapewnieniami, że na co dzień Blanka też jest piękna. Cóż. Nie ruszyli. Przykra sprawa w sumie. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż lewicowa aktywistka właśnie uzbierała kasę na skromnego iMaca do pracy, pomyśleliśmy, że to przecież w sumie całkiem niegłupie i może my też tak powinniśmy zrobić.

Na początek chcielibyśmy ogłosić zbiórkę na pojazd, którym moglibyśmy eksplorować przestrzeń miejską w poszukiwaniu nierówności i dyskryminacji, ale że wiosen jest negatywnie ciepły, to wolelibyśmy jakąś ekologiczną teslę. A ponieważ nie dysponujemy garażem, to przydałoby się miejsce postojowe na parkingu podziemnym.

A skoro już miejsce postojowe, to może i od razu też apartament, iżbyśmy mogli nasz aktywizm social mediowy praktykować w przyjaznym środowisku, które zapewni nam work-life balance. Wiecie, jak niezdrowo jest pracować z sypialni?

Of kors to powyżej tylko na początek, iżbyśmy się mogli później spokojnie zastanowić, na co zorganizować kolejną, już porządną zbiórkę.

Słyszeliście, iż rozwiązania tegorocznej matury z matematyki pojawiły się w Internecie wcześnie rano w dniu egzaminu?

Iż jesteśmy przewrotni, zapytamy: Dlaczego tak późno? I dlaczego jakimiś nieoficjalnymi kanałami?

Od lat powtarzamy jak mannę, iż matura z matematyki to przeżytek nawet gorszy niż idea matury w ogóle, a w dodatku sami wiemy dobrze, że matematyka jest nauką względną, gdzie tak naprawdę w obliczeniach wszystko może się zdarzyć.

Skoro więc przecieki są, to podejdźmy do nich poważnie: niech zostaną opublikowane w jakimś rozporządzeniu czy pokazane w PowerPoincie na konferencji rządu i elo – wszystko legalnie, ze sprawdzonego źródła, a nie że młodzież nie dość, że ma stres i nerwy, to jeszcze rano zamiast się na spokojnie umyć i uczesać, musi grzebać po Internetach.

Chcemy kontynuować dyskusję na temat potrzeby promocji diety wegańskiej wśród osobozwierząt, bazując tym razem na przykładzie dzikiego kota.

Otósh dawno temu istniały tygrysy szablastozębne, które były drapieżne i miały długie kły. Współczesne tygrysy, pomimo iż są drapieżne, to jednak mają kły nieporównywalnie mniejsze.

Wniosek? Otósh wraz z rozwojem cywilizacji drapieżność mierzona długością kła zanika wśród tygrysów. A zatem istnieje szansa, iż w przeciągu kilku następnych pokoleń kły w ogóle znikną, a tygrysoosoby przejdą w całości na dietę bezmięsną.

Of kors możemy pozostawić wszystko ewolucji, ale wciąż mocno zachęcamy do działań edukacyjnych i uświadamiających, iż bycie drapieżnikiem to wybór, który można porzucić.

Kochani, paszporty szczepionkowe wydają się coraz bardziej prawdopodobne. O ile of kors nie pochwalamy działań tego rządu w zakresie dzielenia i segregowania ludzi, o tyle jednak w podobnym postępowaniu widzimy sporą szansę na przyszłość, kiedy do głosu dojdą siły rozumne i europejskie.

Już wcześniej proponowaliśmy przecież paszporty poglądowe, dzięki czemu przeciętny homofobiczny janusz nie mógłby wyjechać za granicę. Co jednak stoi na przeszkodzie, iżby to rozszerzyć?

Przykładowo: osoby, które nie stosują diety wegańskiej, nie będą mogły wejść do zoo albo do lasu, iż istnieje ryzyko, że będą chciały zeżreć hipopotama czy innego jelenia; osoby, które przynajmniej raz nie skorzystały z prawa do wyboru, nie będą miały prawa do zakupu antykoncepcji, a jak ktoś będzie chciał pójść do kościoła, to będzie musiał przedstawić pieczątki ze zboru, synagogi i meczetu, iżby okazał, że jest odpowiednio otwarty i niezindoktrynowany.

Takie paszporty to genialny wynalazek, ta pandemia naprawdę przyspiesza zmiany, na które w innych okolicznościach musielibyśmy jeszcze bardzo długo czekać. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Trampek

Franek, coś ty odwalił?! Dyscyplina była przecież. Borys jest wściekły.

Momencik, Aga. Czyli ja byłem za?

To sam nie wiesz?

Ojejku, bo późno się robiło, ja byłem na imprezę umówiony i się schyliłem akurat, i wtedy trzeba było głosować, a mnie się trampek rozwiązał i się rozproszyłem, i chyba właśnie przycisnąłem nie to, co trzeba...

Człowieku, najważniejsze głosowanie od dawna, a ty sobie trampka wiążesz?!

No ale jak mi się rozwiązał? Ty mi lepiej poradź, co ja mam robić teraz.

Jak to, co? Musisz zrobić tak, jak się robi w polityce: powiedz, że to było celowo, i udawaj, że to przemyślałeś.

Ale ja kompletnie nie wiem, co powiedzieć. Ty widziałaś ten cały Program Odbudowy? Przecież tego się nie da zrozumieć.

No to weź stenogram Morawieckiego, zrób sobie z tego skrót i to sprzedawaj jako własne. Że odpowiedzialność za Polskę i takie tam brednie... Co ty robisz znowu?

Czekaj, moment, trampek mi się rozwiązał... ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Uważam, że sojusz Lewicy z PiS mógł być zainspirowany przez służby. Rosyjskie".

ROMAN GIERTYCH, *były wicepremier, były minister edukacji, na Twitterze*

eprasa.pl 254763f74e

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wiosna, zatem wiosenne sprzątanie. Zdaniem wiewiórek z Nowogrodzkiej nadchodzi czas wielkich porządków w koalicji, państwie i ogólnie w rzeczywistości. Zbyt wielu osobników bowiem w ostatnim czasie rozbisurmaniło się okrutnie, trzeba więc będzie wymieniać, czyścić i skracać fronty. Miotły będą szerokie. Zmiany, zmiany, zmiany.

W związku ze zmianami trwa też proces wymiany ambasadorów, którym kończą się kadencje. Wiele osób zapytuje zatem Panów G., kto pojedzie na tę czy inną placówkę. Będziemy o tym informować na bieżąco. I tak do Londynu uda się niebawem młody wilczek. Młody to znaczy stary. Rocznik 1962. Do tej pory ambasadorował w Waszyngtonie. A ponieważ się sprawdził przy Białym Domu, to będzie mógł się sprawdzić przy dworze św. Jakuba. Bo właśnie tam, a nie przy pałacu Buckingham, meldują się ambasadorzy.

Kto zastąpi Wilczka w Waszyngtonie? Bardzo rwie się Marek Magierowski, obecnie Izrael, kiedyś pałac Andrzeja Sebastiana, wcześniej „Do Rzeczy", onegdaj „Rzeczpospolita". I tu zonk: otóż kandydaturę Magierowskiego blokuje aktualnie nie kto inny, jak prezydent Andrzej Sebastian właśnie.

Tymczasem Krzysiek Szczerski już oficjalnie został przedstawiony jako kandydat na ambasadora przy ONZ. Co zostało powitane przez rozmaite redakcje nagłówkami typu: „Potwierdza się nasz news". Co jest o tyle śmieszne, że pisaliśmy o tym pierwsi, kiedy jeszcze nikomu nie przyszło do głowy, że do ONZ w ogóle będzie jechał jakiś nowy ambasador.

Dopytywani o większość rządową uśmiechnięci decydenci z PiS odpowiadają pytaniem: „A myślicie, że cała Eine Totalopposition będzie na przykład głosować przeciw zwiększaniu kwoty wolnej od podatku?". Nie myślimy. Pole do doraźnych porozumień w rozmaitych sprawach jest po głosowaniu w sprawie Funduszu Odbudowy otwarte. Głosy ziobrystów będą potrzebne jedynie w przypadku tematów hardcorowych. Tyle że już hardcorowych tematów nie będzie.

Borysławowi Budce gratulujemy zdolności politycznych. W wyniku jego manewrów tuż przed sejmowym głosowaniem w sprawie unijnej kasy okazało się, że przed PeŁo trzy możliwości: zła, zła oraz zła. Wybrano złą, czyli wstrzymanie się od głosu, czyli bez niespodzianek.

Romanowi Giertychowi gratulujemy „listu do Lewicy", który napisał po porozumieniu czerwonych braci z PiS w sprawie Krajowego Planu Odbudowy. Kluczowe zdanie brzmiało: „Powiedzieć o Was debile, byłoby nieładnie". Romanowi przypominamy jednak, że na lewicy listy dysydentów robią większe wrażenie, gdy pisane są z więzienia, a nie z Włoch. Zapraszamy zatem do kraju. Zarzuciki czekają, cela też. W niej Roman będzie mógł dorównać piórem Maksymowi Gorkiemu albo i Adamowi Michnikowi.

Z okazji wygnania na włoską ziemię zmieniamy Romanowi ksywkę z Konia na Forum Romanum. Romanum ryczy nieustannie o kolejnych aktach oskarżenia kierowanych przez niego do sądu, by pognębić wrogów Romanum. Tyle że krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje. Sądy uważają bowiem – cóż za złośliwcy! – że w przypadku prywatnych aktów oskarżenia oskarżyciel jednak powinien się osobiście stawić w sądzie. Sądy są jednak w Polsce, a do Polski mecenas boi się przyjeżdżać, co już podkreśliliśmy.

Wiewiórki z PeŁo opowiadają, że z funduszem odbudowy w Sejmie miało być twardo do końca i Borysław gardłował za głosowaniem przeciw. Wszystko się jednak zmieniło po tym, jak Grzegorz Skorpion Schetyna publicznie w wywiadzie powiedział, że najlepiej byłoby się wstrzymać od głosu. Partii się spodobało i Borysław został postawiony przed wyborem: albo robimy, jak radzi Grzegorz, albo będzie chryja z łamaniem dyscypliny oraz przyspieszeniem debudkizacji Platformy. Mamy dla Borysława złą wiadomość: debudkizacja i tak nastąpi.

Nadchodzi nowe spotkanie osi Rzym-Budapeszt-Warszawa. Słyszeliśmy, że niekoniecznie w Warszawie. Mogłoby być też w Poznaniu. Ale ważniejsze jest to, że na szczycie Salvini-Orbán-Morawiecki ma dojść tym razem do ogłoszenia wspólnej deklaracji ideowej. Będą mogli się pod nią podpisywać także partnerzy z innych krajów – i to będzie, szanowni państwo, fundament tej nowej wielkiej prawicowej frakcji w europarlamencie.

Żeby nie było, że nic o pandemii. Otóż wyrażamy ekstremalną szczęśliwość z powodu ponownego otwarcia salonów fryzjerskich. Gdyż na Jana Marię Rokitę z bujnym białym tołstojowskim uwłosieniem nie dało się już patrzeć. Podpowiadamy też ministrowi Dworczykowi, że im bardziej wojskowa fryzura, tym lepiej, bo teraz, gdy nieco obrósł, to widać, jak bardzo chłop osiwiał przez rok walki z koronawirusem.

Jako że za nami egzaminy maturalne, lekcja z języka polskiego. Dla byłego prezydenta Bronisława Wąsatego Komorowskiego. Ogłosił on, że „nie ma już ambicji, żeby czemuś przewodzić" (naszym zdaniem nigdy nie miał) oraz że jego zadaniem jest dziś „zbudowanie albo wzmocnienie biegunów konserwatywnych w dzisiejszej opozycji demokratycznej". Otóż bieguny z założenia są przeciwstawne. Oba nie mogą więc być konserwatywne. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

Maturalny maraton w czasach pandemii

Niemal 300 tys. osób przystąpiło do egzaminu dojrzałości, który w dużym stopniu może zaważyć na ich przyszłości. Sesja maturalna rozpoczęła się 4 maja i potrwa do 20 maja.

Podobnie jak w zeszłym roku ze względu na pandemię COVID-19 maturalny maraton odbywał się w reżimie sanitarnym. To oznacza, że maturzyści zdawali tylko egzaminy pisemne i nie musieli przystępować do dwóch – obowiązkowych wcześniej – egzaminów ustnych: z języka polskiego oraz z języka obcego. Obowiązkowo na egzamin trzeba było zabrać nie tylko długopis, lecz także maseczki.

271 tys.

TYLE OSÓB PRZYSTĄPIŁO W TYM ROKU DO MATUR

Uczniowie musieli też dezynfekować dłonie i przestrzegać zasad dystansu społecznego. Ławki, przy których siedzieli piszący egzaminy, były odsunięte od siebie o co najmniej 1,5 metra.

Wśród maturalnych tematów na egzaminie z języka polskiego na poziomie podstawowym hitem była m.in. „Lalka" Bolesława Prusa, która często pojawiała się na przedmaturalnej giełdzie zagadnień.

W kolejnych dniach – 5 i 6 maja – absolwenci liceów ogólnokształcących oraz techników zdawali również pisemne egzaminy z matematyki oraz z języka obcego na poziomie podstawowym. 7 maja rano odbyły się egzaminy z języka angielskiego na poziomie rozszerzonym i dwujęzycznym, po południu – z filozofii. 10 maja rano – egzamin z języka polskiego na poziomie rozszerzonym, a po południu – z języka łemkowskiego i języka kaszubskiego.

Od 13 do 19 maja odbywać się będą egzaminy z geografii, chemii, historii, fizyki, informatyki oraz z języków: francuskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, rosyjskiego i włoskiego zdawanych na poziomie podstawowym.

Na 20 maja zaplanowane są egzaminy z języków mniejszości narodowych (białoruskiego, litewskiego i ukraińskiego) oraz egzaminy pisemne z poszczególnych przedmiotów zdawanych w językach obcych przez abiturientów klas dwujęzycznych.

Uczniowie wyniki egzaminów maturalnych mają poznać 5 lipca. Aby zdać maturę, wystarczy uzyskać minimum 30 proc. punktów z egzaminów z przedmiotów obowiązkowych. W przypadku przedmiotu do wyboru nie ma już progu zaliczeniowego – wynik z egzaminu jest jednak brany pod uwagę przy rekrutacji na studia. ***(jap)*** ©℗

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

KOSMICZNE ZYSKI NA SZCZEPIONKACH

Przychody koncernu Pfizer, który opracował pierwszą dopuszczoną do użytku szczepionkę przeciw COVID-19, w pierwszych trzech miesiącach 2021 r. szacowane są na 3,5 mld dol. A według BBC to dopiero początek ogromnych zysków amerykańskiego koncernu, który prognozuje, że w całym roku 2021 zarobi na szczepionkach przeciw koronawirusowi aż 26 mld (!) dol., czyli równowartość 98 mld zł. Szczepionka Comirnaty – znana też jako BNT162b2 – ma również przynosić zyski Pfizerowi w kolejnych latach. Inna amerykańska firma – Moderna – szacuje przychody ze sprzedaży szczepionki w 2021 r. na 18 mld dol. Tak wielki komercyjny sukces Pfizera i Moderny kontrastuje z przykładem szczepionki AstraZeneca, która została opracowana we współpracy z Uniwersytetem Oksfordzkim i która podczas obecnej pandemii dostarczana jest na zasadach non-profit.

Za zawieszeniem praw własności intelektualnej do szczepionek przeciw COVID-19 opowiedział się więc prezydent USA Joe Biden. Wcześniej takie odstępstwo od zasad Światowej Organizacji Handlu zaproponowały Indie oraz RPA. Gotowość do rozmów w tej sprawie zadeklarowała też przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. ***(jap)*** ©℗

BĘDZIE PODWYŻKA STÓP PROCENTOWYCH?

Inflacja w kwietniu – jak podał GUS – osiągnęła już poziom 4,3 proc. To najwyższy poziom od 13 miesięcy. Polska ma najwyższy wzrost inflacji w krajach UE. Rada Polityki Pieniężnej nie zdecydowała się jednak na podwyżkę stóp procentowych. Zapowiadał to jeszcze w marcu prezes NBP i przewodniczący RPP Adam Glapiński. – Rynek nie ma racji – odpowiedział na oczekiwania podwyżki stóp.

Jednak po ostatnim posiedzeniu Rady Polityki Pieniężnej powstał komunikat, który następnie został zmodyfikowany. Jak zauważyli ekonomiści – usunięto z niego fragment, który mówił o tym, że RPP stabilizuje inflację na poziomie zgodnym z celem inflacyjnym. Zdaniem ekspertów to sygnał, że RPP uznaje, iż nie jest w stanie wpłynąć obecnie na wzrost inflacyjny. Niektórzy uważają, że to także wskazuje na zaostrzenie sporu w RPP między „jastrzębiami" i „gołębiami". Skutkiem może być inne podejście do kwestii stóp procentowych. Ekonomiści widzą w tym szansę na podwyższenie stóp procentowych w przyszłym roku. Zakładają, że może to nastąpić w II kwartale. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 254763f74e

HISTORYCZNA MISJA KAPSUŁY SPACE X

Pierwszy rutynowy lot na pokładzie prywatnego statku zakończył się sukcesem. Załogowa kapsuła Crew Dragon w niedzielę 2 maja powróciła na Ziemię, wodując w Zatoce Meksykańskiej u wybrzeży Panama City na Florydzie. Pierwszy raz w historii załogowych lotów kosmicznych na Ziemię wróciła kapsuła z aż czterema – a nie jak zazwyczaj trzema – astronautami na pokładzie.

Było to również pierwsze wodowanie w ciemności od 53 lat – w 1968 r. na Ziemię wróciła nocą z Księżyca załoga Apollo 8. Na pokładzie kapsuły Space X znajdowali się astronauci NASA: Mike Hopkins, Shannon Walker, Victor Glover oraz Japończyk Soichi Noguchi. Ich misja zaczęła się w listopadzie 2020 r. Po wodowaniu załoga została podjęta przez statek ratunkowy, przetransportowana na ląd i poddana badaniom. Następcy astronautów, którzy wrócili na Ziemię, na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej pojawili się tydzień wcześniej. Należąca do miliardera Elona Muska spółka Space X nie tylko wysyła astronautów na stację kosmiczną, lecz także realizuje kontrakt na budowę lądownika księżycowego. Amerykanie chcą wrócić na Srebrny Glob jeszcze w obecnej dekadzie. ***(jap)*** ©℗

FOT. BILL INGALLS/NASA(X2)

Klimatyzm obnażony

Łukasz Warzecha

Straszenie globalnym ociepleniem jednym się opłaca, inni w nie szczerze wierzą. Tymczasem to operowanie zestawem mitów. Każdy z nich łatwo obalić

Ostatni kwiecień był wyjątkowo zimny. U nas – najzimniejszy od 24 lat, ale i tak byliśmy w lepszej sytuacji niż Niemcy, gdzie zimniej w kwietniu nie było od 40 lat, zaś w Wielkiej Brytanii – aż od 100 lat. Co z tego wynika? W gruncie rzeczy niewiele poza tym, że „wszyscy mają już dość", z tym że akurat nie w kontekście epidemii, lecz wiosny przypominającej raczej koniec zimy. Nie należy, rzecz jasna, mylić klimatu z pogodą. Pogoda to sytuacja chwilowa, a klimat to średnia kształtująca się na przestrzeni dziesięcioleci. Trzeba tu jednak zauważyć dwie prawidłowości. Oto gdy zima jest wyjątkowo ciepła – tak jak poprzednia – lub lato skrajnie gorące, natychmiast odzywają się klimatyści i krzyczą, że to są namacalne dowody na ocieplenie klimatu. Gdy zaś zimne miesiące ciągną się w nieskończoność, tak jak w tym roku, klimatyści milczą lub – co jest jeszcze ciekawsze – dowodzą, że to również dowód na ocieplenie klimatu. Innymi słowy – jeśli jest ciepło, to jest to dowód na ocieplenie klimatu, którego przyczyną jest człowiek, a jeśli jest wyjątkowo zimno, to jest to dowód… również na ocieplenie klimatu, którego przyczyną jest człowiek (AGW – anthropogenic global warming). Sprytne, prawda?

CYNICY, „ZIELONI KONSERWATYŚCI" I FANATYCY

Kim są klimatyści? Przede wszystkim nie są to naukowcy. To ważne, ponieważ szermują na prawo i lewo argumentem „naukowości". Naukowcy jednak – niezależnie od tego, jak oceniamy ich rzetelność i podatność na naciski – nie tworzą na ogół narracji politycznej, a klimatyści owszem. Klimatystów można z grubsza podzielić na trzy kategorie.

Pierwsza to cynicy, żyjący z klimatystycznej narracji, których w swoim głośnym filmie „Planet of the Humans" („Planeta ludzi") pokazał dokumentalista Jeff Gibbs. Film, co ciekawe, wyprodukował lewicowy filmowiec Michael Moore, za co został szybko wyklęty przez klimatystów. Sam Gibbs zaś nie jest bynajmniej przedstawicielem liberalnej gospodarczo prawicy, ale zatroskanym o planetę zielonym, zwolennikiem neomaltuzjańskiej kontroli populacyjnej. Tym jednak trudniej oskarżyć go o ideologiczne uprzedzenia.

Gibbs zajął się w swoim obrazie między innymi tzw. zielonymi kapitalistami. Prześledził na przykład powiązania międzynarodowej inicjatywy 350.org,

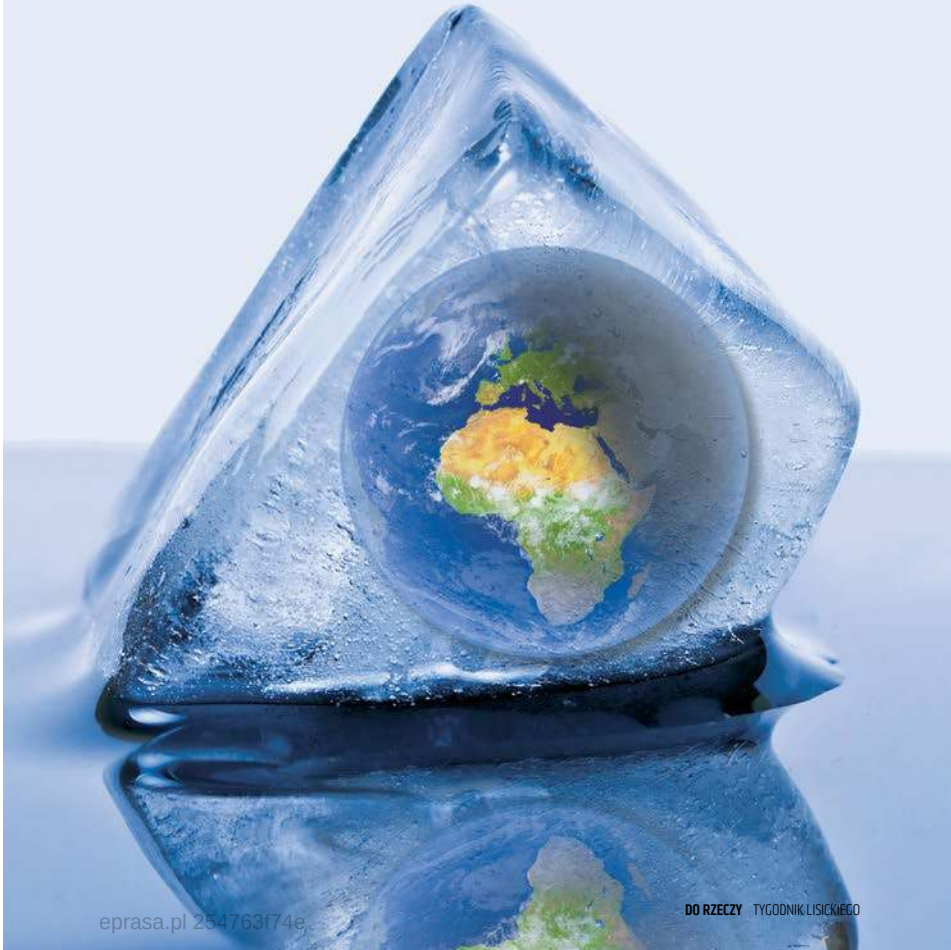

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 254763f74e

działającej na rzecz redukcji emisji CO_2 i popularyzacji alternatywnych źródeł energii, współorganizującej zresztą Strajk Klimatyczny, którego ikoną jest Greta Thunberg. Dokumentalista dochodzi do niepokojących konkluzji, wskazując na sieć powiązań z wielkim biznesem robionym na energii odnawialnej. Szczególne wrażenie robi fragment wywiadu przeprowadzanego przez Karyn Strickler – ekolog, aktywistkę prowadzącą przez kilka lat kanał „Climate Challenge" – z Billem McKibbenem, założycielem i prezesem 350.org. Gdy Strickler pyta McKibbena, kto finansuje jego organizację, ten nagle dostaje zaniku pamięci. Stwierdza w końcu, że donatorów jest wielu, a największym jest szwedzka Rasmussen Foundation. Dopiero pod wpływem kolejnego pytania przypomina sobie, że owszem, 350.org otrzymało pieniądze także m.in. z Fundacji Rockefellera. Trzeba tu wyjaśnić, że dla ideowych lewicowych ekologistów powiązania z wielkim biznesem – a takie uosabia właśnie Fundacja Rockefellera – są poważnym obciążeniem.

Inny przykład „zielonego kapitalisty" to były wiceprezydent USA Al Gore, samozwańczy guru walki z globalnym ociepleniem. Gdy w 2013 r. pytano go, czemu sprzedał swoją stację telewizyjną Current TV Al-Dżazirze, finansowanej przez Saudów, którzy swoją potęgę zbudowali na ropie, Gore wybąkał jedynie: „Przyjmuję krytykę".

Mamy wreszcie Billa Gatesa i jego inwestycje w „roślinne mięso" w powiązaniu z prowadzoną przez niego kampanią na rzecz rezygnacji z hodowli zwierząt rzeźnych jako rzekomo przyczyniających się do globalnego ocieplenia (pisaliśmy o tym szerzej w ostatnich numerach „Do Rzeczy").

Druga kategoria klimatystów to osoby przedstawiające się jako „zieloni konserwatyści". Deklarujący przywiązanie do konserwatywnych wartości w istocie powielają wszystkie szkodliwe schematy klimatystów fanatycznych (trzecia kategoria), w tym żądanie wykluczenia z debaty wątpiących. W Polsce jedną z takich osób jest młody dziennikarz Jakub Wiech, autor „Globalnego ocieplenia. Podręcznika dla Zielonej Prawicy" (trzeba przy tym przyznać, że Wiech jest zarazem jednym z najbardziej konsekwentnych promotorów korzystania przez Polskę z własnej energii jądrowej). Ta bardzo słaba książka w nieco złagodzonej formie powtarza radykalną klimatystyczną narrację, nie wnosząc do dyskusji niczego nowego, a wątpliwości wykpiwając lub lekceważąc. Znajdujemy tam cały komplet klimatystycznych schematów, włącznie z 97-procentowym konsensusem naukowym (patrz: mit drugi) i odesłaniem do portalu Nauka o Klimacie. A ten portal to żelazny punkt każdej polskiej klimatystycznej narracji. W istocie to kopia anglojęzycznego portalu Skeptical Science, założonego i kierowanego przez Australijczyka Johna Cooka, profesora Center for Climate Change Communication (Centrum Informacji o Zmianach klimatycznych) na Uniwersytecie George'a Masona w Wirginii w USA oraz Uniwersytetu Queensland. Cook jest ważną postacią w budowaniu klimatystycznej narracji opartej na iluzji naukowości. W swoich tekstach atakował też wytrwale Gibbsa za jego film. Powstanie polskiej wersji portalu sfinansował grant z European Climate Foundation (ECF), która wśród swoich celów wymienia walkę z energetyką węglową w Polsce. Co ciekawe, ECF zasiliła w latach 2016 i 2017 fundację Akcja Demokracja (ponad 174 tys. euro w 2016 r. i 10 tys. euro rok później). Akcja Demokracja zaś z kolei wysyłała np. e-maile do Nationale Nederlanden, aby firma pozbyła się udziałów w spółce planującej budowę nowej kopalni odkrywkowej w Wielkopolsce.

Chociaż redakcję portalu stanowią w większości naukowcy (jego szefem jest prof. Szymon Malinowski, fizyk atmosfery), to sposób argumentacji jest nierzadko publicystyczny. Jeszcze w 2019 r. redakcja portalu polemizowała z moim tekstem w „Do Rzeczy", stwierdzając m.in.: „Warzecha rozwija w tekście swoje przemyślenia na temat powszechnego spisku »klimatystów«, obejmującego ogromną większość świata naukowego oraz ludzi, którzy potrafią i chcą ze zrozumieniem przeczytać wyniki badań i pomiarów naukowych". W moim tekście nie wspominałem oczywiście nic o „spisku". Pisałem jedynie o mechanizmach takich jak konformizm, działających także w świecie naukowym, albo o interesach firm korzystających na zielonej strategii. Autorzy Nauki o Klimacie wystawiali sobie zatem klasycznego chochoła. W podobnym tonie polemizowali m.in. z Rafałem A. Ziemkiewiczem.

Portal nieraz obala „mity" przeciwników klimatystycznej narracji, uciekając się do klasycznej manipulacji: na liście tychże „mitów" zestawia ze sobą twierdzenia całkowicie w debacie uprawnione – na przykład zakwestionowanie przemożnego wpływu człowieka na zmiany klimatu – ze stwierdzeniami otwarcie wariackimi, takimi jak „rząd światowy kontroluje ludzi za pomocą chemtrails".

W stronę tzw. zielonego konserwatyzmu idzie również Klub Jagielloński, aczkolwiek niuansując narrację. Na ten sam nurt powoływał się Michał Moskal, młody działacz PiS, formalnie firmujący „piątkę dla zwierząt".

Trzecia grupa klimatystów to fanatycy, dla których walka o klimat stała się nową religią. Spośród nich rekrutują się wielbiciele nie tak już małej Greci czy członkowie organizacji Extinction Rebellion, w imię walki o klimat blokujący nie tylko w Polsce ruchliwe ulice, co powiększa korki i tym samym przyczynia się do zwiększonej emisji spalin. ER bywała już oskarżana o działania balansujące na granicy terroryzmu. Jej członkowie prezentują przekonanie o nadchodzącej globalnej katastrofie, co wygląda na nowe, areligijne wcielenie millenaryzmu – prądu, którego wyznawcy oczekiwali rychłego nadejścia Królestwa Bożego. Z drugiej strony ER działa jak sekty odwołujące się do takich przekonań. Nieco tylko mniej radykalny jest Greenpeace.

Wszystkie te grupy powielają identyczny zestaw mitów.

MIT PIERWSZY: POWODOWANE PRZEZ CZŁOWIEKA GLOBALNE OCIEPLENIE JEST FAKTEM, A Z FAKTAMI NIE MA CO DYSKUTOWAĆ.

Za tym mitem – powtarza go także portal Nauka o Klimacie – stoi celowe poplątanie podstawowych pojęć. W nauce oddziela się twardo dwie kategorie. Jedna to wyjściowe, mierzalne dane; druga to wnioski, jakie się z nich wyciąga, w tym hipotezy mające wyjaśniać, dlaczego twarde dane wyglądają tak, a nie inaczej, oraz czy istnieją pomiędzy nimi związki przyczynowo-skutkowe. W niektórych przypadkach hipoteza zamienia się w teorię, jednak podstawowym warunkiem takiego przejścia jest możliwość wielokrotnego i powtarzalnego eksperymentalnego przetestowania hipotezy. Gdyby zastosować ścisłe pojęcia hipotezy i teorii, nie należałoby mówić choćby o „teorii ewolucji", a jedynie o hipotezie ewolucji (co oczywiście nie oznacza, że hipoteza ta jest błędna).

W przypadku domniemanego antropologicznego ocieplenia klimatu możliwości eksperymentalnego sprawdzenia oczywiście nie ma. Testowanie, o ile się je przeprowadza, dotyczy matematycznych modeli, w których minimalna zmiana warunków wyjściowych powoduje osiągnięcie

eprasa.pl 254763f74e

często skrajnie odmiennych wyników. Mimo to bardziej umiarkowani klimatyści upierają się, że nie mamy tu do czynienia z hipotezą, ale z teorią. Bardziej umiarkowani, ci radykalniejsi bowiem mówią wprost o „fakcie", dokonując gigantycznego nadużycia. Faktem jest jedynie to, co możemy stwierdzić wprost bez śladu wątpliwości – np. przypominający kulę kształt Ziemi. Sposób jej uformowania w taką postać to już jednak dziedzina wyłącznie hipotez.

Niektórzy twierdzą, że klimatologia jest najbardziej skomplikowaną nauką, łączy bowiem w sobie fizykę, chemię, geografię, geologię, matematykę teoretyczną. Mamy ogromną ilość danych, lecz klimat jest mechanizmem tak skrajnie złożonym, że twierdzenie, iż stworzyliśmy teorię jednoznacznie wyjaśniającą przyczyny i kierunek jego zmian, jest bezzasadne.

Problem nie polega na tym, że istnieje hipoteza, iż mamy do czynienia ze zmianami klimatu. Tutaj żadna hipoteza nie jest potrzebna, bo klimat zmieniał się na przestrzeni tysiącleci i nie ma w tym niczego niezwykłego. To oczywistość. Nie jest problemem, że istnieje hipoteza mówiąca, iż te zmiany idą w kierunku ocieplenia ani nawet, że powoduje je człowiek. Ta hipoteza może być nawet prawdziwa. Jest jednak wciąż jedynie hipotezą – jedną z kilku. Problem leży w tym, że uznaje się ją właśnie za fakt, a na jej podstawie politycy podejmują decyzje obciążające całe pokolenia ludzi – głównie w Europie – niewyobrażalnymi wprost kosztami.

MIT DRUGI: ISTNIEJE 97-PROCENTOWY „NAUKOWY KONSENSUS" CO DO TEGO, ŻE CZŁOWIEK POWODUJE GLOBALNE OCIEPLENIE, ORAZ CO DO JEGO SKUTKÓW I CZASU, JAKI NAM POZOSTAŁ NA ZMIANĘ KIERUNKU.

Prawdy nie ustala się na mocy konsensusu. Bardzo modne dziś, mające zamykać usta sceptykom w wielu sprawach pojęcie „naukowego konsensusu" jest w gruncie rzeczy całkowicie antynaukowe. Nie chodzi tylko o to, że przekonuje publiczność, iż prawdę ustala się w drodze jakiegoś głosowania, lecz także tworzy rodzaj presji na tych naukowców, którzy chcieliby poszukiwać dziury w całym – co jest przecież istotą nauki i wielokrotnie prowadziło do odkrywania nieznanych dotąd obszarów. Jeżeli – jak w omawianym micie – nie zgadzałoby się choćby 3 proc. naukowców, to właśnie ich argumentom należy się przyglądać ze szczególną uwagą, a ich głosy osobne powinny być punktem wyjścia do debaty. A jednak klimatyści, zachowując się antynaukowo, domagają się wykluczenia tych osób z debaty.

W przypadku hipotezy o globalnym ociepleniu powodowanym przez człowieka pojęcie konsensusu naukowego ma sens o tyle jeszcze mniejszy, że nie możemy nawet mówić o powtórzeniu przez określoną liczbę naukowców określonego eksperymentu. Tej hipotezy nie da się bowiem badać eksperymentalnie (patrz: mit pierwszy).

Kolejna manipulacja dotycząca tego mitu polega na twierdzeniu, jakoby naukowcy zgadzali się co do jednej konkretnej wersji klimatystycznej narracji, czyli jakoby niemal wszyscy twierdzili, że wpływ człowieka na klimat ma konkretną wagę oraz że „czas, który nam pozostał", jest taki sam. To już kompletny absurd. Nawet wśród naukowców generalnie podpisujących się pod tezą o AGW są różnice co do wagi tego wpływu, tempa zmian, a już w szczególności co do tego, w jaki sposób i w jakim czasie można zmianom przeciwdziałać.

Skąd jednak w ogóle wziął się mit „97-procentowego naukowego konsensusu"? Zapoczątkował go artykuł prof. Naomi Oreskes, historyk nauki, która stwierdziła, że przeanalizowała 928 tekstów naukowych zawierających słowa „globalna zmiana klimatu" i w żadnym z nich nie zaprzeczono tezie o antropogenicznej naturze globalnego ocieplenia. Z opublikowanego przez Oreskes w 2007 r. szerszego omówienia dowiadujemy się jednak, że spośród owych ponad 900 tekstów jedynie 25 proc. wyraźnie potwierdzało tezę o antropogenicznym globalnym ociepleniu, zaś kolejne 50 proc. omawiało konsekwencje tej hipotezy i na tej podstawie Oreskes uznała, że również ją potwierdzają. Trudno tu mówić o 97-procentowym konsensusie.

Więcej szumu narobił tekst z 2013 r. firmowany przez dziewięcioro autorów, w tym znanego nam już Johna Cooka, który oprócz portalu Skeptical Science prowadzi też Consensus Project (Projekt Konsensus). Analiza, uciekając się do budzącej ogromne wątpliwości metodologii, wzięła pod uwagę 11 944 fragmenty prac dotyczących zmiany klimatu, opublikowanych w latach 1991–2011. Stwierdzono, że aż 66,4 proc. spośród nich nie zajmowało stanowiska w sprawie AGW, 32,6 proc. aprobowało hipotezę AGW, 0,7 proc. ją odrzucało, a 0,3 proc. było niepewne. Autorzy ogłosili zatem, że spośród tekstów z fragmentami o zmianie klimatu 97,1 proc. popiera hipotezę AGW. Tę liczbę podchwyciły media i zrobiły z niej „97-procentowy konsensus". Al Gore posuwał się do ewidentnie kłamliwego stwierdzenia, że hipotezę o AGW potwierdza „97 proc. recenzowanych naukowo badań na temat klimatu".

Artykuł Cooka został poddany druzgocącej krytyce, ponieważ brane pod uwagę fragmenty pochodziły w dużej części z tekstów bynajmniej nie klimatologów. Mogły to być równie dobrze teksty specjalistów w kierunkach humanistycznych – kryterium było jedynie to, aby mówiły w jakimkolwiek kontekście o zmianach klimatu. Mówiąc obrazowo: gdyby tekst w czasopiśmie naukowym o problemach współczesnego świata napisała prof. Magdalena Środa i wyraziła w nim pogląd, że zmiany klimatu są powodowane przez człowieka, Cook zaliczyłby to do swoich mitycznych 97 proc., choć prof. Środa o klimatologii nie ma zielonego, nomen omen, pojęcia.

MIT TRZECI: NA ZMIANY MAMY CZAS TYLKO DO 2030 R., W PRZECIWNYM RAZIE NASTĄPI KLIMATYCZNA APOKALIPSA.

Tak jak w przypadku mitu o 97-procentowym konsensusie naukowym tu również mamy do czynienia z rodzajem głuchego telefonu. Nie istnieje żadna magiczna granica roku 2030 ani żadnego innego. W istocie moglibyśmy, idąc niejako „od końca", wybrać sobie dowolną datę, a następnie poprosić naukowców, żeby do tej daty dobrali poziom redukcji CO_2, który po przekroczeniu tej czasowej granicy nie będzie już możliwy. Magiczna granica 2030 r. odpowiada po prostu całkowicie nierealistycznemu założeniu określonego poziomu redukcji emisji.

W swojej książce „False Alarm" („Fałszywy alarm") tłumaczy to duński ekonomista Bjørn Lomborg, który od lat zajmuje się krytyczną ekonomiczną analizą polityki klimatycznej. Pisze: „Ta granica czasowa wynikła z nagabywania naukowców przez polityków, zadających bardzo konkretne, hipotetyczne pytanie: Co właściwie trzeba by zrobić, żeby utrzymać zmiany klimatyczne poniżej niemal niemożliwego do osiągnięcia progu? Nic dziwnego, że naukowcy odpowiedzieli, iż jest to prawie niemożliwe, a choćby zbliżenie się do tego celu wymagałoby gigantycznych zmian w całym życiu społecznym do 2030 r.".

Lomborg – który jest zresztą zwolennikiem hipotezy o antropogenicznych przyczynach zmian klimatu – zamiast uderzać w emocjonalne i histeryczne tony, operuje na konkretnych liczbach. Stwierdza, że jeżeli nie będziemy robić nic w sprawie zmian klimatu, to do końca

eprasa.pl 254763f74e

stulecia będzie nas to kosztować 3,6 proc. światowego PKB, co przełoży się na wzrost wynagrodzeń „jedynie" o 434 proc. zamiast 450 proc. Jak widać, trudno tu mówić o jakimś armagedonie.

Sam Międzyrządowy Panel ds. Zmian Klimatu, będący wyrocznią klimatystów, pisał w raporcie z 2014 r., że „dla większości sektorów gospodarki wpływ zmian klimatu będzie niewielki w porównaniu z wpływem innych czynników", takich jak demografia czy styl życia.

W jednej ze swoich wypowiedzi, w czasach, gdy uchodziła za wyrocznię, Thunberg szczerze wyznała, że chce, żebyśmy się bali. I temu właśnie służy wyznaczanie takich dat granicznych jak 2030 r. Ile ich już resztą było? W 1982 r. ONZ przewidywała, że planeta zostanie praktycznie zniszczona poprzez zmiany klimatu i destrukcję powłoki ozonowej do 2000 r. W 2006 r. Al Gore zapowiedział, że jeżeli w ciągu 10 lat nie zostaną podjęte radykalne środki na rzecz walki ze zmianami klimatycznymi, to osiągniemy „punkt bez odwrotu". Minęliśmy go więc pięć lat temu. W 2009 r. książę Karol, brytyjski następca tronu i zapalony obrońca klimatu, oznajmił, że wyliczył, iż „pozostało nam 96 miesięcy na ocalenie świata". 96 miesięcy minęło w 2017 r. A przypomnieć trzeba, że w latach 70. straszono zjawiskiem dokładnie odwrotnym: globalnym ochłodzeniem. W 1974 r. głośny panikarski tekst opublikował magazyn „Time", a rok później „Science News" na okładce pokazywał lodowce przykrywające drapacze chmur w Nowym Jorku.

MIT CZWARTY: Z PRZECIWDZIAŁANIEM ZMIANOM KLIMATU WALCZĄ CYNICY NA GARNUSZKU FIRM NAFTOWYCH, A O KLIMAT BIJĄ SIĘ SZLACHETNI IDEALIŚCI.

Przejście na odnawialne, a w każdym razie niekopalne źródła energii (bo może to być także atom lub wodór) oznacza stopniowe wycofywanie się ze źródeł kopalnych, czyli przede wszystkim węgla i ropy naftowej – to prawda. Prawdą jest również, że te przemysły wydobywcze na tym stracą, czego świadkami jesteśmy w Polsce, gdzie rząd wciąż zmaga się z problemem zamknięcia górnictwa, mimo iż Polska ma nadal duże zasoby węgla. Na stopniowej rezygnacji z ropy naftowej do napędu pojazdów (bo przecież ma ona też inne przemysłowe zastosowania) stracą państwa z eksportu tego surowca żyjące, a zatem przede wszystkim zrzeszone w OPEC. To jednak tylko jedna strona medalu.

W 2006 r. Al Gore zapowiedział, że w ciągu 10 lat osiągniemy „punkt bez odwrotu". Minęliśmy go więc pięć lat temu

Po drugiej stronie są interesy równie już w tej chwili potężne, jeżeli je zsumować.

Po pierwsze – mamy polityczny wehikuł, jakim dla wielu polityków stały się kwestie klimatu – przede wszystkim w Europie, ale nie tylko, by wskazać na zwycięstwo wyborcze Joe Bidena. Na Zachodzie działa już samonapędzający się mechanizm mediów, aktywistów, interesów i polityków. Jeśli chce się robić polityczną karierę, to temat ratowania klimatu jest jazdą obowiązkową.

Po drugie – mamy media, które również z tego tematu żyją, a które uwielbiają upraszczać skomplikowany przekaz (patrz: mit drugi o konsensusie czy trzeci o 2030 r.).

Po trzecie – za walką ze zmianami klimatu stoją konkretne, potężne interesy finansowe. Na przykład przychód potentata na rynku siłowni wiatrowych, duńskiej firmy Vestas, systematycznie rośnie od lat i w ubiegłym roku sięgnął 14 mld euro – a to tylko jedna spółka. Wówczas Vestas zainstalował siłownie o łącznej mocy ponad 16 tys. MW. Dla porównania – łączna moc elektrowni w Bełchatowie to niecałe 5,3 tys. MW.

Producenci samochodów korzystają na antyrynkowych mechanizmach, wprowadzanych przez kolejne kraje. Dzięki dopłatom i ulgom są w stanie sprzedawać auta na baterie, które na wolnym rynku stanowiłyby niszę. Z ich punktu widzenia odwrót od spalinowej motoryzacji nie jest niczym strasznym – przeciwnie. Polityka krajów UE zmusi obywateli do kupowania aut na prąd, które przecież nie staną się tańsze od obecnych, tymczasem konstrukcyjnie są o niebo mniej skomplikowane, a więc zysk na każdym takim samochodzie będzie znacznie wyższy. Mało tego: ze względu na konstrukcję i cenę akumulatorów w przypadku takich samochodów nawet niewielka stłuczka może oznaczać nieopłacalność naprawy, a więc konieczność kupna nowego samochodu – inaczej niż z samochodami spalinowymi. Znów zysk dla producentów.

Dorzućmy do tego pozostający w cieniu przemysł wydobywczy metali rzadkich, koniecznych do budowy akumulatorów, a koncentrujący się w Rosji i Afryce, czy interesy producentów paneli słonecznych, a dostajemy potężny sojusz polityczno-medialno-biznesowy, którego siła jest już najprawdopodobniej większa niż siła producentów paliw kopalnych.

MIT PIĄTY: KAŻDY Z NAS MOŻE RATOWAĆ PLANETĘ, JEŚLI PODEJMIE „EKOLOGICZNY TRYB ŻYCIA".

Absurdalność tego mitu widać najlepiej na przykładzie elektromobilności, która stała się niestety dogmatem również w Polsce. Opowieści o „czystym transporcie", o ile dotyczą aut na baterię (samochody o napędzie wodorowym to inna historia), nie uwzględniają potężnych zanieczyszczeń związanych z produkcją akumulatorów, problemów z ich utylizacją, krótszego życia pojazdów, znacznie wrażliwszych na uszkodzenia niż pojazdy spalinowe oraz źródła prądu do nich. To ostatnie widać szczególnie w takich krajach jak Chiny, które stały się największym na świecie rynkiem dla aut na prąd, ale paradoksalnie oznacza to zwiększenie zanieczyszczenia, ponieważ ponad 62 proc. energii elektrycznej w Państwie Środka pochodzi z węgla.

Według szacunków Międzynarodowej Agencji Energetycznej do 2030 r. na świecie może jeździć 130 mln samochodów na prąd – przy gigantycznej propagandzie oraz niewyobrażalnych nakładach w postaci subsydiów i ulg z naszych przecież kieszeni. Osiągnięcie tego celu oznaczałoby zmniejszenie globalnych emisji o – uwaga! – 0,4 proc.

Lista mitów nie jest kompletna. Można by ją rozwinąć o przynajmniej drugie tyle punktów – np. przekonywanie, że przejście na „zieloną gospodarkę" nikogo nie skrzywdzi i nie zbiedniejemy od tego albo że paliwa kopalne są na wykończeniu. Najważniejsze jednak jest uświadomienie sobie i wyciągnięcie wniosków z faktu, że Zachód – zwłaszcza UE – poszedł drogą radykalnej zielonej rewolucji na podstawie fragmentarycznych, niepewnych, wątpliwych w wielu punktach przesłanek, napędzanych medialną histerią i szemranymi interesami politycznymi oraz gospodarczymi.

Jeśli dzisiaj zwolennicy zielonego ładu twierdzą, że trzeba go wspierać z troski o nasze dzieci, to odpowiadam: jeżeli zwolennicy zielonego ładu wygrają, to nasze dzieci będą w większości żyły w świecie zielonego zamordyzmu i ubóstwa. Wciąż jeszcze mamy wybór.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

Z Janem Marią Jackowskim, senatorem Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polski moment hamiltonowski

RYSZARD GROMADZKI: Już pan wie, jak będzie pan głosował nad ustawą w sprawie ratyfikacji Funduszu Odbudowy, kiedy zajmie się nią Senat?

JAN MARIA JACKOWSKI: Mam bardzo poważne wątpliwości wobec ustawy o zasobach własnych Unii Europejskiej. I to nie dlatego, że uważam, iż te pieniądze nie są Polsce potrzebne. One są oczywiście bardzo potrzebne i dobrze byłoby, żeby można z tych pieniędzy korzystać, lecz na innych zasadach, a nie za suwerenność. Bardzo mnie niepokoją warunki, na jakich te środki będą udzielane, czyli zgoda na uwspólnotowienie długu i prawo do nakładania podatków przez Komisję Europejską. To krok milowy na drodze do budowy sfederalizowanej Unii Europejskiej i ograniczania suwerenności państwa polskiego. Jest też w sposób oczywiście oczywisty, cytując klasyka, sprzeczny z naszym programem wyborczym. Prawo i Sprawiedliwość opowiadało się za koncepcją „Europy ojczyzn" i zawsze podkreślało – zarówno w okresie, w którym było w opozycji, jak i w czasie, kiedy jest u władzy – że przede wszystkim dba o suwerenność państwa polskiego. Zgoda na ten mechanizm prowadzi w sposób ewidentny do osłabienia tej suwerenności i otwiera nowe możliwości do tworzenia jednego organizmu Unii Europejskiej. Posłużę się reminiscencją z początków Stanów Zjednoczonych. W 1790 r. doszło do słynnego porozumienia pomiędzy sekretarzem stanu Thomasem Jeffersonem a sekretarzem skarbu Alexandrem Hamiltonem, na mocy którego nastąpiły uwspólnotowienie długów poszczególnych stanów i wspólna polityka podatkowa. Ten moment uważany jest za początek federacji Stanów Zjednoczonych, które wcześniej miały luźniejszy charakter. Nie przypadkiem zatem – po słynnym szczycie w grudniu ubiegłego roku, na którym porozumiano się w sprawie Funduszu Odbudowy oraz drastycznego zwiększenia celów klimatycznych do 55 proc. redukcji emisji CO_2 do 2030 r. (z obowiązujących do tego momentu 40 proc!) – najważniejsi unijni politycy mówili o „momencie hamiltonowskim Europy". Myślę, że nie wprost, ale jasno odpowiedziałem na pana pierwsze pytanie, a co do drugiego, to sadzę, że w Senacie będziemy procedować ustawę o zasobach własnych UE pod koniec maja.

Czy nie ma pan poczucia, że brakuje nam w Polsce rzetelnej debaty w tej tak ważnej dla przyszłości państwa sprawie?

Moim zdaniem jest ona spłaszczona przez rządzących do prostackiej propagandy, w myśl której ten, kto jest przeciw, nie reprezentuje polskiej racji stanu albo jest przeciwko Polsce. W bardziej prymitywnych przekazach propagandowych jest ruskim trollem, który działa na szkodę Polski. Całość środków unijnych to 770 mld, a koszt transformacji energetycznej do 2040 r. w dokumencie rządowym został oceniony na 1 bln 600 mld zł. Niestety, w tej sprawie – w moim przekonaniu – nie ma rzetelnej debaty. Uczciwego rachunku zysków i strat. Przywołam tutaj znaną zasadę „nie ma darmowych obiadów". Za te pieniądze, prędzej czy później i tak trzeba będzie zapłacić poprzez zadłużanie państwa polskiego oraz kilkukrotny wzrost składki członkowskiej, i to na warunkach, które są nieokreślone. Poza tym koszt transformacji energetycznej przełoży się na drastyczny wzrost cen energii i osłabienie potencjału polskiej gospodarki. W jakimś sensie przypomina to sytuację z kredytami frankowymi w latach 2006–2007. Miały być niezwykle korzystne, a dla wielu okazały się pułapką...

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Dlaczego w takim razie Prawo i Sprawiedliwość forsuje z taką determinacją narrację o siedmiu tłustych latach i nowej erze polskiej prosperity?

To wynika z bieżącej polityki, próby odbudowania pozycji w sondażach i pozyskania środków, które są złośliwie określane (ale nie bez pewnej racji) jako „ fundusz wyborczy PiS", choć oczywiście to nie są środki, które są własnością Prawa i Sprawiedliwości. Za tym stoi kalkulacja, że w sposób znaczący uda się wygrać wybo-

eprasa.pl 254763f74e

ry, które odbędą się w 2023 r., a może i wcześniej, a tym samym utrzymać się u władzy. Czy są inne motywy forsowania takiego kursu? Tego nie wiem. Zwracam uwagę na jedną rzecz: Prawo i Sprawiedliwość mówiło o budowie „Europy ojczyzn" i sprzeciwie wobec federalizacji, jednak w dwóch kluczowych momentach, myślę tutaj zarówno o 2007 r. i traktacie lizbońskim, który – jak wiadomo – podpisał śp. prezydent Lech Kaczyński, jak i mechanizmie o zasobach własnych Unii Europejskiej, opowiedziało się za tworzeniem struktury sfederalizowanej Unii Europejskiej, a tym samym ograniczaniem suwerenności Polski. Na oba te wydarzenia Prawo i Sprawiedliwość miało istotny wpływ.

Z taką diagnozą sytuacji wchodzi pan w kurs kolizyjny z mainstreamem swojej partii. Kiedy rozmawialiśmy kilka miesięcy temu, mówił pan, że nie czuje się dysydentem w PiS. Jednak często w strategicznych sprawach ma pan odrębne zdanie niż kierownictwo Prawa i Sprawiedliwości...

Jestem przeciwnikiem relatywizmu i taniego koniunkturalizmu, zmieniania poglądów i zasad w zależności od okoliczności. Do pewnego momentu Prawo i Sprawiedliwość działało na podstawie swojego programu, który został przyjęty przez stosowne gremium i w oparciu o programy, z którymi szliśmy do wyborów w latach 2015 i 2019. Ja, jak pan to określił, będąc na „kursie kolizyjnym", krytykuję kierownictwo PiS za odstępstwa od tego programu. Traktuję bowiem poważnie ten program, podobnie jak zobowiązania wobec wyborców, nie udaję, że czarne jest białe i że nic się nie stało. Nie twierdzę, że nie można zmienić programu – oczywiście, że można. Trzeba jednak być uczciwym wobec wyborców oraz opinii publicznej i ogłosić to. Byliśmy zwolennikami „Europy ojczyzn", byliśmy przeciwnikami dalszej federalizacji Unii, ale ponieważ w tej chwili jest to dominująca tendencja w UE, zrewidowaliśmy nasz pogląd i uznajemy, że trzeba się z tym pogodzić. To wszystko trzeba jednak uczciwie powiedzieć. Tu nasuwa się kolejne pytanie: Czy elity obecnie rządzące państwem, biorąc pod uwagę praktykę od roku 2015, są w stanie skutecznie bronić naszych narodowych interesów w ramach federalizującej się Unii Europejskiej? Niestety, takiego przekonania nie mam.

W jednym z ostatnich wywiadów powiedział pan, że w perspektywie kilku miesięcy spodziewa się istotnego przewartościowania na polskiej scenie politycznej. Czy symptomem tego przewartościowania może być alians PiS i Lewicy w sprawie Funduszu Odbudowy?

Być może tak. Być może w kierownictwie uznano, że trzeba pozbyć się z obozu Zjednoczonej Prawicy Solidarnej Polski, zrzucić na nią odpowiedzialność za reformę wymiaru sprawiedliwości, a dogadać się z którymś ze środowisk, które ma obecnie reprezentację w Sejmie. Poprzez to zapewnić sobie pewien komfort rządzenia za cenę współdzielenia pieniędzy, które mają płynąć z Funduszu Odbudowy czy w ogóle ze środków unijnych z perspektywy finansowej na lata 2021–2027. Być może taki jest plan na najbliższe miesiące. Z innej strony widzimy, że w tej chwili następują także przewartościowania w opozycji. Sądzę, że prędzej czy później sytuacja i po tamtej stronie się wyklaruje. Można powiedzieć, że piłka jest w grze i pejzaż polityczny po Funduszu Odbudowy nie będzie jakimś widowiskowym punktem zwrotnym. O zastrzeżeniach wobec mechanizmu zasobów wspólnych Unii mówi się w wąskich kręgach, dominuje radosny przekaz o wielkich pieniądzach z Unii, z których będziemy korzystać „długo i szczęśliwie". Jednak jak to będzie wyglądać w przyszłości, zobaczymy. Wszystko wskazuje na to, że Krajowy Plan Odbudowy, który został skierowany do Brukseli, zostanie odrzucony przez Komisję Europejską, ponieważ nie ma w nim bardzo precyzyjnych wyliczeń, których Unia wymaga. Te plany będą też zwracane innym krajom. To wszystko powoduje, że uruchomienie tych środków, nawet gdyby nie było innych problemów, choćby z praworządnością, od której będzie zależało wypłacanie pieniędzy, bo to odrębny temat...

... który może blokować transfer tych pieniędzy do Polski.

Tak. Jednym słowem: cały proces nie będzie aż tak szybki, jak niektórym się wydaje.

À propos problemów. Jak pan ocenia strategię walki z koronakryzysem realizowaną przez rząd premiera Morawickiego? Czy środki podjęte przez rząd w tym obszarze nie przyczyniły się do ogromnej liczby nadmiarowych zgonów w Polsce spowodowanych nie przez COVID-19, ale przez odcięcie dostępu do służby zdrowia?

Przede wszystkim ta strategia jest niespójna, nielogiczna, wielokrotnie ją zmieniano w trakcie obowiązywania jakichś procedur i zasad, które były hucznie ogłaszana na kolejnych konferencjach prasowych. Rządowa strategia ogranicza konstytucyjne prawa obywateli, m.in. do swobody działalności gospodarczej, i co więcej, nie ma właściwej podstawy prawnej, stąd przecież postępowania sądowe. Jeśli chodzi o kwestie stricte medyczne, to nie podejmuję się dyskusji, bo nie jestem ekspertem w tym zakresie. Co do zasady, proszę zwrócić uwagę – rząd mówi, że na tarcze antykryzysowe wydano 230 mld zł w ciągu ostatniego roku, to dwa razy więcej niż wartość środków tzw. bezzwrotnych w ramach Funduszu Odbudowy. To pokazuje, z jaką sytuacją mamy do czynienia. Te 230 mld też trzeba będzie spłacać. Uważam, że można było lepiej przemyśleć tę strategię, żeby nie zabierać ludziom możliwości prowadzenia działalności gospodarczej w zakresie, w jakim zostało to zrobione. To istotne zastrzeżenie do rządowej strategii.

Czy kontrowersji nie budzi sposób funkcjonowania Rady Medycznej doradzającej premierowi w związku z epidemią? Kiedy pozaparlamentarna grupa społeczna C19 z inicjatywy prof. Mirosława Piotrowskiego zwróciła się do premiera z zapytaniem o protokoły z posiedzeń Rady Medycznej, okazało się, że takich protokołów nie ma. Tak twierdzi dr Zbigniew Hałat wchodzący w skład grupy C19. Czy to nie szokujące, że obrady gremium, które ma wpływ na codzienne funkcjonowanie milionów Polaków, nie są protokołowane?

Uważam, że prace tego rodzaju gremium powinny być bardzo starannie dokumentowane. Z prostego powodu, bo może się okazać, że będzie potrzebna rzetelna informacja i określenie, czy działania, które były podjęte w danej sytuacji, były właściwe czy niewłaściwe. Do tego niezbędna jest dokumentacja – protokoły, wypowiedzi, stanowiska. Jeśli były podjęte jakieś uchwały czy rekomendacje, to na jakiej podstawie itd. To jest materiał, który powinien mieć znaczenie również dla tych, którzy w tym gremium zasiadają. Prędzej czy później może się okazać, że zostaną postawione zarzuty wobec działań, które zostały podjęte. A w sytuacji, w której mamy kilka pozwów zbiorowych ze strony różnych branż gospodarczych, które są najbardziej dotknięte skutkami pandemii, może to mieć również istotne znaczenie procesowe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

Rafał A. Ziemkiewicz

Pogrążenie PO przy użyciu Lewicy wydaje się zwycięstwem PiS. Tyle że każde takie polityczne zwycięstwo w karierze Jarosława Kaczyńskiego sprowadzało na niego problemy

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Kaczyński: wielki triumf taktyki

Jeśli ktoś napisze kiedyś książkę podsumowującą polityczną działalność Jarosława Kaczyńskiego (a nie będzie to cienka książczyna – mówimy o liderze, wokół którego kręci się scena polityczna III RP od samego zarania), to wydarzenia z przełomu kwietnia i maja 2021 r. będą zapewne kanwą rozdziału zatytułowanego „Szczyt potęgi" albo „Ostatni triumf". Rozbicie „totalnej opozycji" i poniżenie PO przy użyciu Lewicy wydaje się, po trwających już prawie sześć lat niepodzielnych rządach „Naczelnika", sukcesem nieprzekraczalnym.

Zarazem jednak jest to sukces bardzo dla Kaczyńskiego typowy: wielkie zwycięstwo taktyczne, które wcale nie poprawia jego sytuacji strategicznej, a, Bogiem a prawdą, nawet ją pogarsza. Cała polityczna kariera prezesa Porozumienia Centrum, a potem Prawa i Sprawiedliwości, była odmierzana takimi pyrrusowymi zwycięstwami. W samych początkach niepodległości, popadłszy w spór z triumwiratem Geremek-Kuroń-Michnik ograł tego pierwszego, kreując na premiera Tadeusza Mazowieckiego, który natychmiast zwrócił się przeciwko niemu. Wtedy Kaczyński stanął po stronie Wałęsy, który wygrawszy z Mazowieckim, natychmiast zabrał się do niszczenia braci Kaczyńskich. Odpowiedzią ówczesnego prezesa PC było doprowadzenie do premierostwa Jana Olszewskiego, który też natychmiast zaczął sabotować polityczny plan Kaczyńskiego, a potem próbował przejąć jego partię i ostatecznie dokonał w niej rozłamu. I tak dalej – każde zwycięstwo Kaczyńskiego sprowadzało na niego kolejne problemy.

Można oczywiście bronić „Naczelnika", że w każdej z tych sytuacji działał w skrajnie trudnych warunkach, przeciwko wszystkim – i że ostatecznie ta postawa bycia przeciwko całemu politycznemu establishmentowi III RP mu się opłaciła. Zdobył swój wierny elektorat, scementował go i przywiązał do siebie silnymi emocjami. Zbudował sprawną, posłuszną strukturę polityczną, której miarą siły jest możliwość kreowania pomniejszych liderów, czy raczej „frontmanów", zdolnych przyciągać różne segmenty elektoratu, ale nie mogących się Kaczyńskiemu przeciwstawić. Dzięki temu, dzięki zaprezentowaniu nowych twarzy – Beaty Szydło i Andrzeja Dudy – zdołał do „żelaznego elektoratu" dołączyć wyborców od „ciepłej wody w kranie" i wygrać wybory nie tylko w roku 2015, kiedy to nie najwyższy w dziejach III RP wynik przełożył się na sejmową większość dzięki zbiegowi pomyślnych okoliczności, lecz także, już przy skrajnie niekorzystnej arytmetyce, utrzymać tę większość w roku 2019.

Mając bez żadnych koalicjantów większość w Sejmie i Senacie oraz swojego

eprasa.pl 254763f74e

prezydenta odnosił Jarosław Kaczyński kolejne nieostateczne sukcesy. Wzorcowym ich przykładem było złamanie oporu prawniczego establishmentu i ustawienie po swojemu Trybunału Konstytucyjnego – dobitnie podkreślone mianowaniem na sędziów konstytucyjnych nie jakichś anonimowych dla opinii publicznej prawników, lecz polityków z pierwszej linii polsko-polskiej wojny, skupiających na sobie ogromne negatywne emocje. A przy okazji, angażując prezydenta do spiskowego przyjmowania sędziowskich ślubowań nad ranem, od razu pozbawił go prezes PiS możliwości wybicia się na samodzielność – niejako na wszelki wypadek, bo trudno jak dotąd zauważyć, by Andrzej Duda miał takie ambicje.

Sukces był niewątpliwy, spektakularny, ale korzyści z niego – jakie? Odrobina cierpliwości, a PiS i tak miałby swoją większość w Trybunale, bez całej towarzyszącej temu awantury i poniesionych strat.

Pozostańmy przy tym jednym przykładzie, choć można by podać ich więcej: przejęcie kontroli nad państwowymi mediami, utworzenie nowej KRS czy Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, wszędzie widzimy ten sam, charakterystyczny dla „Naczelnika" syndrom: zwycięstwo jest spektakularne, ale wciąż niewystarczające.

PLATFORMA UPOKORZONA

Rozerwanie bloku „totalnej opozycji", jeśli sprowadzić je wyłącznie do bieżącej politycznej taktyki, wygląda równie spektakularnie. Upokorzony i ośmieszony Borys Budka plecie coś, że „rząd stracił większość" i że to koniec PiS (który to już raz przez opozycję ogłaszany?), antypisowskie media atakują wściekle lewicę, działacze i kibice lewicy odpowiadają tym samym. Majątek warte są już choćby same publiczne pyskówki między z jednej strony Romanem Giertychem, ubliżającym Lewicy od „debili" i sugerującym, że jej dogadanie się z PiS było zainspirowane przez rosyjskie służby specjalne, i Radosławem Sikorskim porównującym głosowanie Lewicy za Funduszem Odbudowy z paktem Ribbentrop-Mołotow, a z drugiej – Włodzimierzem Czarzastym, każącym im się „puknąć w czółka", czy Anną Marią Żukowską, złośliwie przypominającą politykom PO i Nowoczesnej, co sami kilka miesięcy temu wygadywali o „torpedowaniu" wielkiego planu Unii Europejskiej, gdy oskarżali PiS o chęć jego zablokowania. A przecież we wzajemną wojnę wciągnięci zostali niemal wszyscy politycy i dziennikarze „totalnej opozycji", łojąc się nawzajem grubymi słowy z tą samą histeryczną zajadłością, z jaką do wczoraj zgodnie ubliżali rządzącym. I do tego jeszcze nieszczęsny poseł Tomczyk, usiłujący ratować sytuację zapewnieniem, że PO „o niczym innym nie myśli, tylko o tym, by obalić rząd PiS" – nawet niedostrzegający, jak żałośnie przyznaje w ten sposób, że jego partia jest politycznym bankrutem...

Po latach nieustającej agresji, wulgarności i prymitywnej nienawiści ze strony obozu lewicowo-liberalnego zwrócenie się ich teraz z taką samą furią przeciwko sobie nawzajem nie może nie dostarczać zwolennikom PiS nieopisanej „schadenfreude". Ale rzecz nie tylko w niej. Okazało się, że to PiS ma „zdolność koalicyjną", a nie PO, która w prezentowanych wyborcom wizjach nie potrafi wyjść poza snucie wizji wspólnej listy wyborczej „wszyscy przeciwko PiS", pomimo że taka lista raz już – w wyborach do Parlamentu Europejskiego – zdecydowanie się nie sprawdziła.

Bezmyślny upór, by za wszelką cenę głosować przeciwko rządowi PiS, w połączeniu z mrzonkami o utracie przez rząd parlamentarnej większości i stworzeniu z Gowinem „rządu technicznego" od Śmiszka do Brauna (mrzonki, bo brak większości w jednym głosowaniu, nawet tak ważnym, wcale nie oznaczałby przejścia któregoś z koalicjantów PiS na stronę opozycji), przysporzyły PO szkód na wielu poziomach. Po pierwsze – w stosunkach z patronami w Unii Europejskiej, na których pomocy oparta była przecież cała dotychczasowa strategia „ulicy i zagranicy", oskarżania PiS o polexit i wyznaczania kursu „na Europę". Dla eurokracji ratyfikowanie przez wszystkie państwa członkowskie „poszerzenia funduszów własnych UE" jest sprawą ważną i prestiżowo, i politycznie. A okrzyki Magdaleny Adamowicz, próbującej ich przekonać, że uruchomienie Funduszu oznacza finansowanie przez Europę „totalitarnego reżimu", który rządzi w Polsce, raczej ich nie przekonują. Tym bardziej że FO został tak skonstruowany, że nie sposób z niego wyłączyć jednego państwa.

Po drugie – PO straciła zrozumienie u własnych wyborców. Sondaże pokazały, że tylko 2 proc. z nich uważa, że należało ratyfikację FO zablokować, cała reszta, od lat słysząc od swej partii, że Unia i jej fundusze to dobro nadrzędne, oczekiwała, że w imię tego dobra ich partia wojnę z PiS odłoży na bok.

Po trzecie – PO zafundowała sobie kryzys wewnętrzny. Jeśli prawdą są wewnętrzne przecieki, że to niezłomny upór Borysa Budki, by na złość PiS zablokować ratyfikację, wbrew opinii innych członków partii, zadecydował o tym fatalnym ruchu, to jego dni wydają się policzone. Tym bardziej że przecież wcześniej to właśnie Budka zadecydował, by udzielić PiS entuzjastycznego wsparcia w kwestii „piątki dla zwierząt", przeciwko której podniósł się bunt nie tylko w rządzącej koalicji, lecz także w samym PiS. Jego postępowanie trudno więc logicznie wytłumaczyć.

LEWICA WYTRAWNA

Wszystko to przybliżyło zagrożenie utraty przez PO pozycji lidera anty-PiS na rzecz partii Szymona Hołowni. Ba, realna stała się nawet utrata drugiego

eprasa.pl 254763f74e

miejsca na rzecz lewicy. Badania robione w czasie wyborów pokazały, że prawie połowa elektoratu PO nie czuje się do tej partii przywiązana, głosuje na nią, bo widzi w niej największą partię opozycyjną. Wyraźna zmiana kolejności w sondażach może mieć więc dla PO skutki katastrofalne, mimo jej przewagi finansowej i zakorzenienia w terenie.

Dlaczego z oferty negocjacji z PiS i wcześniejszej zapowiedzi wspólnego głosowania skorzystała lewica – to oczywiste. Włodzimierz Czarzasty jest zbyt wytrawnym graczem, by nie zauważyć grożącej mu „lubnaueryzacji" i by się na nią godzić. PO, która stawiała mniejsze partie opozycyjne pod ścianą, nawet nie pytając ich przed ogłoszeniem „koalicji 276" o zdanie, a jednocześnie zmieniła program na lewicowy, czyli ewidentnie ruszyła do odebrania Lewicy jej wyborczego habitatu, wręcz prosiła się, by jej dać po nosie. Jakaż okazja mogła być do tego lepsza, niż opowiedzieć się „za UE", gdy PO tak się zakuglowała, że nagle stanęła obok Solidarnej Polski i Konfederacji?

Nie dowiemy się już, co by się działo, gdyby Kaczyński nie zaproponował rozmów i wspólnej deklaracji Lewicy. Bardzo możliwe, że i wtedy zagłosowałaby „za", bo w przeciwieństwie do PO zdawała sobie sprawę ze skutków, jakie zablokowanie przez polską lewicę i liberałów programu tak ważnego dla UE miałoby dla nich w europejskich międzynarodówkach. A gdyby jednak wspólnie z PO fundusz zablokowała – opozycja pozostałaby zjednoczona, ale PiS zyskałby na użytek UE argument, jak bardzo nieodpowiedzialna jest tutejsza opozycja.

Tymczasem, gdy Adrian Zandberg z sejmowej mównicy odpierał zarzuty PO o „zdradę" argumentami, że przyjęcie Funduszu Odbudowy przybliża przekształcenie Unii Europejskiej w jedno państwo, że pozwoli Brukseli kontrolować „stan praworządności" w Polsce i udaremnić PiS-owską reformę sądownictwa – to przecież mówił prawdę.

JAK ZAPŁACIMY ZA TEN SUKCES?

Tu dopiero dotykamy najistotniejszego zwycięstwa „Naczelnika". Jest to zwycięstwo nad własnym elektoratem. Nie dlatego, że PiS zadał się z postkomunistyczną lewicą, niegdyś największym wrogiem PC i PiS – ale dlatego, że to PiS poparł program Lewicy, a nie Lewica program PiS. Przeciwnie – PiS sprzeniewierzył się programowemu hasłu „Europy ojczyzn", przeszedł do porządku dziennego nad zapewnieniami, że nie pozwoli Brukseli mieszać się w wewnętrzne sprawy, w których traktaty unijne zagwarantują wyłączność kompetencji państw narodowych. No i zgodził się na kolejne ograniczenie suwerenności Polski. I tym wszystkim zmonopolizowany przez PiS elektorat „patriotyczny" jest zachwycony – bo widzi tylko taktyczny sukces: ośmieszenie, ogranie i osłabienie PO. Tak zachwycony, że na Solidarną Polskę, która twardo opowiedziała się przy dotrzymywaniu wyborczych obietnic, patrzy jak na szkodzących sprawie warchołów.

Tak naprawdę nie do końca wiemy, jaką cenę za ten wielki taktyczny sukces „Naczelnika" zapłacimy. Wyjaśnienie, co właściwie ratyfikowaliśmy, wymaga osobnego artykułu, ale najważniejsze jest, by wiedzieć, że Fundusz Odbudowy jest kolejny unijnym projektem celowo „niedopiętym", nieskonkretyzowanym. Nie wiadomo, kto tak naprawdę ma zarządzać zaciąganym wspólnym długiem, nie wiadomo, jak będzie rozkładana między państwa jego spłata. Nie wiadomo nawet – bo i tu fachowcy nie są zgodni – czy brak ratyfikacji ustawy o „zasobach własnych UE" oznaczałby zablokowanie tylko mechanizmu wspólnego długu czy całej perspektywy budżetowej. A więc, czy głosowanie naprawdę dotyczyło 700 mld, czy kwoty 10 razy mniejszej.

To powtarzalne zagranie eurokratów – od dawna opanowali oni sztukę rozpychania się w swych kompetencjach metodą faktów dokonanych. Najważniejsze, żeby wszyscy zgodzili się na wspólny dług i wspólne spłacanie, na stworzenie wspólnych europejskich podatków, na „kontrolę praworządności" i na to, że w razie czego jedni spłacą dług za drugich, gdyby sobie z tym nie poradzili – szczegóły możemy ustalić potem. Obrazowo można to ująć tak: grunt namówić wszystkich, żeby razem skoczyli do basenu; jak już będą lecieć, będą musieli się zgodzić, żebyśmy tam po swojemu napuścili wody. Nie inaczej przeprowadzono stworzenie wspólnej waluty czy przyjęcie kontrowersyjnych zapisów traktatu lizbońskiego.

Rząd zapewnia, że nie ma powodów do obaw, bo groźnie brzmiące zapisy będą interpretowane po naszej myśli – na przykład „kontrola praworządności" nie wyjdzie poza sprawdzanie prawidłowości wydatkowania otrzymanych funduszy, a wspólne podatki nie będą naliczane w sposób krzywdzący dla Polski. To jednak tylko ustne zapewnienia naszych polityków, których kadencja skończy się w najlepszym razie za trzy lata, podczas gdy przyjęte zobowiązania będą obowiązywać nadal.

PIS BĘDZIE MIAŁ KŁOPOTY

Tymczasem warto zauważyć, że przyjmując plan zaciągnięcia wspólnego długu – uzasadniany nadzwyczajną sytuacją pandemii, szczególnie trudną dla państw południa – organa UE bezceremonialnie zlekceważyły zapisy Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, jednoznacznie stwierdzające, że każdy budżet UE powinien być zrównoważony. To powinno być dla nas znakiem, że litera traktatów, w których tak chętnie widzimy zaporę przed kolonizacyjnymi dążeniami silniejszych państw, zwyczajnie się już w Europie nie liczy.

Wielki taktyczny sukces pociągnie więc za sobą różnego rodzaju kłopoty – i to nie dla Lewicy, która otrząśnie się z obecnej lawiny obelg i zarzutów, ale właśnie dla PiS, gdy do prawicowego elektoratu dotrze, że to jednak Ziobro i Konfederacja mówili prawdę, a propagandowe „700 miliardów" w dużej części było mirażem. Wygrywając z Budką, dał więc Kaczyński możliwość wyrośnięcia w przyszłych latach Ziobrze, i to wyrośnięcia na oskarżaniu PiS o zdradę obietnic złożonych „żelaznemu elektoratowi".

Na dodatek skutkiem złamania siły PO może być wyrośnięcie na główną siłę opozycyjną Lewicy. A Platforma, z całą swą nieudolnością i niezdolnością przedstawienia Polakom jakiejkolwiek wizji poza „odsunięciem PiS od władzy", była przecież opozycją wręcz wymarzoną. Lewica, dążąc do polaryzacji ideologicznej, będzie chwytać w żagle wiatr zachodniej popkultury i światopoglądowych zmian w młodym pokoleniu, o które PiS, jak dotąd, walczyć zupełnie nie umie.

Spektakularne zwycięstwo znowu więc, zamiast rozwiązać problemy, stworzy kolejne. Co prawda, dopiero na przyszłość. Być może więc to już nie Jarosław Kaczyński będzie się musiał z nimi mierzyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Pojedynek pancernych bestii na gruzach Kolonii

Steve Barnes – **Archipelag zbrodni**
Krzysztof Masłoń – **Świadectwa z nieludzkiej ziemi**
Tomasz Stańczyk – **AK-owcy w łagrach**
Piotr Zychowicz – **Marokańskie gwałty na Włoszkach**
Arkadiusz Karbowiak – **Tajemnice Protektoratu**
Mikołaj Iwanow – **Tajna misja Karola Radka w Polsce**
Piotr Semka – **Krucjata Niemców bałtyckich**
Jacek Bartosiak – **Do Anglii znowu daleko**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Polacy to ludzie łagodni**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 254763f74e

Kontrolna wojna podjazdowa

Kamila Baranowska

Po czasowym zawieszeniu broni wojna szefa NIK Mariana Banasia z partią rządzącą wybuchła na nowo. Widać, że kolejny pakt o nieagresji nikogo dziś nie interesuje. Zapowiada się brutalna, polityczna walka na wyniszczenie

To w czystej postaci państwo policyjne. Kto się nie zgadza z obecną władzą, ten może w każdej chwili liczyć się z zatrzymaniem i represjami – oświadczył Marian Banaś po tym, jak CBA po raz kolejny przeszukało dom jego syna. Dorzucił jeszcze, że działania PiS przypominają mu „czasy bolszewickie".

Te mocne słowa dobrze oddają napięcie, jakie dziś funkcjonuje na linii szef NIK – partia rządząca. A to prawdopodobnie dopiero początek drugiego sezonu serialu z Marianem Banasiem w roli głównej.

KONTROLA WYBORÓW

Tym razem punktem zapalnym stał się przygotowywany w NIK raport dotyczący niedoszłych wyborów korespondencyjnych z 2020 r. O tym, że taki raport powstaje, i o tym, że zawiera wiele zarzutów pod adresem premiera Mateusza Morawieckiego, poinformował „Super Express". Chwilę później szczegóły dokumentu opisał Onet. Raport końcowy NIK miał wykazać, że organizacja wyborów kopertowych odbyła się bezprawnie, a instytucje, które były w to zaangażowane, wielokrotnie złamały prawo. Główny zarzut dotyczy tego, że przygotowując się do wyborów korespondencyjnych, działano bez podstawy prawnej. Zastrzeżenia NIK mają dotyczyć nie tylko premiera, lecz także m.in. szefa jego kancelarii Michała

eprasa.pl 254763f74e

FOT. ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Dworczyka oraz szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego, a także ministra aktywów państwowych Jacka Sasina. Izba wyliczyła, że łącznie decyzje szefa rządu, wydane przy okazji niedoszłych wyborów, mogły kosztować podatników nawet blisko 133 mln zł. Wszyscy wymienieni w raporcie politycy i urzędnicy złożyli zastrzeżenia co do wyników kontroli NIK. Zostały one oddalone przez kolegium NIK, zdanie odrębne w tej sprawie złożyli wiceprezesi Izby: Tadeusz Dziuba i Małgorzata Motylow. Być może dlatego we wnioskach końcowych nie ma postulatu pociągnięcia do odpowiedzialności żadnego z polityków czy urzędników, są jedynie zalecenia natury ogólnej.

Dwa dni po publikacji Onetu do domu Jakuba Banasia, syna prezesa NIK, weszło, po raz kolejny, CBA. Prezes NIK od początku nie miał wątpliwości, że akcja Biura ma związek z opisanym w mediach raportem. – Władza, atakując moją rodzinę, próbuje zmusić mnie do rezygnacji z funkcji prezesa NIK i zmiany wyników przeprowadzonych kontroli – oświadczył. – Działań CBA wobec mojego syna i jego rodziny nie można rozpatrywać bez kontekstu, jakim jest opublikowanie w mediach fragmentu wyników kontroli NIK w sprawie „wyborów korespondencyjnych". Również wczoraj NIK zapowiedział publikację raportu z tej kontroli na 18 maja – dodał, czytając specjalne oświadczenie po akcji CBA w domu syna.

Dodał też, że on i jego syn są poddawani „nieustannej kontroli i represjom".

Pytanie: Czy rzeczywiście akcja CBA w domu Jakuba Banasia ma związek z raportem NIK, czy – jak sugerują w nieoficjalnych rozmowach niektórzy politycy PiS – jest dokładnie odwrotnie i to raport Izby pojawił się akurat w takim, a nie innym momencie? – Syn Mariana mógł się spodziewać kolejnej odsłony działań CBA, bo cały czas przecież maglują jego powiązania, więc wyciek raportu do mediów akurat w tej chwili mógł nie być przypadkowy – uważa jeden z naszych rozmówców.

Chociaż bardziej prawdopodobny jest inny scenariusz, na który zwraca nam uwagę inny polityk. Rok temu CBA zrobiło kontrolę w domu i biurze Mariana Banasia dokładnie wtedy, gdy media i opinia publiczna żyły prezentacją sztabu wyborczego prezydenta Andrzeja Dudy. Dzisiaj CBA weszło do domu syna Banasia w momencie, gdy oczy opinii publicznej są skierowane na wszystko, co się dzieje w Sejmie wokół kwestii Funduszu Odbudowy i Krajowego Planu Odbudowy. To sprawiło, że sprawa Banasia nie była tematem, którym tygodniami żyły media. – Politycznie dobrze to rozegrano, zminimalizowano straty – mówi nam polityk PiS.

HISTORIA PEWNEJ NOMINACJI

Polityczne i wizerunkowe straty w związku z powołaniem na szefa NIK Mariana Banasia PiS ponosi od dwóch lat. To wtedy dziennikarze „Superwizjera" TVN prześwietlili majątek nowego szefa Izby i dokonali paru ciekawych odkryć. Na przykład, że w krakowskiej kamienicy, której jest właścicielem i którą wynajmuje, mieści się hotel z pokojami na godziny, gdzie dochodzi do licznych interwencji policji i gdzie spotyka się przestępczy półświatek. Banaś wpisał do oświadczenia majątkowego, że jego dochody z wynajmu tej kamienicy (o powierzchni 400 mkw.) oraz jeszcze dwóch mniejszych wynosiły 65,7 tys. zł rocznie. Według dziennikarzy kwota ta była mocno zaniżona. Sam zainteresowany nazwał te doniesienia „oszczerstwami i pomówieniami". Sprawą zainteresowało się jednak CBA, które wszczęło kontrolę oświadczeń majątkowych nowego szefa NIK. Przy okazji zainteresowało się także najbliższą rodziną Banasia, w tym synem Jakubem. Pod koniec 2019 r. Biuro skierowało do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa, wskazując na wiele nieprawidłowości. Szefowi NIK zarzucono, że zataił faktyczny stan majątkowy i miał nieudokumentowane źródła dochodu. Cały raport z kontroli został jednak utajniony.

– Zapoznałem się z raportem CBA w sprawie pana Mariana Banasia i doszedłem do przekonania, że wnioski z tego raportu powinny skłonić pana Banasia do podania się do dymisji – ocenił premier Mateusz Morawiecki, gdy zapoznał się z raportem.

Po raporcie CBA w 2019 r. do kierownictwa PiS dotarło, jak wielkim politycznym błędem było powołanie Banasia na szefa NIK

To wtedy po raz pierwszy do kierownictwa PiS dotarło, jak wielkim politycznym błędem było powołanie Banasia na szefa NIK. Media miały bowiem używanie. Nie było dnia, by nie pojawiały się kolejne doniesienia na temat interesów Mariana Banasia i jego rodziny, na temat ich majątku i rozmaitych powiązań. Banaś pod naciskiem kierownictwa PiS udał się na bezpłatny urlop do czasu wyjaśnienia sprawy. To jedyne, co udało się na nim wymóc.

Jeszcze zanim to zrobił, odbył spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim i ówczesnym koordynatorem służb specjalnych Mariuszem Kamińskim, którzy mieli namawiać go do dobrowolnego złożenia dymisji. „Rzeczpospolita" informowała, że część tej rozmowy dotyczyła właśnie

eprasa.pl 254763f74e

wątku syna Banasia – Jakuba – który jest właścicielem spółek oraz fundacji, które mieściły się w feralnej krakowskiej kamienicy.

– Gdyby można było cofnąć czas, Sejm nie wybrałby Mariana Banasia na prezesa NIK – komentował w tamtym czasie Adam Bielan, europoseł PiS, co dobrze oddawało nastroje w partii rządzącej odnośnie do afery Banasia. – Oczekujemy na dymisję pana prezesa Banasia; liczymy, że nastąpi refleksja i taka dymisja zostanie złożona. W przeciwnym wypadku będziemy musieli podjąć działania legislacyjne – mówił w Radiu Wrocław Krzysztof Sobolewski, szef Komitetu Wykonawczego PiS. A Adam Lipiński, wtedy wiceprezes PiS, przyznawał, że w weryfikacji kandydata na fotel prezesa NIK zawiodły służby specjalne. I dodawał, że Banaś „z tej funkcji musi zrezygnować". – To jest oczywiste – stwierdził.

Coś, co z dnia na dzień stało się oczywiste dla polityków PiS, nie było oczywiste dla Banasia. On rezygnować ani ze stanowiska, ani z przysługującego mu na nim immunitetu nie zamierzał. Nie bez przyczyny przylgnął do niego przydomek Pancerny Marian. „Deklaruję, że będę przeciwstawiał się wszelkim próbom ataku na moją osobę jako prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Stanowczo również oświadczam, że będę bronił niezależności i bezstronności Najwyższej Izby Kontroli jako naczelnego organu kontroli państwowej" – napisał w oświadczeniu, gdy po miesiącu wrócił z urlopu.

A w PiS wciąż kombinowano, jak się go pozbyć. Sęk w tym, że prezes NIK, z mocy konstytucji i ustawy, jest praktycznie nieusuwalny. Jego kadencja trwa sześć lat i wygasa w razie jego śmierci, orzeczenia przez Trybunał Stanu utraty zajmowanego stanowiska lub odwołania. A odwołać prezesa NIK może Sejm w kilku konkretnych wypadkach: gdy sam zrzeka się stanowiska, gdy uzna, że jest niezdolny do pełnienia obowiązków wskutek choroby, gdy został prawomocnie skazany za przestępstwo, gdy sąd stwierdzi, że złożył fałszywe oświadczenie lustracyjne, lub gdy pełnienia funkcji zakaże mu Trybunał Stanu.

– Jest kilka magicznych sposobów, by Marian Banaś przestał pełnić funkcję szefa NIK. Liczę na jeden z nich, ale nie mogę mówić o szczegółach – mówił zagadkowo jeszcze pod koniec października 2019 r. Adam Lipiński, wiceprezes PiS. Okazało się jednak, że owe magiczne sposoby nie są wcale takie łatwe do przeprowadzenia, jak się pierwotnie kierownictwu PiS wydawało. – Dzisiaj stan prawny jest taki, że zgodnie z polską konstytucją prezes Najwyższej Izby Kontroli praktycznie może przestać pełnić powierzoną funkcję tylko w wyniku własnej decyzji – przyznawał Michał Dworczyk, szef KPRM, pytany wówczas o możliwe scenariusze odwołania szefa NIK. – Gdyby do niego nie doszło, a wiemy, że takie apele były formułowane, wydaje się, że będzie trudno znaleźć inną drogę prawną poza zmianą ustawy zasadniczej. Zapewne są analizowane inne rozwiązania, ale wydaje się, że ta droga, o której powiedziałem, jest najbardziej oczywista w tej sytuacji – dodał.

Jednak do zmiany konstytucji niezbędna była pomoc opozycji, a ta przytomnie uznała, że nie ma żadnego politycznego interesu w tym, by podawać partii rządzącej pomocną dłoń w kryzysowej sytuacji. PiS kusił, by dodać zapis o możliwości usunięcia prezesa NIK nie zwykłą większością, lecz np. kwalifikowaną (np. trzech piątych), co dawałoby gwarancję, że przepis nie będzie traktowany instrumentalnie, ale nikogo z opozycji nie przekonał.

Pojawił się także inny, bardziej kontrowersyjny pomysł – o którym informowała „Rzeczpospolita" – by spróbować unieważnić wybór szefa NIK z powodów proceduralnych. W dużym skrócie – chodziło o uznanie, że pierwszy etap wyboru Banasia jest wadliwy prawnie z jego winy, bo wprowadził wszystkich w błąd, zatajając informacje mające znaczenie dla powołania go na stanowisko. To miałoby otworzyć drogę do możliwości jego odwołania. Na taki bezprecedensowy ruch PiS się jednak nie odważył. Jedyne, co PiS udało się zrobić, to zainstalowanie wokół Banasia zaufanych wiceprezesów NIK: Tadeusza Dziuby i Małgorzaty Motylow.

SERIAL DOPIERO SIĘ ROZKRĘCA

Od dwóch lat i PiS, i Banaś trwają w pewnym stanie zawieszenia. Obie strony dokonały pewnej dżentelmeńskiej umowy, że nie będą się wzajemnie atakować w czasie kampanii wyborczej przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. Później doszła jeszcze pandemia, więc siłą rzeczy ten spór zszedł na dalszy plan, co obu stronom bardzo pasowało.

– Był deal między prezesem i Marianem, żeby nie atakować się w czasie kampanii wyborczej przed wyborami prezydenckimi. Obaj na to przystali, bo Marian też wcale nie chce PiS szkodzić. On raczej ma poczucie krzywdy i uważa, że tylko się broni – tłumaczy nam osoba znająca kulisy sprawy.

Po drugiej stronie jest z kolei Jarosław Kaczyński, który do Banasia ma duży żal, że gdy dwa lata temu pojawiły się wokół niego wątpliwości, to sam nie podał się dobrowolnie do dymisji, narażając PiS, któremu zawdzięczał stanowisko, na polityczne straty. – Naczelnik nie akceptuje tego, gdy ktoś stawia swój interes ponad interes ogólny partii, bo wyznaje zasadę, że kto dzisiaj szkodzi PiS, ten odbiera możliwość naprawy Polski. Banasia traktuje dziś jak politycznego przeciwnika, którego trzeba pokonać i usunąć ze stanowiska, zanim narobi jeszcze więcej szkód – relacjonuje nasz rozmówca.

Każda z kontroli i każdy raport odbijać się będą szerokim echem w mediach. I tego Nowogrodzka obawia się najbardziej

A w kategoriach szkód politycy PiS rozpatrują rozpoczęte już lub mające się niebawem rozpocząć kontrole. Część z nich będzie dotyczyć pandemii i podejmowanych przez rząd działań, np. jeśli chodzi o finansową pomoc przedsiębiorcom, a także funkcjonowanie w tym okresie szpitali czy szkół. Planowana jest też kontrola dotycząca skuteczności działań w zakresie poboru podatku VAT czy funkcjonowanie programu „Mieszkanie Plus".

Każda z tych kontroli i każdy raport pokontrolny będą odbijać się szerokim echem w mediach. I tego Nowogrodzka obawia się najbardziej, wiedząc, że Banaś jest na PiS wściekły i obrażony, a do tego wierzy, iż jest pod obstrzałem służb, a rządzący wytoczyli przeciwko niemu i jego rodzinie najcięższe działa wszelkich instytucji państwowych. Dlatego ten serial prędko się nie skończy i będzie miał jeszcze wiele zaskakujących zwrotów akcji. Najczęściej w najmniej politycznie odpowiednich momentach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

eprasa.pl 254763f74e

Prawicowiec ugodowy

Maciej Pieczyński

Krytykował działania rządu tak ostro, że trudno było uwierzyć, iż wciąż należy do klubu PiS. W końcu Andrzej Sośnierz założył własne koło. Pozostaje człowiekiem Gowina, ale już poza obozem Zjednoczonej Prawicy

Tuż przed majówką wystąpił z klubu PiS i założył koło poselskie Polskie Sprawy. Obok Sośnierza w skład koła weszło dwoje byłych polityków Kukiz'15: Agnieszka Ścigaj i Paweł Szramka. „Trzeba być w partii, żeby mieć fuchę. No dajcie spokój! Znowu promujemy miernych, biernych, ale wiernych. I to nawet nie z łapanki ich bierzemy, bo oni sami się garną. Brzydziło mnie już to wszystko" – żalił się Sośnierz w wywiadzie dla Onetu, już po założeniu własnego koła. Kamil Dziubka dopytywał, czy źródłem ostrej krytyki pod adresem PiS nie są przypadkiem niespełnione ambicje bycia ministrem. Sośnierz zaprzeczył. Rzeczywiście, od dłuższego czasu, będąc jeszcze przedstawicielem klubu PiS, polityk był bardzo surowym recenzentem poczynań rządu. Nawet jak na gowinowca.

Przede wszystkim krytykował sposób walki z epidemią. – Myśmy prowadzili jedynie działania obronne. Epidemia hula, jak chce, a my tylko reagujemy, zamiast próbować ją zdusić. Testujemy tylko chorujących objawowo, przez co nie jesteśmy w stanie wykryć wszystkich zakażeń. Dlatego wirus rozprzestrzenia się spontaniczne, a opowieści o skuteczności lockdownu czy zasady „dezynfekcja-dystans-maseczka" można między bajki włożyć. Największym błędem był od początku brak prowadzenia skrupulatnego wywiadu epidemiologicznego. Błędem była także budowa wielkich szpitali tymczasowych. W Lombardii już na samym początku epidemii okazało się, że to droga donikąd. Chorzy powinni być hospitalizowani w małych szpitalach tymczasowych zlokalizowanych przy istniejących placówkach. Dzięki temu nie byłoby większych problemów z zapewnieniem kadry medycznej i nie trzeba byłoby ograniczać leczenia pacjentów cierpiących na inne niż COVID-19 choroby – wylicza w rozmowie z „Do Rzeczy" Andrzej Sośnierz. I podkreśla: – Gdybyśmy nie popełnili tych wszystkich błędów, z powodu koronawirusa zmarłoby na pewno mniej Polaków.

POLITYCZNA WIARYGODNOŚĆ

Niezależnie od zasadności argumentów, niewątpliwie Sośnierz ma merytoryczne podstawy do zabierania głosu w dyskusji o sposobach walki z epidemią. Zanim wszedł do polityki, był lekarzem. W 1975 r. ukończył Śląską Akademię Medyczną w Katowicach. Zajmował też ważne stanowiska w systemie służby zdrowia. Przez 12 lat był kolejno asystentem, starszym asystentem i kierownikiem Okręgowego Szpitala Kolejowego w Katowicach. W latach 1990–1994, również w stolicy Górnego Śląska, pełnił funkcję okręgowego lekarza PKP i naczelnika zarządu kolejowej służby zdrowia Śląskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych. Przez siedem lat kierował wydziałem zdrowia w katowickim urzędzie wojewódzkim. Na początku rządów Jerzego Buzka doradzał ministrowi zdrowia i opieki społecznej. W latach 2006–2007 był dyrektorem NFZ.

Wcześniej, w latach 1999–2002, kierował utworzoną w ramach reformy służby zdrowia Śląską Regionalną Kasą Chorych. Na tym stanowisku osiągnął niewątpliwy sukces na polu informatyzacji służby zdrowia. Dzięki niemu mieszkańcy Śląska, jako jedyni w Polsce, mają do dziś chipowe karty pacjenta. Kierowana przez Sośnierza kasa chorych za wdrożenie rejestru usług medycznych została nagrodzona tytułem „Lidera informatyki 2002". – W krótkim czasie zrobił więcej, niż w tej kwestii udało się osiągnąć całej polskiej służbie zdrowia przez kolejne niemal 20 lat. Rozwiązanie, wprowadzone przez Sośnierza, pomogło uszczelnić system i wyeliminować wiele różnych patologii. Było świadectwem nowoczesności. To niewątpliwie wielki sukces organizacyjny Sośnierza, który dodaje mu wiarygodności, co może mieć również przełożenie na politykę – mówi „Do Rzeczy" prof. Antoni Dudek, politolog z UKSW.

Na pierwszy rzut oka można byłoby w tę polityczną wiarygodność zwątpić, biorąc pod uwagę liczbę partii, do których zdążył należeć Sośnierz. Zaczynał w Kongresie Liberalno-Demokratycznym. Potem były Unia Polityki Realnej, Inicjatywa dla Polski, Platforma Obywatelska. Po raz pierwszy do Sejmu dostał się w 2005 r., właśnie jako kandydat PO. Był zwolennikiem koalicji PO-PiS. Za to, że do niej nie doszło, odważył się publicznie skrytykować kierownictwo swojej partii. Mirosław Drzewiecki grzmiał wówczas, że to działanie na szkodę Platformy. Sośnierz został wykluczony z PO. W styczniu 2006 r. wstąpił do klubu poselskiego PiS. Rok później w przyspieszonych wyborach parlamentarnych startował z list partii Kaczyńskiego. W 2010 r. wraz z grupą rozłamowców przeszedł do nowoutworzonego PJN. Kilka lat później został ekspertem ds. służby zdrowia w Polsce Razem Jarosława Gowina. Wraz z tą partią wrócił do politycznej rodziny PiS. Od 2015 r. zasiada w Sejmie już nieprzerwanie jako poseł z partii Gowina (Polska Razem, następnie Porozumienie).

– Wszystkie partie, do których należałem, miały, przynajmniej na początku swojej działalności, wyraźny profil prawicowy, wolnorynkowy, wolnościowy. Niestety, później najczęściej skręcały w lewo. I wtedy musiałem odchodzić, by pozostać wiernym swoim przekonaniom. To nie ja zmieniałem poglądy, tylko partie – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Andrzej Sośnierz. – Trudno, mając konsekwentnie te same, prawicowe przekonania, długo wytrzymać w jednym ugrupowaniu. Taka to już praktyka polskich partii politycznych, że z reguły najpierw kuszą wolnościową, konserwatywną i rynkową retoryką, a potem pokazują swoją prawdziwą, lewicową twarz. Jestem człowiekiem kompromisu, dlatego nie odchodzę od razu, daję szansę. Ale gdy moja partia po raz kolejny np. podwyższa podatki albo łamie swoje

eprasa.pl 254763f74e

zobowiązania, wolę pozostać wierny sobie niż tej partii – dodaje.

OJCIEC, SYN I KONFEDERACJA

Sposób walki z epidemią to tylko jedna z przyczyn odejścia Sośnierza z klubu PiS. – Wydawało mi się, że to partia prawicowa. Niestety, PiS skręcił najpierw do centrum, potem silnie w lewo. Dziś jest to klasyczna partia socjalistyczna – mówi poseł Polskich Spraw. – Uważam, że monarchia jest ustrojem lepszym niż demokracja. Ale skoro mamy demokrację, to jako konserwatysta uważam, że powinniśmy przestrzegać jej zasad. PiS nagina prawo, bo jest partią rewolucyjną. A rewolucjoniści, jak wiadomo, uważają, że tylko oni mają rację i że w imię tej racji wolno im wszystko. Jeśli ktoś się z nimi nie zgadza, tak jak prezes Banaś, prof. Maksymowicz czy wicepremier Gowin, to szukają na niego haków. Wykorzystują prawo do walki z przeciwnikami politycznymi – dodaje.

Słuchając tego typu wypowiedzi, a nie znając ich autora, trudno byłoby zgadnąć, który z posłów o nazwisku Sośnierz je wypowiada. PiS z prawicowych pozycji, używając podobnych argumentów, krytykuje również Dobromir, syn Andrzeja. Gdy w 2019 r. obaj dostali się do Sejmu, ich rodzinne spory polityczne stały się wdzięcznym tematem dla mediów. Panowie nagrali nawet cykl debat pod hasłem „Sośnierz kontra". Dyskusja ojca z obozu PiS z synem z Konfederacji to ciekawy obraz relacji dwóch pokoleń polskiej prawicy.

– Gdy byłem nastolatkiem, ojciec tłumaczył mi, o co chodzi w polityce. Zaszczepił we mnie antykomunizm, sprzeciw wobec formy transformacji ustrojowej, która sprawiła, że oddaliśmy postkomunistom więcej, niż musieliśmy, wzbudził też we mnie zainteresowanie wolnym rynkiem. W końcu to ojciec przyniósł mi pierwszy numer tygodnika „Najwyższy Czas!", po którego lekturze w jeden wieczór stałem się oddanym zwolennikiem UPR – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy" Dobromir Sośnierz.

Jednak ich polityczne drogi dość szybko się rozeszły. Obaj w licznych wypowiedziach medialnych kreślą między sobą wyraźny podział. Ojciec jest pragmatykiem, skłonnym do kompromisu, syn zaś – bezkompromisowym ideowcem. – Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ojciec traktuje poważnie taką koncesjonowaną, pseudowolnościową partię, jaką był KLD – przyznaje Dobromir Sośnierz. Dodaje jednak: – Pewnie obaj się od siebie nawzajem wielu rzeczy nauczyliśmy. Gdy byłem młodszy, pragmatyzm ojca pomagał mi wyleczyć się z naiwności, pozwalał zrozumieć, że nie zawsze świat jest tak czarno-biały, jakby się chciało. Z drugiej strony, ojciec też wiele razy po pewnym czasie przyznawał mi rację. Ostatecznie w wielu sprawach mamy podobne poglądy.

To jednak nie oznacza, że Konfederacja jest naturalnym sojusznikiem koła Polskie Sprawy. Wręcz przeciwnie. Obaj panowie niechętnie mówią o ewentualnej politycznej współpracy. – Z drugiej strony profil ideowy koła Polskie Sprawy jest zbyt mało wyrazisty – komentuje Dobromir Sośnierz. Na pytanie, czy możliwa jest współpraca z Konfederacją, odpowiada: – Cóż, Konfederacja, jako siła wyrazista ideowo, nie może się sklejać z kołem o niejasnym profilu. Jeśli mielibyśmy łączyć siły, to Agnieszka Ścigaj czy Paweł Szramka musieliby w dodatku zmienić barwy po raz kolejny, a z każdym kolejnym transferem poseł staje się jednak mniej wiarygodny.

FOT. TOMASZ RADZIKOWSKI/EAST NEWS

Andrzej Sośnierz przyznaje, że choć Konfederacja jest mu ideowo bliska, to jednak razi go w niej zbytni radykalizm. – Chcę, aby koło Polskie Sprawy było siłą jednoczącą ludzi o poglądach prawicowych, konserwatywnych, wolnorynkowych. Siłą, która nie pójdzie śladem PiS i nie zamieni się w partię socjalistyczną – mówi. – Jest nam po drodze z Porozumieniem, Solidarną Polską, prawym skrzydłem PO, PSL, Kukiz'15 czy Konfederacją. Koło dopiero powstało, więc nie mamy jeszcze konkretnych planów. Na razie chcemy się policzyć, zobaczyć, ilu jest w Sejmie polityków, którzy chcieliby stworzyć pragmatyczne, prawicowe ugrupowanie. Co będzie dalej, zobaczymy – dodaje.

WCIĄŻ W POROZUMIENIU

Co istotne, Andrzej Sośnierz pozostaje w Porozumieniu. Trzyosobowe na razie koło może być więc dla Jarosława Gowina interesującym politycznym przyczółkiem. Zdaniem prof. Antoniego Dudka projekt Sośnierza nie zdziałałby nic jako samodzielny byt. Może być natomiast istotnym elementem szerszej układanki – nowej chadecji, która powstałaby ze zjednoczenia ludzi Gowina z PSL i konserwatywnym skrzydłem PO. – Taka centrowa partia musiałaby jednak rywalizować o elektorat z obecnie bardzo silnym ruchem Szymona Hołowni. Atutem „nowej chadecji" byłyby mocne struktury PSL. Polska 2050 nie zdążyła się jeszcze zakorzenić w terenie – analizuje prof. Dudek.

– Z drugiej strony, nie wykluczałbym takiego scenariusza, w którym cała ta centrowa grupa, może poza PSL, zawrze sojusz z ruchem Hołowni. Nie zdziwiłbym się, gdyby taką drogą poszło Porozumienie, które jedną nogą jest już poza Zjednoczoną Prawicą. Gowin przypomina dziś samego siebie z czasów, gdy był jeszcze ministrem w rządzie PO-PSL, ale już szykował się do odejścia. Nie wykluczam, że jeszcze przed końcem kadencji Porozumienie przejdzie do opozycji, łącząc się z grupą Sośnierza. Wtedy najpewniej będziemy mieć rząd mniejszościowy. Przewiduję, że w kolejnej kadencji Sejm będzie o wiele mniej stabilny i wtedy takie małe grupki centrowych, skłonnych do kompromisu posłów będą skutecznie pełnić funkcję języczka u wagi – konkluduje politolog.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

16 grudnia 1980 r., po uroczystościach odsłonięcia pomnika Poległych Stoczniowców. Grono kontestatorów z Topolówki w domu Szczudłowskich na gdańskiej Morenie. Od lewej: Radosław Kryszk, Piotr Szczudłowski, Tadeusz Szczudłowski, w środku: Maciej Żakiewicz FOT. Z: „NIEPOKORNI Z TOPOLÓWKI" JANA HLEBOWICZA

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką *przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza*

Niepokorna Topolówka

JAN HLEBOWICZ: Jest dzień 1 września 1980 roku. Piotr Semka za dwa miesiące skończy piętnaście lat i właśnie idzie do liceum...

PIOTR SEMKA: Czyli do słynnej już wtedy Topolówki. Wybrałem III LO w Gdańsku, bo ukończył je tuż po wojnie mój stryj, a potem, w latach 70., moi dwaj starsi bracia. W tamtych czasach takie rodzinne tradycje miały ogromne znaczenie. Nauczycielki mówiły: uczyłam twoich braci, i to było dyskretne zobowiązanie do „trzymania poziomu". Ale oczywiście już wcześniej wiedziałem, że to niepokorny ogólniak. Moja mama przyjaźniła się z panią Marią, matką Macieja Grzywaczewskiego, który razem z Marianem Terleckim na początku lat 70. angażował się w akcje antykomunistycznego oporu na terenie tej szkoły. Przez mamę Grzywaczewskiego docierały do mojego domu informacje, co się dzieje w Topolówce.

O Piotrze Szczudłowskim, jednym z najsłynniejszych kontestatorów Topolówki, też słyszałeś?

W 1978 roku z rozmów mojej mamy z panią Marią Grzywaczewską dowiedziałem się, że w III LO pojawił się nietypowy człowiek. Mówiono, że przychodzi do szkoły ubrany na czarno, a na lekcjach zadaje pytania o Katyń. To był właśnie Piotr Szczudłowski, którego postawa zafascynowała moją mamę. Może dlatego, że w okresie międzywojennym wychowała się na takich filmach jak „Młody las". Obraz ten opowiadał o ruchu oporu w szkołach carskich, głównymi bohaterami byli młodzi ludzie, którzy nie poddają się presji rusyfikacyjnej. Moich rodziców poruszyła wiadomość, że znowu pojawiają się tacy uczniowie jak Szczudłowski – noszący orzełka w klapie marynarki, ubierający się na czarno, co oznaczało wtedy żałobę po utracie przez Polskę niepodległości, i niebojący się głosić prawdy. A pamiętajmy, że były to czasy Gierka, o których mówi się jako o epoce taniego hedonizmu z głównym hasłem: „Wino, trawa, wódka i zabawa". Pod koniec lat 70. stanąć przed nauczycielem przy całej klasie i powiedzieć: „To tak nie było. Było inaczej. Pan/pani nie mówi całej prawdy" wymagało ogromnej odwagi.

Obecność w Topolówce takich ludzi jak Grzywaczewski, Terlecki, Szczudłowski była najlepszą rekomendacją dla szkoły?

Zdecydowanie. Przychodząc do Topolówki, miałem już za sobą dość nieporadne, pierwsze doświadczenia działania antykomunistycznego. W czasie wyborów samorządowych w marcu 1980 roku dostałem skądś (dziś już nie pamiętam skąd) ulotki wzywające do bojkotu wyborów, które rozrzuciłem po swojej podstawówce. Dwa miesiące później, 3 maja, wybrałem się na demonstrację uliczną RMP w Gdańsku. To, że do III LO chodzili ludzie niepokorni, dawało szansę dalszego działania.

Wróćmy do Topolówki. Pamiętasz swój pierwszy apel?

Dyrektor szkoły Czesław Krawczyk, swoją drogą bardzo porządny człowiek, rzucał jakieś aluzje, że „wiraż, na którym znalazła się nasza ojczyzna, wymaga skupienia się na nauce". Nikt z tego nic nie rozumiał, bo większość uczniów, przynajmniej pierwszych klas, wróciła dopiero z wakacji i nie interesowała się polityką. Ale to się szybko zmieniło.

Dzień wcześniej zakończył się strajk w Stoczni Gdańskiej i rozpoczął się czas karnawału Solidarności.

To, co się wówczas wydarzyło, najlepiej oddają zdjęcia z tamtego okresu. Widzimy na nich setki, może tysiące ludzi, którzy

eprasa.pl 254763f74e

w sposób nieskrępowany się uśmiechają. Mówię tu o okresie od jesieni 1980 do marca 1981 roku. Dla człowieka takiego jak ty, który nie pamięta PRL, to może się wydawać dziwne. Jednak tak rzeczywiście było. Ludzie przez lata żyjący w szaroburej rzeczywistości Polski Ludowej, płaszczący się pod butem reżimu, po raz pierwszy dostrzegli kolory i doświadczyli wyjątkowego stanu, jakim jest wolność. Jak to wówczas mówiono – „ludzie wyładnieli". Wcześniej byli zamknięci w sobie i ponurzy, ponieważ ich życie nierzadko sprowadzało się do walki o rolkę papieru toaletowego i kawałek mydła. Sierpień '80 był momentem, kiedy ta okropna komunistyczna poczwarka przeobraziła się w pięknego, wielobarwnego motyla. Wszyscy otworzyli się na siebie. Zaczęli sobie pomagać. Wspierali się dobrym słowem. Pamiętam tłum stojący od rana do późnego wieczoru pod bramą stoczni, stanowiący żywą ochronę przed potencjalnym atakiem milicji i ZOMO. Pamiętam ludzi, którzy przynosili strajkującym zdobytą kiełbasę czy konserwy. Czuć było, że jesteśmy jedną wielką wspólnotą. Chłonąłem tę atmosferę. Goethe powiedział kiedyś, że ktoś, kto odwiedził Italię i widział absolutne piękno błękitu włoskiego nieba, już nigdy w życiu nie będzie tak do końca nieszczęśliwy. Myślę, że podobnie jest z Solidarnością. Wszyscy ci, którzy doświadczyli tamtych wydarzeń, a po latach sięgają do nich pamięcią, zawsze się uśmiechają. W czasie strajku Sierpnia '80 codziennie chodziłem pod bramę stoczni i z szeroko otwartymi oczami chłonąłem wszystko, co tam się działo.

Duch Sierpnia '80 nie ominął Topolówki.

Dwa miesiące po rozpoczęciu roku szkolnego pojawiła się idea powołania parlamentu, czyli niezależnej organizacji uczniowskiej. Była to pierwsza tego typu inicjatywa w Polsce.

Przy okazji tworzenia parlamentu uczniowskiego zetknąłeś się z Wiesławem Walendziakiem i Jarosławem Kurskim.

To byli już wtedy doświadczeni konspiratorzy (śmiech). Wiesław Walendziak chodził do czwartej klasy i był umocowany stosunkowo wysoko w strukturach Ruchu Młodej Polski. Był takim capo di tutti capi RMP w Topolówce, a jego consigliere był z kolei młodszy o rok Jarek Kurski, dziś wiceszef „Gazety Wyborczej" (nie mylić z młodszym o trzy lata Jackiem, późniejszym politykiem PiS, obecnie szefem TVP). Walendziak obstawiał Jarosława jako szefa młodzieżówki RMP w szkole, a jako przedstawiciela III LO w ruchu parlamentów szkolnych forsował wówczas niezwykle głośną postać Zdzisława Irczyca.

Ruch parlamentów szkolnych, zapoczątkowany w III LO w Gdańsku, wkrótce rozlał się na całą Polskę.

Z inicjatywy uczniów III LO przedstawiciele trójmiejskich szkół spotkali się z ministrem oświaty i wychowania Krzysztofem Kruszewskim i przedstawili mu listę postulatów, które miały zostać zrealizowane na poziomie szkolnictwa średniego. Kilka miesięcy później uczniowie, tym razem już z całego kraju, znowu rozmawiali z Kruszewskim w Warszawie. Niestety, niewiele osiągnęli.

Rozmowa licealistów z ministrem oświaty w PRL-owskich realiach to raczej spore osiągnięcie.

Pamiętajmy, że działo się to w czasie karnawału Solidarności, kiedy miały miejsce rzeczy wcześniej nie do pomyślenia. To naprawdę był rewolucyjny czas. Samego spotkania nie uznałbym za nic szczególnie wielkiego. O sukcesie można by mówić, gdyby nasze postulaty chociaż częściowo udało się wprowadzić w życie. Ja szybko zacząłem zdawać sobie sprawę, że cały ruch parlamentów szkolnych to bardziej gadanie niż realne działanie. Do Topolówki zjeżdżali uczniowie z całej Polski. Siedzieli w sali pełnej papierosowego dymu i debatowali do trzeciej nad ranem. Tworzyły się jakieś frakcje. Łódź popiera Wrocław, Poznań Warszawę, a Kraków trzyma z Gdańskiem. Wydawało mi się to bardzo nadęte. Podczas tych nasiadówek zaczęło objawiać się coraz więcej kieszonkowych Napoleonów, którzy doskonale opanowali sztukę ładnego mówienia, ale nic więcej. Byłem przekonany, że jak tylko śruba zostanie przykręcona, prawie wszyscy ci antykomunistyczni trybuni położą po sobie uszy i schowają się do norek. I w większości przypadków niestety się nie pomyliłem.

Ale przecież sam w tym uczestniczyłeś. W styczniu 1981 roku razem z Radosławem Kryszkiem znalazłeś się w prezydium parlamentu szkolnego dowodzonego przez Jarosława Kurskiego.

Współpraca z Radkiem i jego starszym bratem Przemkiem była dla mnie bardzo ważna. Spotykaliśmy się u nich w domu. Traktowałem to jak naukę na uniwersytecie. Czytaliśmy tam książki dostępne w drugim obiegu, „Kulturę" paryską i dużo dyskutowaliśmy. Wielu rzeczy się od nich nauczyłem, za co jestem im wdzięczny do dziś. Jednak niemal od samego początku wiedziałem, że parlament nie jest dla mnie. Działanie w organizacji uczniowskiej było raczej przedsmakiem polityki, a ja miałem temperament wyraźnie dziennikarski.

Kiedy ów temperament się ujawnił?

Kilka dni po powołaniu parlamentu w Topolówce wpadłem na pewien pomysł. Zgłosiłem się do Walendziaka i starszego Kurskiego, że chcę przygotować gazetkę w kolejną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Zgodzili się, gazetka powstała, ale po 11 listopada kazano mi ją zdjąć. Takie anachroniczne myślenie ludzi związanych z RMP, że przyklejenie rulonu z tektury kilka razy w roku wystarczy. To było dobre na czasy Gierka, gdy gazetka i tak wisiała nie dłużej niż piętnaście minut, zanim któryś z prawomyślnych nauczycieli ją zerwał. Teraz zaś nadszedł czas na stałe pismo – choćby na początek w formie prezentacji ściennej. Zaproponowałem, by jedną z gablot wiszących na pierwszym piętrze budynku przeznaczyć na gazetkę, która byłaby często aktualizowana. Bardzo się zdziwili, ale nie oponowali. I tak powstał „Biuletyn Informacyjny Topolówka". Ludzie mówili po prostu „BIT". Kiedy wymyślałem tę nazwę, w ogóle nie wiedziałem, że skrót ten oznacza najmniejszą jednostkę informacji komputera.

Pierwsze numery robiłeś razem z Wojciechem Stammem...

... znanym potem jako awangardowy poeta Lopez Mausere. Wojtek przyłączył się do robienia gazetki, ponieważ była to demonstracja pewnej niezależności. Zawsze był raczej artystą, więc dziennikarskiego zacięcia nie miał. Szybko się znudził, ale był dobrym duchem startu „BIT-u".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

Dotychczas wydrukowaliśmy następujące fragmenty książki:

- **„Jak Semkowie Polskę wybrali"** – nr 16/2021
- **„Dziadek Jan i dziadek Józef"** – nr 17/2021
- **Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową** – nr 18/2021

eprasa.pl 254763f74e

Są symptomy oczyszczania się Kościoła

Tomasz Rowiński

Czy polski Kościół może sam się oczyścić? Z pewną ostrożnością powiem, że tak, jednak trzeba wskazać przynajmniej na dwa zagrożenia

Od kilku lat Kościół katolicki w Polsce znajduje się pod ostrzałem w związku z oskarżeniami o ukrywanie przypadków nadużyć seksualnych dokonywanych przez duchownych. Symbolem tego zjawiska stały się filmy braci Sekielskich, na które Kościół nie potrafił dobrze zareagować. Dzisiaj, gdy atmosfera napiętnowania nieco opadła, warto przyjrzeć się temu, co Kościół zrobił w sprawie nadużyć. Wiele wskazuje na to, że Polska nie stanie się drugą Irlandią, gdzie zaniedbania hierarchii doprowadziły niemal do całkowitego upadku Kościoła.

To prawda, że Kościół w naszym kraju nie chciał powołać komisji, która dokonałaby niezależnego badania archiwów. Można powiedzieć, że zachował się równie zachowawczo jak w przypadku wątku współpracy duchowieństwa ze służbami aparatu bezpieczeństwa państwa komunistycznego. Co więcej, jesienią roku 2020 redaktor naczelny „Więzi" Zbigniew Nosowski pisał, że „wśród kanonistów panuje przekonanie, że w żadnym innym kraju nie pojawiło się tyle zgłoszeń na mocy »Vos estis lux mundi« jak w Polsce". Dokument ten promulgowany bezpośrednio z woli papieża dał możliwość zgłaszania czynów „polegających na działaniach lub zaniechaniach, mających na celu zakłócanie lub uniknięcie dochodzeń cywilnych lub kanonicznych, administracyjnych lub karnych, przeciwko duchownemu lub zakonnikowi" w przypadkach nadużyć seksualnych.

REALNA PRACA

Ktoś mógłby powiedzieć, że liczba zgłoszeń potwierdza, jak źle jest z Kościołem w Polsce. Czy faktycznie byłaby to trafna opinia? Po pierwsze – jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z dużą liczbą zgłoszeń, to może to dobrze świadczyć o świadomości kościelnej polskich katolików, którzy gdy tylko otrzymali narzędzia, by reagować na zło, po prostu zareagowali. Oczywiście nie wiemy, czy wszystkie te zgłoszenia zostały dokonane w dobrej wierze, nie ma to jednak wielkiego znaczenia, ponieważ liczy się uruchomienie mechanizmu umożliwiającego dochodzenie do sprawiedliwości. Po drugie – do dziś, w związku działaniem tych nowych przepisów, kary dotknęły już trzech biskupów: bp. Edwarda Janiaka, abp. Sławoja Leszka Głódzia i nieżyjącego już kard. Henryka Gulbinowicza, byłego metropolity wrocławskiego. I te dekrety karne są wykonywane, to znaczy, że Kościół wreszcie pilnuje tych spraw.

Wydaje się, że dobrze dzisiejszą sytuację w Kościele opisał w rozmowie ze mną ks. Grzegorz Strzelczyk z Fundacji św. Józefa powołanej przez prymasa abp. Wojciecha Polaka w celu pomagania ofiarom nadużyć seksualnych w Kościele, ale i poza nim: „W ostatnich latach udało nam się zbudować zręby systemu reagowania, gdzieniegdzie go trzeba naoliwić, gdzieniegdzie jest on jeszcze nieporadny, ale zaczyna działać, dlatego reagowanie na bieżące sprawy jest już reagowaniem zdecydowanie lepszym. Natomiast jeśli sięgamy wstecz, to tu się sprawa komplikuje, dlatego że dopiero przygotowywane są normy Episkopatu dla procesów historycznych. Chodzi o zasady postępowań w odniesieniu do osób nieżyjących i starych spraw. Mam nadzieję, że w tym roku ujrzą one światło dzienne i zaczną się też te procesy wyjaśniające w stosunku do obwinionych osób zmarłych. Musimy to odgruzować". Już ten krótki cytat – a jeszcze bardziej cały wywiad opublikowany na portalu DoRzeczy.pl – pokazał, że w Kościele trwa realna praca nie tyle nad ratowaniem instytucji, ile nad tym, by Kościół stał się w Polsce liderem pracy pomocowej wobec ofiar przemocy seksualnej.

Ksiądz Grzegorz Strzelczyk jest oczywiście bardzo ostrożny w swoich ocenach, mówi, że prawdziwa zmiana mentalności – nie tylko kościelnej – jeszcze przed nami. Ta ostrożność nie może dziwić. Każdy, kto o sprawach nadużyć seksualnych choćby tylko czytał w wywiadach z takimi osobami jak ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, zna dobrze historie ludzi przychodzących do kurii diecezjalnych z poczuciem

eprasa.pl 254763f74e

FOT. ADOBE STOCK

krzywdy, a odbijających się od nich jak od wrogich twierdz. Jest jednak i druga strona medalu, o której mówił mi ks. Strzelczyk: „Informacje w środowiskach kościelnych, do kogo ewentualnie można odesłać, jeżeli jest poważny problem, jednak funkcjonowały. Oczywiście to nie było sprawne i systemowe. Często rzeczywiście z elementem losowym. Byłbym nieuczciwy w stosunku do moich kolegów księży, którzy wysłuchiwali takich spraw 15 czy 20 lat temu. Skąd się biorą ludzie dziś pracujący w systemie? Przeważnie stąd, że mieli doświadczenia wcześniejsze. Oni już mają wrażliwość, mają pewne doświadczenie i to jest też siła naszych działań".

Można spotkać się też ze sprawami, w których Kościół wykazuje się zaangażowaniem, jakiego byśmy się po nim nie spodziewali, znając tylko przekaz mediów głównego nurtu. W ramach procedur sformułowanych przez papieża w „Vos estis lux mundi" do Stolicy Apostolskiej – przynajmniej z niektórych diecezji – trafiają sprawy dawno przedawnione z punktu widzenia i prawa kościelnego, i prawa świeckiego. Kiedy państwowa komisja ds. pedofilii skierowała do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez biskupów diecezji bielsko-żywieckiej, mogło się wydawać, że to kolejny zawstydzający przypadek zaniedbań, dla których dziś już nie znajdujemy żadnych usprawiedliwień. Jednak rozmowa z bp. Romanem Pindlem dała zupełnie inny obraz sytuacji. Aktualny ordynariusz bielsko-żywiecki wszczął proces kanoniczny w tej sprawie, gdy tylko objął swoje stanowisko. Oskarżony ksiądz okazał się winny i Stolica Apostolska orzekła kary. Całą sprawę przeprowadzono pomimo przedawnienia. Co więcej, okazało się, że metropolia krakowska wszczęła także proces wobec bp. Tadeusza Rakoczego, na którym ciąży oskarżenie zlekceważenia wcześniejszego zgłoszenia. Tymczasem dla dużych portali informacyjnych była to tylko kolejna okazja, by napisać o biskupach w kontekście oskarżeń na tle seksualnym.

WYMOWNE ZNAKI

Wróćmy do trzech hierarchów, na których nałożono w ostatnim czasie kary kościelne. Wiele wskazuje na to, że są one wykonywane, i to jest ważna informacja. „Na konto Fundacji św. Józefa Konferencji Episkopatu Polski wpłynęła darowizna o tytule »za kardynała Gulbinowicza«" – poinformował ks. Piotr Studnicki, kierownik Biura Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży oraz pełnomocnik Fundacji św. Józefa. Fundusze przekazała diecezja wrocławska, która jest spadkobiercą kardynała. Tutaj tylko jako dygresję warto przypomnieć, że nad sprawą kard. Gulbinowicza wciąż wiszą pytania o rzetelność procesu kościelnego, jakie postawiła Agnieszka Bugała w artykule „Bohater wylany z kąpielą? Publiczny demontaż życiorysu kardynała Gulbinowicza". Tego samego dnia ks. Studnicki oświadczył także, że „w sprawie arcybiskupa Leszka Sławoja Głódzia decyzja Stolicy Apostolskiej upubliczniona dnia 29 marca br. dotycząca wpłaty na rzecz Fundacji św. Józefa została zrealizowana". W przypadku abp. Głódzia sprawa dotyczyła bezpośrednio kwestii, które podejmowano w „Vos estis lux mundi", czyli zaniedbań w prowadzeniu spraw o nadużycia seksualne na szkodę osób małoletnich.

Jeszcze wymowniejszym znakiem, że kolejni polscy biskupi nie zamierzają pomijać nawet drobnych form lekceważenia wyroków Stolicy Apostolskiej w sprawach o niedopełnienie obowiązków wobec doniesień o możliwej przemocy seksualnej wobec nieletnich, jest niedawny epizod związany z bp. Edwardem Janiakiem. Biskup Janiak, jak wiadomo, ma zakaz przebywania w swojej diecezji, jednak pojawił się na jej terenie 23 kwietnia. Miało to miejsce w Złoczewie w Domu Pomocy Społecznej Caritas, gdzie według informacji, jakie przedstawił, miał przyjąć drugą dawkę szczepionki przeciwko COVID-19. Jednak aktualny ordynariusz kaliski Damian Bryll, nie oglądając się na okoliczności, natychmiast zawiadomił o sprawie nuncjusza apostolskiego, co zmusiło bp. Janiaka do tłumaczenia się ze swojego postępowania. „Informujemy, że biskup Edward Janiak zapewnił nuncjusza apostolskiego w Polsce i biskupa kaliskiego, że z dniem 27 bm. opuścił definitywnie teren diecezji kaliskiej. O jego miejscu pobytu została poinformowana Stolica Apostolska. W myśl przepisów prawa o ochronie danych osobowych nie zostanie ono podane do publicznej wiadomości" – poinformował po wyjaśnieniu sprawy rzecznik prasowy diecezji ks. Michał Włodarczyk.

CZY SAMOOCZYSZCZENIE JEST MOŻLIWE?

Opublikowanej na wiosnę 2020 r., a przeprowadzonej po emisji filmu Sekielskich „Zabawa w chowanego" rozmowie z Tomaszem P. Terlikowskim nadałem z przekonaniem tytuł: „Nie wierzę, by Kościół sam się oczyścił". Czy dziś można mieć więcej optymizmu? Z pewną ostrożnością powiem, że tak, jednak trzeba wskazać przynajmniej na dwa zagrożenia. Pierwsze polega na tym, że hierarchowie zatrzymają się w pół drogi i ostatecznie zarzucą podjęte dzieło budowania systemu bezpieczeństwa i opieki nad ofiarami; drugie, że zadowolą się wskazaniem kozłów ofiarnych, które już się znalazły, i w konsekwencji zaczną osłabiać działanie prawa papieskiego. Na dziś wydaje się ono rzeczywiście skutecznym narzędziem walki z nieprawością. Oczekiwać, że sprawy będą szły już tylko w dobrym kierunku, to na pewno przesada, ale można mieć nadzieję, że dobry kierunek zacznie być dominujący, że dobre prawo zacznie zmieniać złe obyczaje. Utrzymania takiego kursu musimy wręcz teraz od biskupów wymagać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

Polizać youtubera

Agnieszka Niewińska

Wynajęli willę, a rozrywkowe życie filmują i wrzucają do sieci. Stali się idolami dzieci. Po tym, jak z producentem lodów wypuścili sorbet na patyku, trzeba było uruchamiać dodatkowe linie produkcyjne

Rozpychanie się łokciami, przeciskanie w tłumie, błyskawiczne ładowanie do toreb – to, jak się okazało, kluczowe umiejętności potrzebne do szturmowania sklepowych lodówek. Filmy z histerycznego pustoszenia chłodziarek przez klientów trafiły do sieci po tym, jak na rynku zadebiutowały lody na patyku firmy Koral sygnowane przez grupę youtuberów – Ekipa. W mediach społecznościowych jedni chwalili się przyniesionymi do domu całymi kartonami tych sorbetów na patyku (w polewie o smaku gumy balonowej ze strzelającym cukrem), inni żalili się, że choć do sklepu dotarli po godz. 6 rano, to na lody się nie załapali. W Internecie zakwitł nawet handel papierkami po lodach Ekipa, a media obiegły historie rodziców, którzy pokonali 30 km, by ich pociecha mogła polizać sorbet Ekipy.

NA POCZĄTKU BYŁY POKEMONY

Wojny przy sklepowych półkach to nic nowego. Były już wyścigi do crocsów (gumowych chodaków z dziurkami) czy wyrywanie sobie z rąk skórzanych torebek marki Wittchen w dyskontowych cenach. Czasem motywacją jest atrakcyjna cena, czasem światowa marka. Tak było w przypadku rajstop Gucci. Rajstopy – od razu dziurawe – kosztowały 140 euro. Mimo medialnych kpin z wybrakowanego produktu w żadnym z krajów, w którym trafił do sprzedaży, handlowej porażki nie było. Dziurawe rajstopy sprzedawały się na pniu, bo były od Gucciego.

W przypadku lodów Ekipa nie chodziło ani o markę, ani o cenę, tylko o promujących produkt youtuberów. Chociaż starszemu pokoleniu hasło Ekipa nic nie mówi, to dla młodszych członkowie tego youtube'owego kolektywu są idolami. Większość grupy to ludzie urodzeni w drugiej połowie lat. 90. Największą popularnością cieszy się Karol Wiśniewski, pseudonim Friz, założyciel Ekipy. Okrzyknięto go najbogatszym polskim youtuberem. Sam mówi, że zgromadził taki majątek, iż dziś mógłby zamknąć swój kanał i do końca życia nic nie robić.

Na YouTube pojawił się w 2010 r. Początkowo dzielił się filmami z jazdy na rolkach czy ćwiczeń parkourowych. Popularność przyniosły mu filmy, na których pokazywał modną kilka lat temu grę „Pokémon GO". – Powiedziałem rodzicom, że chcę mieć jeden rok, nie iść na studia i spróbować tego YouTube, bo w trakcie szkoły nie zarabiałem na nim. Wakacje po szkole były przełomowe. Wtedy pojawiły się pokemony. Zacząłem je nagrywać i okazały się wielkim hitem, i to mi pozwoliło już na te studia nie iść – opowiadał Friz w reportażu „Uwaga!" TVN. Jego kanał po woli zmieniał charakter na lifestyle'owy, rozrywkowy. W 2018 r. skrzyknął kilka osób i założył Ekipę. To grupa youtube'owych twórców, którzy mieszkają razem w luksusowej willi pod Krakowem. Nagrywają filmy o charakterze rozrywkowym, różnego rodzaju wyzwania. Raz to pokonanie toru przeszkód w parku trampolin, innym razem dotykanie przez cały dzień rzeczy w wylosowanym kolorze czy nieprzyjemne dowcipy wobec któregoś z członków grupy. Ekipa testowała już kebaby w Dubaju, rozbijała drogie auta w USA, skakała na bungee i bawiła się w chowanego w parku wodnym.

MILION LODÓW NA DOBĘ

Na kanałach youtuberów Ekipy stale pojawiają się nowe filmy. Bywały dni, w których publikowali oni po kilkanaście materiałów jednego dnia. Do ich dyspozycji są montażyści i operatorzy kamery, youtuberom pomagają asystentki, a nad biznesem czuwa najstarszy w grupie Łukasz Wojtyca, czyli Wujek Łuki (rocznik 1985). Ekipa to dziś spółka giełdowa, ma własną markę ubrań i gadżetów EKIPATONOSI. Pracuje nad własnym albumem muzycznym, ostatnio w jednym z teledysków wyeksponowała piwo Buh od Kuby Wojewódzkiego i Janusza Palikota, choć trzon widzów to osoby niepełnoletnie (właściciel marki od klipu się odciął, choć piwo Ekipie przekazał). – Ekipa rozumie, jak działa Internet, i potrafi to wykorzystać. Dzisiaj to już nie tyle popularny kanał na YouTube, ile sprawnie działające przedsiębiorstwo – mówi Szymon Sikorski, prezes agencji Publicon.

Tylko kanał Friza subskrybuje 4,3 mln widzów. Jego filmy zostały odtworzone już ponad 1,7 mld razy. Wspólny kanał Ekipy subskrybuje 1,52 mln internautów, kanał Wersow, czyli Weroniki Sowy, należącej do Ekipy dziewczyny Friza, ponad 2 mln. Pozostali członkowie youtube'owej grupy

eprasa.pl 254763f74e

Karol Wiśniewski, pseudonim Friz, z lodami FOT. YOUTUBE/KAROL FRIZ WIŚNIEWSKI

mają ponad 1 mln subskrybentów każdy. To przekłada się na zainteresowanie sygnowanymi przez Ekipę produktami.

– Zdawaliśmy sobie sprawę z popularności Ekipy wśród młodzieży, ale skala zainteresowania lodami Ekipa zaskoczyła zarówno nas, jak i samą Ekipę. Takiego nieprawdopodobnego szału nie spodziewaliśmy się zwłaszcza teraz, kiedy ze względu na niskie temperatury nie ma jeszcze sezonu na lody. Zainteresowanie lodami Ekipa okazało się jednak niezależne od warunków pogodowych – mówi Piotr Gąsiorowski, dyrektor marketingu firmy Koral. Przyznaje, że po tym, jak lody znikały z lodówek w kilka czy kilkanaście minut po otwarciu sklepów, firma uruchomiła dodatkową linię produkcyjną. – Lody Ekipa produkowane są non stop. W tej chwili jesteśmy w stanie zrobić ok. 1 mln sztuk lodów na dobę, ale i tak w wielu miejscach są niestety trudności z ich kupieniem.

Skąd pomysł, by zaangażować do współpracy youtuberów? – To propozycja, która wyszła od młodego pokolenia członków zarządu firmy Koral. Pojawiła się już dwa lata temu. Zaczynając rozmowy z Ekipą, myśleliśmy o tym, żeby nasze produkty pojawiały się na ich kanale, w ich domu. Na tyle dobrze się nam rozmawiało, że padła propozycja wspólnego stworzenia zupełnie nowych, wyjątkowych i autorskich lodów. Lody Ekipa to klasyczny efekt synergii: my wnieśliśmy know-how, jeśli chodzi o recepturę, produkcję lodów czy też bezcenne doświadczenie i zaplecze handlowo-logistyczne, natomiast Ekipa wiedzę na temat tego, co lubią młodzi ludzie, czego oczekują, co im smakuje. Dzięki temu lody, które stworzyliśmy, są nie tylko przepyszne, lecz także autentyczne. I to jest – moim zdaniem – jeden z kluczy do ich sukcesu, podobnie jak do internetowego sukcesu Ekipy – mówi Piotr Gąsiorowski. – Kampania lodów Ekipa to sprawnie przeprowadzona akcja. Zainteresowanie produktem było stopniowo nakręcane. Do odbiorców docierały informacje o tym, że Ekipa nad czymś pracuje, przygotowuje opakowanie, wybiera smaki. To nakręciło spiralę. Fani Ekipy uznali, że muszą te lody mieć – ocenia Szymon Sikorski. Zaznacza, że wykorzystywanie youtuberów w kampaniach reklamowych, nawet tych dużych marek, nie jest w Polsce niczym nowym. – Jednym z pierwszych, który sięgnął po ludzi popularnych na YouTube, był bank Millennium. Do swojej kampanii zaangażował Radka Kotarskiego, który na YouTube prowadzi kanał edukacyjny Polimaty. Dzisiaj agencje reklamowe cały czas sięgają po youtuberów. Dla mojego pokolenia idolami byli bohaterowie filmów, aktorzy z Hollywood, gwiazdy estrady. Dla dzisiejszej młodzieży to YouTube jest źródłem informacji, rozrywką i popkulturą. W dodatku youtuberzy są odbiorcom bliscy. Idole mojego pokolenia byli nieosiągalni. Na koncert zespołu Queen trudno było dostać bilet, a co dopiero skontaktować się z muzykami. Youtuberzy natomiast wchodzą w interakcje z fanami, odpisują na wiadomości, komentarze.

Popularność na YouTube nie jest jednak wieczna. Można ją stracić niemal z dnia na dzień. – Przykłady zapomnianych youtuberów, których wcześniej oglądały miliony, można mnożyć. Komediowy kanał AbstrachujeTv był najpopularniejszym na polskim YouTube. Twórcy założyli spółkę Abstra i weszli na giełdę. Pokazali jednak, że ze szczytu można szybko spaść i znaleźć się w finansowych tarapatach. Nie powiedzieli jednak ostatniego słowa i po tym, jak w kolejnych latach notowali straty, w ubiegłym roku osiągnęli zysk. Młodzi twórcy są jednak coraz sprytniejsi. Kopiują popularne formaty z amerykańskiego YouTube, adaptują je do polskich warunków i próbują wyciągnąć z takiego projektu tak dużo pieniędzy, jak to tylko możliwe. Wiedzą, że to się kiedyś skończy – mówi Sikorski.

MILION ZŁOTYCH ZYSKU W MIESIĄC

Na razie Ekipa nie zwalnia tempa w zarabianiu pieniędzy. Friz ogłosił, że w marcu zysk netto przekroczył 1,1 mln zł, i to bez wpływów z płyty, którą wydali, i z lodów.

A sorbety mogą nie być ostatnim lodowym angażem Ekipy. Piotr Gąsiorowski zaznacza, że firma myśli o dalszej współpracy z Ekipą i nie boi się angażowania w promocję twórców popularnych w sieci. – Nasze produkty kierujemy do różnych grup wiekowych, bo lody jedzą wszyscy. Wiadomo przecież, że w naszych kampaniach udział brało już wiele gwiazd i artystów ważnych dla starszych pokoleń. Od zawsze niezwykle cenionymi przez nas konsumentami są dzieci i tutaj także corocznie przygotowujemy specjalne oferty produktowe oraz kampanie reklamowe. W tym roku szczególnie proponujemy im lody nawiązujące do ich ulubionych postaci bajkowych, jak np. SpongeBob czy Psi Patrol. Niemal każdy rok to wyjątkowa strategia handlowo-marketingowa, a w bieżącym skupiliśmy się na młodzieży, dlatego też do współpracy zaprosiliśmy Ekipę, czyli osoby, które młodzież ogląda, lubi, z którymi się identyfikuje. Wydaje się, że to był strzał w dziesiątkę – mówi dyrektor marketingu firmy Koral.

Nie ma wątpliwości, że młodzież fascynuje podglądanie rozrywkowego życia za pieniądze zarobione na YouTube. Opublikowane w marcu badania IQS „Aspiracje dziewczynek w Polsce" pokazują, że aż 48 proc. nastolatek w wieku 10–15 lat marzy o tym, by zostać youtuberkami, instagramerkami czy tik-tokerkami. Drugim najczęściej wskazywanym zawodem była graficzka komputerowa, projektantka komputerowa (21 proc. wskazań). Lekarką lub pracownicą usług medycznych chce być zaledwie 15 proc. dziewczynek, a w nauce widzi się tylko 5 proc. z nich. Matki pytane o wymarzony zawód dla córki zdecydowanie rzadziej wskazywały karierę w mediach społecznościowych (12 proc.). Pozostaje przypomnieć im, że na YouTube wcale nie tak łatwo zrobić karierę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

„Targ w Nowym Targu", przed 1860 r.
FOT. PRACOWNIA MNK

Prawda i natura

Wiesław Chełminiak

Popularność Matejki stała się przekleństwem dla jego utalentowanych kolegów. Któż pamięta krakowskich malarzy realistów działających w latach 60. i 70. XIX w.? W cieniu twórcy „Bitwy pod Grunwaldem" znikł również Aleksander Kotsis – człowiek, który wprowadził polskiego chłopa na artystyczne salony

Mistrz Jan był synem Czecha, ojciec Aleksandra przywędrował nad Wisłę ze Spiszu, czyli dzisiejszej Słowacji. Jan Nepomucen Kotsis miał opinię drobnego kupca, ale umarł jako właściciel trzech domów w podkrakowskim Podgórzu. Przyszły malarz urodził się w sąsiednim Ludwinowie, rodzinnej wsi matki. Pobierając nauki w cesarsko-królewskiej Szkole Sztuk Pięknych, pracował jednocześnie w należącym do rodziny sklepie.

Dawna stolica, cel patriotycznych pielgrzymek z trzech zaborów, wbrew pozorom nie żyła tylko przeszłością. Młodzi, spotykający się w refektarzu klasztoru Franciszkanów, gdzie miał swoją pracownię rzeźbiarz Parys Filippi, kontestowali kosmopolityczny i wydumany neoklasycyzm. Marzyła im się sztuka podejmująca wyzwania współczesności. Realizm był, jak niemal wszystkie estetyczne rewolucje, francuskim wynalazkiem. Zrodzony z przesytu wzniosłymi tematami, postulował powrót do źródeł: prostego życia prostych ludzi. Miało to również wymiar polityczny. Ku przerażeniu monarchów widmo demokracji uparcie krążyło nad Europą. Ludowe fascynacje wywierały zaś coraz silniejszy wpływ na kulturę narodów europejskich, objawiając się

eprasa.pl 254763f74e

„Chłopiec strzelający z klucza", ok. 1863 r.
FOT. PRACOWNIA MNK

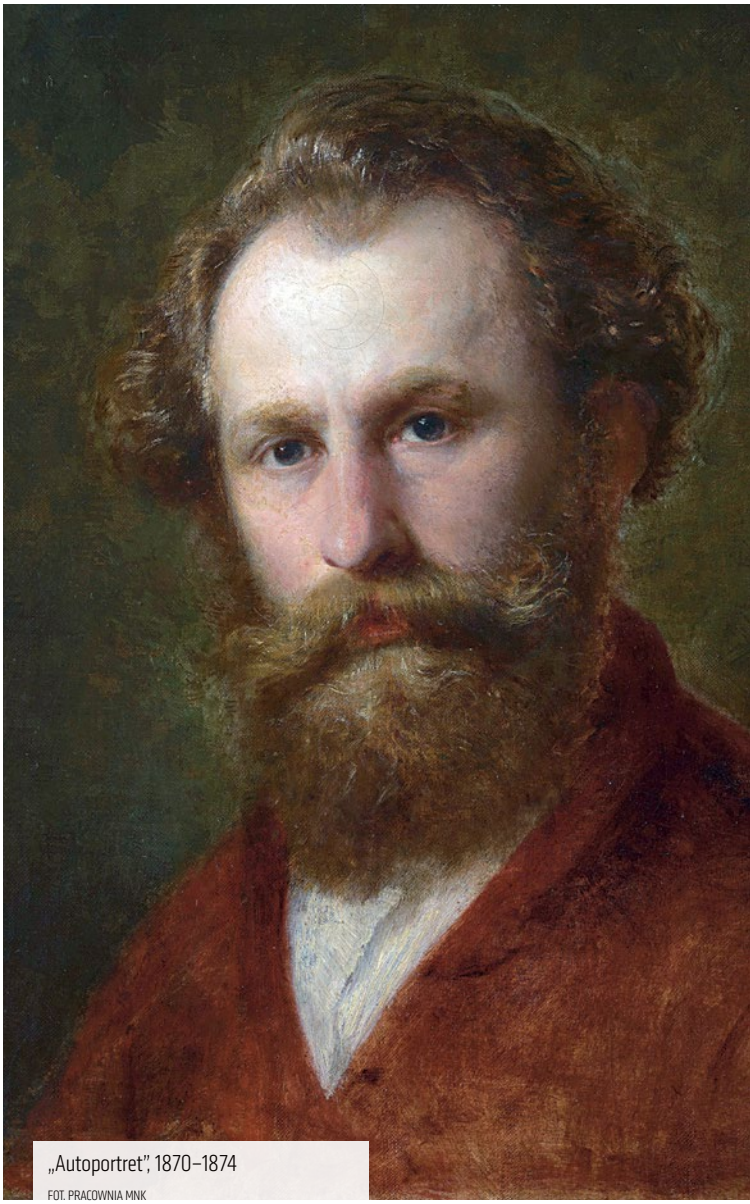

„Autoportret", 1870–1874
FOT. PRACOWNIA MNK

w dorobku szkockich Glasgow Boys, włoskich Macchiaioli czy rosyjskich Pieriedwiżników.

POŚMIERTNY KOMUNISTA

W odróżnieniu od Matejki Kotsis był „małym mistrzem". Uprawiał malarstwo rodzajowe i kameralne. Natchnienia rzadko szukał w historii. Tytuły jego obrazów mówią same za siebie: „Jarmark w Tyńcu", „Pejzaż z kościołem", „Powrót juhasów z tatrzańskich hali", „Targ o cielę", „Zwózka siana", „Na przypiecku", „Dzieci z osiołkiem". Nie miał natury rebelianta i prowokatora, tak jak Gustave Courbet. Bliżej też mu było do Jeana-François Milleta, który mawiał „urodziłem się chłopem i chłopem pozostanę", niż do idealizującego włościan Jules'a Bretona. Z barbizończykami dzielił słabość do ziemistych barw i rozproszonego światła.

Dla Kotsisa i jego kolegów doświadczeniem pokoleniowym była klęska powstania styczniowego. Pod jej wrażeniem namalował „Śmierć na zesłaniu" i „Wywiezienie księdza Brzóski z Łukowa". Później swój patriotyzm wyrażał subtelniej, opiewając urodę rodzimego krajobrazu. Nastrój większości dzieł Podgórzanina był melancholijny, lecz miał poczucie humoru, o czym świadczy choćby „Rekrutacja w Galicji" – obraz, który niestety zaginął podczas wojny.

Wydawałoby się, że takiej sztuki, jak najdosłowniej przyziemnej, akcentującej ludową pobożność i więź człowieka z naturą, nie da się wykorzystać w propagandzie. Komuniści jednak, rozpaczliwe szukając zaczepienia w polskiej kulturze, taką próbę podjęli. Kotsis oraz jego następcy – Józef Chełmoński i Aleksander Gierymski – zostali poniekąd pośmiertnie przyjęci do PZPR. Obeznani z Marksem i Leninem krytycy sztuki dopatrzyli się w nich dziełach krytyki feudalnych stosunków społecznych. Stali się inspiracją dla socrealistów.

Dzisiaj, sądząc po zgiełku towarzyszącym „Ludowej historii Polski" Adama Leszczyńskiego, chłopomania wraca na salony. Tradycje folwarczno-pańszczyźniane dla wielu stały się kluczem, a raczej wytrychem, do polskiej historii i współczesności. Kotsis tworzył pod podwójną presją: opinia publiczna domagała się odeń sztuki o charakterze

eprasa.pl 254763f74e

narodowym, a klienci – optymizmu i rozjaśnienia palety. Obecnie silna jest pokusa, by dzieje ojczyste odmalowywać w ciemnych barwach i dopasować do zachodnich wzorów. Stąd wzięło się stawianie znaku równości między czarnymi niewolnikami, harującymi na amerykańskich plantacjach, i naszymi chłopami. „Polski Murzyn" redivivus.

PIECHOTĄ DO BIEDY

Krakowską retrospektywę można uznać za ponowne odkrycie autora „Ostatniej chudoby". Poprzednią zorganizowano za wczesnego Gomułki. W przestronnych wnętrzach kamienicy Szołayskich cieszy oczy 119 obrazów olejnych oraz ponad 50 akwarel, rysunków i szkiców. Tych ostatnich artysta pozostawił najwięcej, są przez koneserów cenione najwyżej, bo tworząc je na własny użytek, pan Aleksander pozwalał sobie na największą swobodę i eksperymenty. Trafionym pomysłem było dołączenie do ekspozycji dzieł malarzy hołdujących podobnej co Kotsis estetyce: od Artura Grottgera i Józefa Szermentowskiego do wspomnianych socrealistów („Matka Koreanka" Wojciecha Fangora, „Współpraca kulturalna miasta i wsi" Zenona Pokrywczyńskiego, „Matka bohaterka odznaczona za dużą rodzinę" Romualda Smorczewskiego).

XIX-wiecznej fascynacji wsią towarzyszył kult natury, ocierający się wręcz o panteizm. W Europie nastała moda na piesze wędrówki, kontemplowanie dzikich krajobrazów, ale również lokalnych osobliwości. Mistrzem Kotsisa był Władysław Łuszczkiewicz. Profesor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych sam celował w tematach historycznych i religijnych, ale dla podopiecznych urządzał wycieczki w plener, każąc im zwracać uwagę na niedoceniane wcześniej wiejskie budownictwo i pejzaże. Podobne zalecenia dostawali uczniowie warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Kotsis i w późniejszych latach wędrował po okolicach Krakowa, uzbrojony w papier i ołówek. Mimo zniesienia pańszczyzny w 1848 r. w austriackim zaborze panowała nędza. Oficjalną nazwę „Galicja i Lodomeria" złośliwie przekręcano na „Golicja i Głodomeria". Malarz z Podgórza dostrzegał (i uwieczniał pędzlem) obecność Żydów oraz Cyganów, ale ignorował szlachtę, nadal przecież odgrywającą w życiu wsi kluczową rolę. Zapewne dlatego, że nie gościł w dworach, lecz w karczmach i ubogich chatach.

KARTOFLE ZAMIAST RÓŻ

„W malarskich narracjach Kotsisa dominowały odcienie codzienności: ludzkie radości i strapienia, tragizm egzystencji ubogich i wykluczonych, czułość i ulotność relacji międzyludzkich, dziecięca ciekawość świata, melancholia starości i smutek przemijania" – podkreśla Aleksandra Krypczyk-De Barra, kurator wystawy. Rodakom podobały się liryczne kompozycje, wzruszające jak wiersze Teofila Lenartowicza. Mniej ceniono zainteresowanie artysty biedą, chorobą i śmiercią.

Podgórzanin popełnił aż cztery wersje ponurego malowidła „Matula umarli". Beznadzieją epatuje również „Ostatnia chudoba" – najbardziej rozpoznawalny obraz Kotsisa. Utrata kozy, wyprowadzanej z izby przez żydowskiego lichwiarza, nie wywołuje w gospodarzach rozpaczy – oni już dawno stracili wiarę w przyszłość. Skojarzenia ze „Szkicami węglem" czy „Anielką" nasuwają się same. Co ciekawe, Bolesław Prus malarstwo uważał za zbędny luksus: „Kto ma pustą spiżarnię, niech z ogrodu wyrzuci róże, rumianki i inne głupstwa, i niech sadzi kartofle" – radził czytelnikom.

Krakowscy literaci chętnie wchodzili w rolę krytyków sztuki. Michał Bałucki nie ustawał w wychwalaniu Kotsisa („głęboko wpatrzył się i w serce ludu, i w swoją ziemię"). Lucjan Siemieński dostrzegał natomiast w jego dziełach głównie trywialność, brzydotę i techniczne braki.

Jak bumerang wracały pretensje o niedopracowane szczegóły, błędy perspektywiczne, nadmiar brązów i szarości oraz... uleganie wpływom niemieckim. Nasz bohater dokształcał się w Wiedniu, był członkiem monachijskiego Kunstvereinu. Na pewno znał i cenił prace austriackiego pejzażysty Ferdinanda Georga Waldmüllera. Ale gościł też w Paryżu i Brukseli, zaś jego styl najbliższy jest XVII-wiecznemu malarstwu rodzajowemu z Niderlandów.

Kotsis kochał góry i był jednym z ojców chrzestnych polskiej tatromanii. Pierwszy raz odwiedził Zakopane, Dolinę Kościeliską i Morskie Oko w 1858 r., w towarzystwie Matejki. Dwa lata później zdobył Babią Górę razem ze szkolnym kolegą Walerym Eljasz-Radzikowskim, którego tak zachwycił widok Tatr, że resztę życia poświęcił ich wysławianiu pędzlem, piórem i aparatem fotograficznym.

Ówcześni mieszkańcy Podhala nie paradowali jeszcze w efektownych strojach, wymyślonych przez miejskich inteligentów. Wiersz o góralskim żalu, autorstwa Bałuckiego, znała zaledwie garstka rodaków. Kotsis chyba czuł, co się święci. Na obrazie „Wycieczka w Tatry" unieśmiertelnił grupę turystów i przewodników, zażywających odpoczynku przed pasterskim szałasem w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Jeden z ceprów ryje napis pamiątkowy w korze drzewa. Zakopane rosło w oczach, co roku zjeżdżało do tej wsi na wakacje więcej niż sto rodzin.

Gdy w Monachium powstawała „Wycieczka w Tatry", w Krakowie Matejko dostał nominację na dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych. Od razu pomyślał, by dawnego druha obdarzyć stanowiskiem profesora pejzażu. Kotsis propozycję przyjął, jednak z powrotem do ojczyzny zwlekał. Żal mu było rezygnować z dobrze rozwijającej się kariery zagranicznej. Za „Pisklęta" dostał złoty medal na Wystawie Światowej w Wiedniu. W stolicy Bawarii Polacy stworzyli artystyczną kolonię, zaś niemieccy i austriaccy burżuje byli dobrymi klientami.

MALARZU, CZY CI NIE ŻAL?

Drugą przyczyną niedotrzymania obietnicy danej Matejce był stan zdrowia. Skromny pan Aleksander znany był ze słabości do płci pięknej. Przez jakiś czas związany był z malarką Józefiną Geppert. Przyjaciołom, którzy namawiali go do ożenku, miał powiedzieć, że przeszkodą nie do pokonania jest fatalny profil ust kochanki. Może dlatego namalował Geppertównę en face? Żarty się skończyły, gdy Kotsisa dopadła ciężka choroba, ta sama, która później zabiła Wyspiańskiego.

Syfilis w ostatniej fazie atakuje układ nerwowy. Malarz zaczął się dziwnie zachowywać, stracił zainteresowanie pędzlami i paletą, umiejętność pisania, czytania oraz kontaktowania się z otoczeniem. Sparaliżowany, dogorywał w domu na Podgórzu. Zmarł, mając 41 lat, grób się nie zachował. Krakowski „Czas" pożegnał Kotsisa słowami: „Kochał naturę i prawdę".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Aleksander Kotsis (1836–1877). Odcienie realizmu" po zniesieniu pandemicznych obostrzeń będzie dostępna do 13 czerwca w Muzeum Narodowym w Krakowie (oddział w kamienicy Szołayskich).

eprasa.pl 254763f74e

Pan Siara wspomina

FOT. KRZYSZTOF RADZIK/EAST NEWS

Złotem pokryła się, zanim jeszcze trafiła na empikowe półki, platyną – po paru dniach sprzedaży. Na swojej najnowszej płycie Siara „KęKę" wspomina. A ma co, oj ma. Jeden z najpopularniejszych polskich raperów wraca do trudnych momentów z przeszłości, do chudych lat, utraty pracy na Poczcie i życiu na zasiłku, rozlicza toksyczne relacje. Ale przewraca też więcej kartek w kalendarzu i snuje nostalgiczną opowieść o czasach dzieciństwa. Gra na sentymentach, które zrozumieją zwłaszcza ci odbiorcy, których dzieciństwo i młodość przypadły – tak jak w przypadku KęKę, rocznik 1983 – na końcówkę lat 80. i lata 90. Powraca KęKę do wczesnej młodości w kilku utworach. Hołdem złożonym beztrosce dzieciństwa spędzonego między blokami i ludziom, którzy temu betonowemu mikrokosmosowi nadawali koloryt, jest „Moja gwardia". Rapuje: „Trampki, trzepak, piłka, pola do wieczora walka / Ulęgałki, drzewa, jabłka, ja i moja gwardia / Zdarte łokcie i kolana, obijana maska / Chciałbym zamknąć oczy i zobaczyć znowu nas tam"; „Maciek, dawaj, wziąłem piłkę i nóż / Gramy w grzyba, potem w pola bez odbitek na dwóch / Plus zmylanych nie rzucamy, podkręcane jak już / Woda z kranu na ogródku, choć nas gonią, to chlup".

I chociaż płytę otwiera utwór o tytule „Beztroskie dni", a Piotr Siara pyta w nim: „Gdzie on jest, ten mój luz sprzed 20 lat?", to nie maluje obrazu tamtego świata wyłącznie w pastelach. „Za moich czasów / Zobaczyć gdzieś trzeźwego ojca, co wszystko ogarnia / I dobrze zarabia / I pomóc gotowy, to jak widzieć jest jednorożca" – rymuje w „Jednorożcu", jednym z najważniejszych dla niego utworów na płycie. I podkreśla tam coś, co powtarza od dawna: „Będę chwalił normalność, bo dostrzec ją kiedyś tak trudno / Jak jednorożca". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Romantycy po przejściach

Stara kobieta po wielu przejściach, a ostatnio rocznej batalii z COVID-19, czyta wiersze XIX-wiecznych brytyjskich poetów romantycznych, m.in. Byrona, Keatsa, Shelleya, Tennysona i Wordswortha.

Czas jest wrogiem dla większości wokalistów. Dla Marianne Faithfull jest prawdziwym sprzymierzeńcem. W latach 60. była piękną, śpiewającą laleczką, której nikt nie traktował poważnie. Po życiowych upadkach wróciła w 1979 r. z niezwykłym albumem „Broken English". Jej głos stał się szorstki i zniszczony – zarówno przez dojrzałość, jak i tytoń. Nadało to mu głębi i autorytetu. Od tamtej pory wokal Faithfull nie przestaje zachwycać, czyniąc jej sztukę silniejszą i bardziej wymowną. Nosi on ślady odważnie przeżytego życia.

Tak, na tej płycie Marianne czyta, nie recytuje. Niektórzy uznają, że zbyt monotonnie, inni – że w sposób hipnotyzujący. Jej głos jest w centrum i choć nie adoruje, to znacząco rozbrzmiewa. Słychać w nim subtelną pasję oraz głębokie zrozumienie i miłość do wierszy, które są z Faithfull od jej czasów licealnych. Warren Ellis, mistrz ambientowych nastrojów, stworzył muzykę doskonale współgrającą z klimatem wierszy i metrum głosu. Fortepian Nicka Cave'a wraz z ledwie słyszalną wiolonczelą i skrzypcami nadaje utworom dźwiękowej patyny. W „La Belle Dame sans Merci" dołącza Brian Eno, który elektronicznymi zakłóceniami zniekształca surowość gotyckiego nastroju. ©℗

★★★★☆☆

MARIANNE FAITHFULL WITH WARREN ELLIS „SHE WALKS IN BEAUTY" BMG

★★★☆☆☆

THE OFFSPRING „LET THE BAD TIMES ROLL" CONCORD

Dziesiąty album The Offspring rodził się w bólach przez 10 lat. Smakuje jak odgrzewany kotlet. Płyta dla niezadowolonych punkowców w średnim wieku, którzy są zbyt witalni, by oddawać się nostalgii, a mimo to nie chcą pozwolić odejść przeszłości.

★★★★★☆

THE CORAL „CORAL ISLAND" RUN ON RECORDS

The Coral łączył garażowego rocka, psychodelię i folk, czego efektem są popowe perełki. Koncepcyjny album opowiada o rozkwicie i upadku angielskiego kurortu, choć pasuje każde inne miejsce niegdyś tętniące życiem. Emocjonalna, mądra płyta z poruszającymi piosenkami. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

Piotr Gociek

„Sexify" sprawdza się jako komedia charakterów. Tam, gdzie przestawia się na ideologię wyzwolenia kobiet, robi się zwyczajnie głupiutki i mocno przestarzały

Seks, czyli

Takie czasy – chcesz zrobić karierę, to musisz wymyślić jakąś apkę do komórki. Sen jest mało sexy, za to seks jest sexy bardzo i wszystkich kręci. Trzy przyjaciółki z warszawskiej uczelni zajmą się więc gromadzeniem danych i pisaniem algorytmów dla programu, który ma poprawić kobiece orgazmy. Warto popracować, bo kto przygotuje odpowiednio rewolucyjną aplikację, ten może liczyć na wielki ministerialny grant. Najlepsze są badania terenowe, serial jest więc okazją do ukazania licznych obnażonych damskich i męskich cech płciowych. W wersji soft, zaznaczam.

W tym trio mózgowcem jest Natalia (Aleksandra Skraba), prymuska, która alkoholu nie pije, nie tańczy, na imprezy nie chodzi, w sprawach seksu polega na własnych umiejętnościach. Poza tym jest ambitna, przemądrzała, zakuwa po nocach i tęsknym wzrokiem wpatruje się w wielki plakat z Marią Skłodowską-Curie – Natalia chciałaby tak jak polska noblistka zostawić po sobie coś wielkiego.

Przeciwieństwem Natalii jest Monika (Sandra Drzymalska) – dziewczyna rozpuszczona, żyjąca w mieszkaniu za 3,5 mln, które kupił jej troskliwy, acz wymagający ojciec, domagający się w zamian córczynego posłuszeństwa i skończenia studiów tam, gdzie on wskazał. Monika uwielbia seks, dobre ciuchy, zmienia chłopaków jak rękawiczki, pokazuje światu, że jest wyzywająca, błyskotliwa i uśmiechnięta, ale w rzeczywistości to osóbka nieszczęśliwa.

Jest i trzecia muszkieterka – Paulina (Maria Sobocińska). Najbardziej poukładana w tym towarzystwie, rozsądna, spokojna, ale rozdarta między swoją wiarą a życiem na kocią łapę z sympatycznym narzeczonym. Paulina zwykle robi to, czego świat się po niej spodziewa, jest więc zgodna, układna i do rany przyłóż, ale płaci za ten brak asertywności cenę. Przede wszystkim w łóżku, gdzie Mariusz (Piotr Pacek) sprawdza się tak sobie. Znaczy, nie dając jej za wiele przyjemności. A Paulinie wydaje się, że tak może być, a w najgorszym razie – że jakoś to będzie. Jak tu protestować, kiedy na palcu pierścionek zaręczynowy, a związkowi kibicują rodzice i znajomi?

Serial „Sexify" to komedia, o którą trudno w dzisiejszych czasach, bo ciepła i współczująca. Nawet czarne charaktery są tu nakreślone z sympatią. Zdecydowaną większość postaci pojawiających się na ekranie łatwo jest polubić lub przynajmniej zrozumieć. Widać rękę Piotra Domalewskiego, głównej siły stojącej za opowieścią. Chwalony i nagradzany za filmy kinowe Domalewski („Cicha noc", „Jak najdalej stąd") ma dobry słuch do dialogów, umie obserwować i pokazywać w filmie to, co zaobserwował. Niektórzy wieszczą mu karierę „polskiego Mike'a Leigha" – serialem stworzonym dla Netflixa reżyser wymyka się z tej pułapki, pozostając sobą. Bo pokazuje na drugim tle sporo polskich klimatów i wtedy jest najprawdziwszy: gdy obserwujemy obyczaje rodzinki z prowincji, słyszymy żarty o Łomży (sam Domalewski z niej pochodzi) albo dialogi między grzeszącą Pauliną (seks przedmałżeński) a spowiednikiem.

Jednocześnie okazuje się „Sexify" produktem demonstracyjnie eksportowym, a to znaczy demonstracyjnie dostosowanym do wymogów serwisu Netflix, który dba o odpowiednie zabarwienie ideologiczne swych produktów. Wygląda to momentami zabawnie, bo różnorodność rasowa na ekranie obowiązuje w kontrze do rzeczywistości, więc czy to kościół, czy armia, musimy mieć odpowiednią liczbę bohaterów czarnoskórych lub o rysach azjatyckich (dopominam się o Latynosów!). Myślę, że publiczność międzynarodowa zgrzytu jednak nie wyłapie, dla nich wszak „w Polsce" znaczy tyle, co „nigdzie" – w jakiejś wspólnej dla produktów serialowych kolorowej krainie. No i główne przesłanie serialu jest odpowiednio słuszne: samce nie dbają o kobiece orgazmy, kobiety muszą się wyzwolić, wziąć

eprasa.pl 254763f74e

Sceny rozbierane niebezpiecznie przypominają w „Sexify" polskie komedie erotyczne z lat 80. zeszłego stulecia FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wszystko?

sprawy we własne ręce i pokazać, że nikt im nie będzie mówił, co mają robić i w jaki sposób znajdować satysfakcję.

Co prowadzi nas do pierwszego z dwóch głównych problemów, jakie możemy mieć z „Sexify". Gdyby te hasła wznoszone były pół wieku temu, w czasach pierwszej fali feminizmu, można byłoby pochwalić za aktualność. Ale dziś? Kochani, czy wy pamiętacie – zwracam się do twórców serialu – że Michalina Wisłocka napisała swoją „Sztukę kochania" w roku 1978? „Monologi waginy" Eve Ensler to rok 1996 – ćwierć wieku temu! Wyważacie drzwi, które już dawno temu zostały otwarte na oścież. I to irytuje, bo taka odgrzewana „słuszność" jest po prostu głupiutka. W polskich księgarniach łatwiej można znaleźć „Wielką księgę cipek" niż poradniki „Jak zachować czystość przedmałżeńską". Seks tematem tabu? Popatrzcie sobie na współczesną popkulturę. Kobiece orgazmy tematem zakazanym? Ręce opadają. Dodam też tonem zgryźliwca i zgreda, że ograniczanie recepty na udany związek jedynie do łóżkowego dopasowania to jednak redukcja zbyt daleko idąca.

Bystre oko dostrzeże, że w związku z tym dzieje pisania słynnej „seksifajowej" aplikacji mogą być jedynie traktowane jako trzeciorzędny pretekst do zebrania na ekranie gromady ciekawych postaci, wprawienia ich w ruch i sprawdzenia, co z tego wyjdzie. Perypetie dziewcząt zajmują nas i bawią o wiele bardziej od jakichś banialuków o strefach orgazmu, które mogłyby być sensacją w czasach, gdy rodzice twórców serialu byli dziećmi, a nie na początku trzeciej dekady XXI stulecia. Niestety, w serialu „Sexify" pseudoideologii wokół nieszczęsnej aplikacji poświęca się zbyt wiele miejsca.

Drugi problem dotyczy formy. Historia jest nadmiernie rozciągnięta i lepiej sprawdziłaby się w formacie półgodzinnych odcinków, jako taka nasza młodzieżowa odpowiedź na „Seks w wielkim mieście" (także przebój lat 90., przypomnę, to tak jeszcze raz à propos rzekomej aktualności i odkrywczości dyskusji o kobiecym prawie do orgazmu).

I tak się dziwnie składa, że archaiczność tematu idzie w parze z pewną archaicznością metody twórczej. Chociaż śmiałem się lub przynajmniej uśmiechałem nieraz, to będę się upierał, że gagi o facecie chowającym się w szafie, bo został przyłapany in flagranti, albo o dziewczynie łażącej po balkonach w częściowym negliżu to chwyty, które przystoją komedyjkom sprzed półwiecza. Nie znaczy to, że dziś nie można po nie sięgać, trzeba jednak pamiętać, że timing powinien być już zupełnie inny, że grepsów z czasów wczesnego Barei nie da się celebrować, podobnie jak w XXI w. absurdalne jest epatowanie golizną w stylu „zakazany owoc" – sceny rozbierane niebezpiecznie przypominają w „Sexify" polskie komedie erotyczne z lat 80. zeszłego stulecia.

Wielką przyjemność sprawiło mi za to przyglądanie się paradzie młodych polskich aktorek i aktorów, bawiących się świetnie i bardzo naturalnych. Przyszłość aktorstwa wygląda nieźle, a największe brawa powinna zebrać Maria Sobocińska, która przerasta resztę obsady o klasę. Co ciekawe, w odróżnieniu od nieszczęsnego thrillera erotycznego „365 dni" serial Domalewskiego doczekał się wielu pozytywnych recenzji zagranicznych, a krytycy i widzowie jednym głosem chwalą właśnie Sobocińską. Czy będzie sezon drugi? Chciałbym. Pod warunkiem, że reżyser podkręci tempo, a scenarzyści przestaną jako rewelacje sprzedawać nam oczywiste oczywistości.

A o tęczowe flagi czy chusty wiszące wszędzie na uczelni Natalii, Moniki i Pauliny pretensji nie mam. W końcu sam domagałem się nieraz, by pokazywać w serialach prawdziwą Polskę. No więc cóż, uczelnie takie właśnie mamy. I cameo Slavoja Žižka też by tu pasowało bardziej niż do filmu „Błogość" Mike'a Cahilla. Na pewno polscy wykładowcy oklaskiwaliby neomarksistę mocniej niż autorki orgazmicznej aplikacji.

REŻ. PIOTR DOMALEWSKI, KALINA ALABRUDZIŃSKA
„SEXIFY"
POLSKA 2021, NETFLIX

wyst. Aleksandra Skraba, Maria Sobocińska, Sandra Drzymalska

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN

I znowu to samo

★★★★☆☆

REŻ. MAX BARBAKOW „PALM SPRINGS" USA 2020

wyst. Andy Samberg, Cristin Milioti, Meredith Hagner

Wśród naśladownictw słynnego „Dnia świstaka" film „Palm Springs" wyróżnia się wdziękiem. W tym bliski jest oryginałowi. Niedawny „Poziom mistrza" adaptował do schematu pętli powtarzającego się w nieskończoność tego samego dnia klimaty gry komputerowej i był komiksowo pełen przemocy. Mieliśmy i horrory („Śmierć nadejdzie dziś", „Zanim odejdę") i SF („Na skraju jutra"), był serial Netflixa „Russian Doll".

W „Palm Springs" para gości na przyjęciu weselnym zostaje uwięziona w tym samym dniu – cokolwiek by zrobili, zawsze budzą się znów 9 listopada i mają przed sobą przygotowania, ceremonię, wieczorną zabawę. Główny bohater Nyles (Andy Samberg z sitcomu „Brooklyn Nine-Nine") tkwi w pętli tak długo, że zaczyna tracić rachubę czasu i zamienia się w osobnika zgorzkniałego. Jego niespodziewana i nowa towarzyszka niedoli Sarah (Cristin Milioti – „Jak poznałem waszą matkę") z animuszem rusza, by ponownie popełniać jego błędy i pobierać trudne lekcje życia w kółko. Nie dajmy się jednak nabrać. Chociaż pod koniec dostaniemy coś na kształt naukowego objaśnienia zagadki wiecznej powtórki, to nie jest to film o pętlach czasowych, ale o wychodzeniu z własnej strefy komfortu i lęku przed odpowiedzialnością. Zarówno za grzechy popełnione, jak i za wybory, które mogą skomplikować przyszłość.

Samberg i Milioti tworzą na ekranie przesympatyczną parę, łatwo więc jest nam im kibicować. „Palm Springs" to także po prostu świetna komedia obyczajowa, bo drugoplanowe postacie także są tu dobrze obsadzone, a dialogi skrzą się od dowcipu. Gwiazdą drugiego planu jest J.K. Simmons (laureat Oscara za rolę w filmie „Whiplash"), który raz okazuje się zaskakująco kopniętym kompanem w zabawie, raz aniołem zemsty, a raz melancholijnym prorokiem minimalizmu życiowego. Film Maxa Barbakowa nominowany był do dwóch Złotych Globów (dla najlepszej komedii i za rolę Samberga), moim zdaniem równie dobrze mógłby być nominowany do Oscarów, bo to bardzo zręczny i ciepły kawałek roboty. I będzie oglądany z uśmiechem po latach, nie mam wątpliwości. „Palm Springs" był chyba jednak dla członków Akademii Filmowej produkcją nazbyt ekscentryczną, więc do zlekceważenia. Nie warto powtarzać tego błędu ©℗

NOWE SERIALE: „DOCHODZENIE"

CANAL+

Miniseria emitowana z powodzeniem w Danii i Szwecji stała się szybko obiektem rywalizacji wielkich graczy międzynarodowych. W USA pokazuje ją HBO Max, w Polsce – Canal+. Opowieść oparta na faktach – historia dochodzenia w sprawie zaginięcia szwedzkiej dziennikarki Kim Wall, ostatni raz widzianej, gdy wyruszyła, by nagrać wywiad z duńskim milionerem na pokładzie jego miniaturowej łodzi podwodnej. Posępny, mocny serial skupia się na dochodzeniu do prawdy oraz tragedii i bólu bliskich ofiary. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Tobias Lindholm „Dochodzenie" („Efterforskningen"), Dania 2020, Canal+***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Mariusz Wilczyński* ***„Zabij to i wyjedź z tego miasta"****, Polska 2020* CINEMAN
- *reż. Adrian Shergold* ***„Dania" („Denmark")****, Wielka Brytania 2019* CINEMAX
- *reż. Richard Wong* ***„Inicjacja" („Come As You Are")****, USA 2020* CANAL+
- *reż. Niki Caro* ***„Mulan"****, USA 2020* HBO GO

eprasa.pl 254763f74e

Porwany za wiarę

DVD VIDEO

Nikt nie jest prorokiem we własnym domu. Doug zażywa sławy jako świecki kaznodzieja i bloger, tymczasem jego żona, zatrudniona w Departamencie Stanu, straciła zaufanie do Boga. Zjednoczą siły dopiero w obliczu wspólnego wroga, któremu na imię islam. Doug, sceptyczny wobec tezy o nieuchronnym zderzeniu cywilizacji, początkowo widzi w muzułmanach sojuszników w swej walce ze zżerającym Zachód sekularyzmem. Zaproszony na ekumeniczną dysputę na kairskim uniwersytecie Al-Azhar zawodzi jednak oczekiwania gospodarzy, wygłaszając w jaskini lwa pochwałę chrześcijaństwa. Dla wyznawców Allaha staje się odtąd kimś w rodzaju Salmana Rushdiego. W Teheranie mają go zaś za amerykańskiego szpiega. Temat bez dwóch zdań gorący, lecz scenarzyści z Hollywood od lat mają z nim kłopot. Bojąc się oskarżeń o islamofobię, klecą asekuranckie fabuły ociekające hipokryzją. Twórcy „Niewiernego" takich zahamowań nie mieli – na ekranie pojawia się tylko jeden przyzwoity muzułmanin. Gorzej z wykonaniem. Film, dedykowany jankesom, którzy siedzą w irańskich więzieniach, w scenach akcji jest zaskakująco naiwny i nieporadny. Caviezel kiedyś z powodzeniem zagrał Chrystusa, tutaj jednak brakuje mu charyzmy. Wiara, że wierność zasadom i prawdomówność na dłuższą metę pomagają w życiu, zasługuje na lepszych apostołów. ©℗

Wiesław Chełminiak

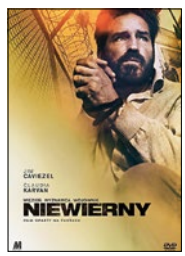

★★★☆☆☆

REŻ. CYRUS NOWRASTEH
„NIEWIERNY" („INFIDEL")
USA 2020

wyst. Jim Caviezel, Claudia Karvan, Hal Ozsan

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PAKT NOWOCZESNYCH

CINEMAN

Zaczynanie dowcipu od puenty dyskwalifikuje żartownisia. Umieszczenie epilogu na początku filmu to sygnał, że obcujemy z kinem ambitnym. „Dobry zdrajca" traktuje o mało zaszczytnym epizodzie w dziejach Danii.

Ojczyzna Hamleta, zaatakowana przez III Rzeszę, skapitulowała po kilku godzinach. Król nie wyjechał, rząd współpracował z okupantem. Honor kraju podniósł z błota ambasador w Waszyngtonie, odcinając się od kolaborantów. Normalnie skończyłoby się to dyscyplinarką i dymisją, lecz dyplomata miał znajomości sięgające Białego Domu oraz ofertę, która bardzo jankesom pasowała. Jako negocjator i geostrateg Kaufmann potrafił zachować pokerową twarz. W życiu prywatnym wychodziło mu to o wiele gorzej. Ugrzązł w toksycznym, choć politycznie opłacalnym związku z Amerykanką, nieszczęśliwą w roli „kobiety nowoczesnej". Czasem łatwiej wygrać wojnę, niż zadowolić małżonkę. Nawet Roosevelt to wiedział.

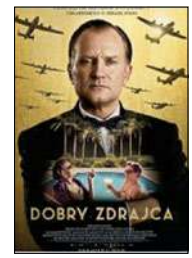

★★★★☆☆

REŻ. CHRISTINA ROSENDAHL
„DOBRY ZDRAJCA" („VORES MAND I AMERICA")
DANIA 2020

wyst. Ulrich Thomsen, Denise Gough, Mikkel Boe Følsgaard

KOSZMAR CZYNOWNIKA

TVP 1

Kariera asesora Kowalewa zawisa na włosku, gdy w niejasnych okolicznościach traci organ powonienia. Rosjanin bez nosa prezentuje się durnowato, przestaje wzbudzać zainteresowanie płci pięknej tudzież szacunek służby. W dodatku kinol przybiera ludzką postać i rozbija się po mieście, co grozi wybuchem straszliwego skandalu. W PRL absurd plenił się nie gorzej niż w imperium cara Mikołaja I, więc groteskowa nowela Gogola zyskała nowe życie. Wrocław udaje Sankt Petersburg, Kalina Jędrusik jest tradycyjnie wyzywająca, Zdzisław Maklakiewicz z twarzą okoloną bokobrodami brzdąka na gitarze, pojawia się też Elżbieta Góralczyk – Anula z „Wojny domowej" – dla której była to druga i ostatnia rola filmowa. Rewelacyjna jakość obrazu odmładza film, nakręcony dokładnie pół wieku temu. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

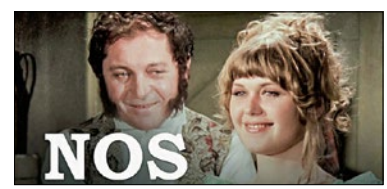

★★★★☆☆

REŻ. STANISŁAW LENARTOWICZ
„NOS"
POLSKA 1971
wyst. Zdzisław Maklakiewicz, Ferdynand Matysik, Janusz Zakrzeński

GRA TYGODNIA: „NEW POKEMON SNAP"

★★★★☆☆

Tym razem nie chodzi o to, by złapać je wszystkie, ale by zrobić im wszystkim jak najlepsze zdjęcia. Nintendo świętuje 25-lecie pokemonów, a jedną z urodzinowych atrakcji jest powrót do pomysłu z czasów rewolucji 3D, pierwszego PlayStation, Segi Saturn i Nintendo 64, na którą to konsolę ukazała się wtedy gra, w której wcielaliśmy się w rolę fotografa robiącego zdjęcia pokemonom w ich naturalnym środowisku. W nowym „Snap" także ruszamy na fotograficzne safari, staramy się uchwycić jak najciekawsze sytuacje i pozy pokemonów, dbając przy tym o kompozycję i inne aspekty wpływające na atrakcyjność zdjęcia. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gatunek: *Pokemony*
Platforma: *NS*
Producent, dystrybutor: *Bandai Namco Studios / Nintendo, ConQuest Entertainment*

eprasa.pl 254763f74e

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Łuk triumfalny

Pod redakcją prof. Jerzego Miziołka i prof. Joanny M. Sosnowskiej ukazała się bodaj najciekawsza spośród wielu publikacji, które zostały wydane w ostatnim czasie w związku ze stuleciem Bitwy Warszawskiej i zwycięskiej wojny z bolszewikami w roku 1920. Nie powstało bowiem wcześniej opracowanie ujmujące Cud nad Wisłą w tak szerokim kontekście historycznym i kulturowym. Zresztą oba te porządki – polityczny i artystyczny – przenikają się ot choćby w przypadku traktatu ryskiego.

Jak wiadomo, finalizujący wojnę z bolszewikami pokój podpisany w 1921 r. w Rydze ma u nas raczej złą konotację. Zapomina się jednak o tym, że to traktat ryski zapewnił nam zwrot zagrabionych i wywiezionych na wschód dóbr kultury, i to od czasu I rozbioru Polski. Oczywiście wiele cennych polskich dzieł pozostało w Rosji, rewindykacja przebiegała z oporami, jednak należy wiedzieć, że – jak pisał Marian Morelowski wchodzący w owych latach w skład Mieszanej Komisji Specjalnej zajmującej się odzyskaniem m.in. „Bitwy pod Grunwaldem", arrasów wawelskich i Szczerbca – „o ile zwrot archiwów przy cesjach terytorialnych jest zjawiskiem z dawna znanym […], to zagwarantowanie drogą traktatów zwrotu mienia muzealno-kulturalnego jest zjawiskiem bardzo rzadkim". To prawda, i tym ważniejsze są słowa, którymi prof. Miziołek kończy rozdział książki poświęcony odzyskaniu narodowych dóbr kultury po zwycięstwie w roku 1920: „… czy z okazji tegoż stulecia zostanie wreszcie konstruktywnie rozwiązana sprawa grabieży polskich dóbr kultury przez hitlerowskie Niemcy? Wiele tysięcy z nich do tej pory nie powróciło do Polski, tysiące innych zniszczono. Nie ma

FOT. WIKIPEDIA

też dotąd stosownego traktatu polsko-niemieckiego skonstruowanego na podobieństwo traktatu ryskiego czy wersalskiego".

Najeźdźcy grabili dzieła sztuki, ogołocili też Polskę z… dzwonów. Od 1914 r. Rosjanie wywieźli ich z naszych ziem kilkanaście tysięcy; w Warszawie oszczędzono świątynie katolickie, zapewne w obawie przed rozruchami, ale już słynące z kościołów Wilno praktycznie pozbawione zostało dźwięków swoich dzwonów. Zresztą Niemcy robili to samo – w ramach akcji pozyskiwania miedzi i innych metali potrzebnych do produkcji broni oraz amunicji. Na szczęście na wschodzie dzwony te zachowały się, bez większego sensu przewożone w różne miejsca – jak pisze Piotr Jamski – „od Zatoki Fińskiej do Morza Kaspijskiego i od Wysoczyzny Mińskiej po Ural. Nie znamy całkowitej liczby instrumentów krążących miesiącami wzdłuż linii kolejowych upadającego Imperium", w każdym razie do roku 1926, znów głównie na skutek działań prof. Morelowskiego i współpracujących z nim osób, odebraliśmy Rosji ponad 6 tys. dzwonów. Drugie tyle, niestety, tam zostało i w rozpętanej „kampanii antykołokolnej" przetopiono je wraz z rosyjskimi dzwonami cerkiewnymi.

Do tej pasjonującej historii nawiązała Maria Rodziewiczówna, opisując w powieści „Florian z Huszczy Wielkiej" z 1929 r. historię zabytku odlanego w czasach królowej Bony. Dziewięć lat później – czytamy w rozdziale „Spiżowe Te Deum laudamus" Piotra Jamskiego – „powstała ekranizacja powieści w reżyserii Leonarda Buczkowskiego, która stała się niemal filmem instruktażowym, jak należy postąpić w przypadku ewentualnego zagrożenia rekwizycji w czasie wojny".

A skoro wymienione zostało nazwisko popularnej pisarki, to należy zwrócić uwagę na część „Triumfu 1920. Obrazu i pamięci" przedstawiającą literaturę dotyczącą wojny z bolszewikami, omówioną wnikliwie przez Marię J. Olszewską, oczywiście z wybitnymi dziełami z jednej strony Adama Grzymały-Siedleckiego, Stefana Żeromskiego i Eugeniusza Małaczewskiego, a z drugiej Stanisława Rembeka i Józefa Mackiewicza („Lewa wolna!"). Ten ostatni, wprawdzie sporo lat po wojnie, oceniał ją wielce krytycznie, głównie ze względu na pogrzebanie w niej – jego zdaniem – idei federacyjnej.

Z kolei Piotr Gociek omówił obok wybrane tytuły polskiej fantastyki historycznej odnoszącej się do wojny 1920 r., a wśród nich książki Jacka Dukaja („Xavras Wyżryn i inne fikcje narodowe") i, o czym wiedzą nieliczni, Edwarda Ligockiego, który już w 1927 r. wydał właściwie pierwszą polską historię alternatywną, tytułując ją „Gdyby pod Radzyminem".

Nad pięknie wydanym, interesującym i inspirującym „Triumfem 1920…" unosi się pytanie: Kiedy doczekamy się w stolicy monumentu godnego największej w dziejach Polski batalii, zwycięskiej bitwy, którą traktować należy jako mit założycielski wolnej, odrodzonej Rzeczypospolitej? Za kolejne sto lat? ©℗

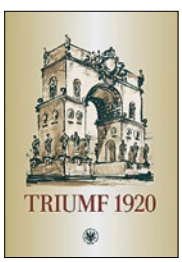

★★★★★★

„TRIUMF 1920. OBRAZ I PAMIĘĆ"
WYDAWNICTWA UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO, WARSZAWA 2020

eprasa.pl 254763f74e

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Gambit królowej

Alberto Angela łączy warsztat i wiedzę historyka z dużym talentem narracyjnym. Takimi gawędziarzami byli u nas Paweł Jasienica czy Aleksander Krawczuk. „Kleopatra" nie jest więc ani najpełniejszą, ani najlepszą biografią egipskiej królowej, ale na pewno jest najładniej opowiedziana. Takie czasy. „Jak opowiedziane" ważniejsze jest od „o czym mowa". Żelazna zasada popkultury XXI w.

Włoski historyk zakochany jest w czasach, które przybliża, pokazywał to pięknie w tłumaczonych u nas uprzednio książkach „Jeden dzień w starożytnym Rzymie" i „Imperium: Podróż po Cesarstwie Rzymskim śladami jednej monety". Jednocześnie zrozumiem tych, którzy będą mu mieli za złe nadmiar afektacji i próbę wchodzenia w motywacje i odczucia opisywanych bohaterów. Ja też wolę klasyczne książki historyczne: przede wszystkim wywód, objaśnienie, interpretację i refleksję.

Angela tymczasem czyni krok od non-fiction w kierunku powieści historycznej i staje gdzieś pomiędzy; gdyby postąpił ciut dalej, to już musiałby pisać takie książki jak Robert Graves opiewający cesarza Klaudiusza, znaczy – prozę po prostu. Nieważne, grunt, że czyta się to bardzo dobrze, grunt, że autor nie daje się porwać nadmiernie sensacyjnym spekulacjom, no i w wielu miejscach relacjonuje najnowsze dociekania. Nie mamy co liczyć na odnalezienie nowych źródeł pisanych, ale ziemia mówi do archeologów. Opowiadać więc można szerzej, sięgając do monet, mozaik, płaskorzeźb i malowideł (mamy w tej książce kilkadziesiąt bardzo ciekawych barwnych ilustracji).

Historia jest znana, główne figury także: Kleopatra, Juliusz Cezar, Marek Antoniusz, Oktawian. Angela postępuje często jak współczesny reporter, to znaczy wskazuje na miejsca, gdzie mit przesłania prawdę, odsiewa plotki i propagandę od wiarygodnych przekazów. Wyłania się z tej pracy obraz kobiety inteligentnej, wykształconej, energicznej, odważnej i niebojącej się ryzyka – na pewno nie zwykłej femme fatale, w którą próbuje ją zmienić popkultura. Zagrała o najwyższe stawki, najwyższą więc cenę zapłaciła za zajęcie miejsca przy stoliku z możnymi i bezwzględnymi. Sama także nie była aniołkiem. Jedno jest pewne: „Królowa, która rzuciła wyzwanie Rzymowi i zdobyła wieczną sławę" (to podtytuł książki Angeli), sama sprawiła, że zamiast suchych dwóch linijek w encyklopediach trzeba jej poświęcać sążniste hasła. ©℗

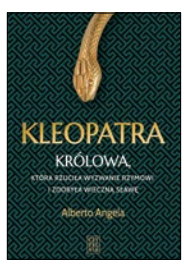

★★★★☆

ALBERTO ANGELA „KLEOPATRA" CZYTELNIK 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Znany biolog („Strzelby, zarazki, maszyny") analizuje punkty zwrotne, które decydowały o przyszłości krajów w obliczu przemian, i podpowiada wnioski na przyszłość. Czasem ryzykownie, bo sięga po nieoczywiste przykłady.

JARED DIAMOND „KRYZYSY" ZYSK I S-KA

Wznowienie jednej z najgłośniejszych książek szwajcarskiego klasyka, fantasmagorycznej historii, która była m.in. inspiracją do nakręcenia filmu braci Quay „Instytut Benjamenta". Posłowie napisał Piotr Paziński.

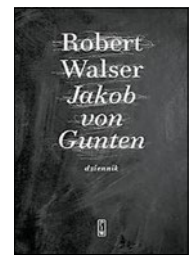

ROBERT WALSER „JAKOB VON GUNTEN" PIW

Autor męskiej prozy historycznej powraca z trylogią „Ateńczyk". Znak jakości: o znanych wypadkach opowiada świeżo i ciekawie. Akcja pierwszego tomu rozgrywa się w czasach zmagań Greków z perską armią Dariusza Wielkiego.

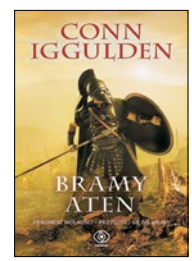

CONN IGGULDEN „BRAMY ATEN" REBIS

Dowódca eskadry F-16 w Łasku o służbie naszych powietrznych asów strzegących wschodniej flanki NATO i nie tylko. Szkolenie w USA, misje pod obcym niebem, niezwykli ludzie, masa barwnych szczegółów. Pasjonujące. ©℗

poleca Piotr Gociek

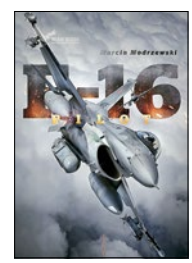

MARCIN MODRZEWSKI „PILOT F-16" WARBOOK

KOMIKS TYGODNIA: „W GÓRACH SZALEŃSTWA"

Drugi tom niezwykłego przedsięwzięcia, jakim było ubranie jednego z najsłynniejszych tekstów Lovecrafta w formę graficzną. Nie jest to jednak komiks, lecz album, w którym niesamowite ilustracje dopełniają oryginalne opowiadanie, uznawane za klasykę grozy i do dziś chętnie czytane. Lovecraft stał się już pisarzem analizowanym na uniwersytetach, wydawanym w prestiżowych seriach klasyki amerykańskiej literatury XX w. Dzieło Barangera przypomina o tym, że dorobek klasyka buzuje emocjami, grozą, niepokojem i oszałamia rozmachem. ©℗

poleca Piotr Gociek

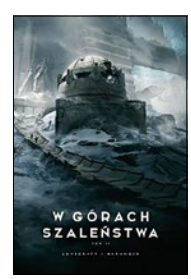

H.P. LOVECRAFT, FRANÇOIS BARANGER „W GÓRACH SZALEŃSTWA" TOM II VESPER

eprasa.pl 254763f74e

Z dr. Karolem Nawrockim, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, rekomendowanym przez Kolegium IPN na prezesa Instytutu

rozmawia Karol Gac

FOT. MATEUSZ OCHOCKI/KFP/REPORTER

KAROL GAC: Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej rekomenduje pana na nowego prezesa. Jaką ma pan wizję Instytutu?

DR KAROL NAWROCKI: Funkcjonowanie Instytutu Pamięci Narodowej jako państwowej instytucji jest regulowane wieloma ustawami. Doceniając dorobek poprzednich prezesów, chciałbym nadać jej nieco większej dynamiki i poddać ją refleksji organizacyjnej. Z jednej strony misją Instytutu powinno pozostać szerokie nauczanie o historii Polski w XX w., a funkcje edukacyjne, naukowe, wydawnicze powinny być kontynuowane. Z drugiej strony, po 20 latach funkcjonowania Instytut musi zostać poddany również refleksji o zmieniającym się otoczeniu i rzeczywistości. Innymi słowy – powinna to być instytucja poruszająca się między sacrum historii, naszego narodowego dziedzictwa, a profanum zmieniającej się rzeczywistości. W ciągu dwóch dekad wiele się przecież zmieniło. Dorosło pokolenie Polaków urodzonych w latach 90., którzy nie znajdują się w ustawowym działaniu IPN – nie będą lustrowani i nie działali w opozycji antykomunistycznej.

Jakie są więc dzisiejsze wyzwania stojące przed Instytutem?

Z całą pewnością największymi wyzwaniami są konieczność edukacji kolejnych pokoleń Polaków, a także konsekwentne i skuteczne upominanie się na arenie międzynarodowej o prawdę o polskim doświadczeniu w XX w. Cały ten proces nie może się odbywać bez pogłębionych badań historycznych. Moim celem jest, aby badania lokalne i przyczynkowe finalizowane były syntetycznymi monografiami, bo te są skuteczniejsze w odbiorze. Ważna jest ponadto aktywność na polu międzynarodowym – także w sferze wydawniczej. Czeka bowiem na polskie tłumaczenia wiele książek należących do klasyki naukowego dyskursu o totalitaryzmach.

Zaproponował pan powołanie Biura Nowoczesnych Technologii IPN. To właśnie ta próba wyjścia do młodych ludzi i zainteresowania ich naszą historią?

Bez wątpienia. Nowoczesne technologie nie wyedukują młodego pokolenia w taki sposób jak książki naukowe, projekty edukacyjne czy spotkania ze świadkami historii. Jednak aby zainteresować kolejne pokolenie historią, trzeba z nich skorzystać. Biuro ma być

eprasa.pl 254763f74e

Prawda nie obroni się sama

rozwiązaniem i wejściem IPN na rynek nowych narzędzi multimedialnych – Virtual Reality, Augmented Reality czy gier komputerowych. Mówię to również jako praktyk, bo w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku korzystamy np. z platformy Sketchfab czy ze wspomnianych narzędzi, co cieszy się naprawdę dużym zainteresowaniem. W kontekście nowoczesnej edukacji IPN powinien skierować się również w stronę nauczania poprzez kulturę.

Podczas przesłuchania powiedział pan, że swoim mottem na stanowisku prezesa IPN chce uczynić słowa, iż „prawda nie obroni się sama". Co w takim razie powinno się zmienić?

Przede wszystkim komunikacja IPN ze światem zewnętrznym. To jeden z moich głównych postulatów. Jako były pracownik IPN i osoba zainteresowana działalnością Instytutu wiem, jak wiele ważnych i dobrych rzeczy realizuje ta instytucja. Jednocześnie mam głębokie przekonanie, że ta wiedza nie trafia do szerszych kręgów.

Można wręcz odnieść wrażenie, że IPN to skostniała i scentralizowana instytucja.

Tymczasem ma on ogromną moc w postaci oddziałów we wszystkich województwach. Ta lokalność jest jego siłą. Możemy się chyba zgodzić, że istnieje dysonans między ogromną i bardzo wartościową ofertą Instytutu a recepcją IPN w opinii publicznej. To rzecz, którą należałoby zmienić. Wierzchołkiem góry lodowej tego zjawiska jest choćby brak rzecznika prasowego. Chciałbym, aby struktura Instytutu została jeszcze raz przemyślana na poziomie statutowym, a być może i ustawowym. Jestem przekonany, że z blisko 2,5 tys. pracowników można stworzyć lepiej skalibrowany i jeszcze bardziej efektywny zespół.

Dobra komunikacja to również narzędzie do prowadzenia polityki historycznej państwa. Jaka powinna być w niej rola IPN?

Jednym z zadań Instytutu jest prowadzenie aktywnej polityki międzynarodowej oraz dzielenie się ustaleniami naukowymi na całym świecie. Należy jednak podkreślić, że IPN ustawowo zajmuje się XX w., a polskie dziedzictwo narodowe jest dużo szersze i dotyczy ponad tysiąca lat pięknej tradycji.

Jednak to historia najnowsza budzi największe emocje i spory, również na poziomie międzynarodowym.

To prawda, ale wielką stratą polityki pamięci byłoby nieodwoływanie się do genotypu wolności, wartości chrześcijańskich i republikanizmu wieków wcześniejszych. Tego elementu nie można pominąć. Głębia polskiej historii jest konieczna do usystematyzowania, a także opowiedzenia polskiego dziedzictwa w budowaniu cywilizowanej Europy i świata w oparciu o wolność, wartości chrześcijańskie i republikanizm. Zgodzę się jednak, że najwięcej emocji budzi XX w.

I co z tym można zrobić?

Widzę cztery główne moduły działania polskiej polityki pamięci. Z jednej strony są państwa, z którymi łączy nas naturalna, wielowiekowa przyjaźń, jak np. Węgry. W tym wypadku polityka pamięci powinna się skupiać na pogłębianiu „przyjaznej współpracy". Druga kategoria to państwa, które są nam życzliwe i gotowe na polską opowieść. Przykładowo z akcją Muzeum II Wojny Światowej i MSZ „Walka i cierpienie" dotarliśmy do ponad 150 miejsc na całym świecie! Bardzo często słyszałem np. w Wellington, Pearl Harbor czy w Barcelonie, że oni chcą słuchać, ale nikt tam wcześniej nie dotarł z ciekawą opowieścią o Polsce w XX w. Z takimi państwami powinno więc nas łączyć „życzliwe przypominanie" o polskiej czy często wspólnej historii.

Oddzielną kategorią są Niemcy, które jako naszego sąsiada, z którym łączą nas skomplikowane relacje historyczne, powinniśmy traktować indywidualnie. Nie widzę tu innej drogi niż „konsekwentne upominanie się" o prawdę, w kontekście oczywistego antypolonizmu końcówki XIX i pierwszej połowy XX w. Stąd też jednym z moich celów jest przygotowanie zarówno pełnej naukowej monografii, jak i popularnonaukowych, wielojęzycznych opracowań na temat zbrodni niemieckich w latach drugiej wojny światowej. Do czwartej kategorii relacji należy nasz wschodni sąsiad – Rosja, która uporczywie deformuje obraz drugiej wojny światowej oraz agresywnie przesuwa cezurę czasową jej wybuchu na czerwiec 1941 r. Jedyne narzędzie, z którego możemy skorzystać w tym kontekście, to „narracyjne wyprzedzanie". Musimy być szybciej z prawdziwą, obiektywną, zgodną z faktami historycznymi narracją wszędzie tam, gdzie nie dociera jeszcze rosyjska propaganda historyczna.

A co z Ukrainą? Tutaj wciąż jest wiele białych plam.

Doceniam wysiłki Instytutu w zakresie wieloletniej współpracy archiwalnej z Ukrainą. Do pewnego momentu ta współpraca przebiegała całkiem nieźle. Usztywniła się jednak w ostatnich latach. Zbrodnia wołyńska dokonana na Polakach jest bolesną raną relacji z Ukrainą i pozostaje głęboko w naszej pamięci.

eprasa.pl 254763f74e

Moją generalną zasadą jest konsekwentne, nie tylko edukacyjne i memoratywne, upominanie się o wszystkie polskie ofiary cywilne i wojskowe XX w. Należą im się pamięć, szacunek i powrót do Polski. Sytuację wymagającą pozaemocjonalnego dyskursu historycznego z Ukrainą komplikuje natomiast obecna wojna z Rosją. Obecne emocje nie pomagają rzetelnym badaniom. A Ukraina napadnięta przez Rosję dziś potrzebuje solidarności. Pochylając się nad polsko-ukraińską historią, nie można więc również zapominać, że nasze narody w latach 30. połączyło wspólne cierpienie pod jarzmem sowieckiego totalitaryzmu.

Opisuje pan cztery główne kierunki działania polskiej polityki pamięci. Tymczasem przez lata prowadziliśmy ją w sposób reaktywny. Jak to zmienić? Wiadomo, że jeśli my nie opowiemy naszej historii, to inni zrobią to za nas.

Reaktywność zabija skuteczność. Pozostając w głębokiej defensywie i reagując na to, co wydarzyło się na świecie, nie da się wejść na odpowiedni poziom efektywności. Poruszanie się wokół historii w kontekście geopolitycznym wymaga głębokiej i systematycznej pracy. Wymaga to także odrębnego zespołu do monitorowania sytuacji na świecie, ale też do podejmowania inicjatyw niezależnie od tego, co powie np. Władimir Putin.

Powtarzam: jak najmniej reaktywności, a jak najwięcej planów, wyspecjalizowanych zespołów, w tym konieczności ponownego rozpoznania zasobów Instytutu. Zwłaszcza że polityka pamięci prowadzona w języku polskim na arenie międzynarodowej może być nieskuteczna. Należy więc, mówiąc obrazowo, znaleźć w końcu armię ludzi potrafiących opowiadać rzetelnie i ciekawie polską historię w językach zrozumiałych dla naszych partnerów na całym świecie. Do tego dochodzi współpraca z innymi instytucjami państwa polskiego.

Jednym z ustawowych zadań IPN jest poszukiwanie miejsc spoczynku osób poległych w walce z systemem totalitarnym lub wskutek represji totalitarnych. Tymczasem głośno się mówi o konflikcie wokół procesu identyfikacji ofiar komunistów. Niektórzy wskazują, że gdyby nie to, bylibyśmy już w zupełnie innym miejscu.

To są tematy, które trzeba zbadać wewnątrz Instytutu. W tej sprawie mam wiedzę wyłącznie medialną. Ten konflikt niepokoi mnie jednak szczególnie, bo mówimy o wyjątkowym projekcie poszukiwań i identyfikacji polskich bohaterów. Trudno z zewnątrz zdać sobie sprawę z tego, co jest faktyczną przyczyną spadku efektywności w procesach identyfikacyjnych. Z drugiej strony wiem też, że badania genetyczne, identyfikacyjne czy archeologiczne oraz postępowania prokuratorskie w zderzeniu z wiedzą historyczną wymagają głębokiej precyzji i stuprocentowej pewności, że udało się odkryć naszych bohaterów.

Pozostając w głębokiej defensywie i reagując na to, co wydarzyło się na świecie, nie da się wejść na odpowiedni poziom efektywności

Wspomina pan o prokuraturze. Czy pion śledczy powinien być nadal w IPN? Pod koniec ubiegłego roku kilkudziesięciu byłych opozycjonistów zaapelowało o przeniesienie go do prokuratury oraz o przeprowadzenie weryfikacji prokuratorów pod kątem rzetelności i efektywności ich dotychczasowej pracy.

Większość parlamentarna w 1998 r., a później w 2016 r. podjęła decyzję, aby pion prokuratorski Komisji Ścigania oraz pion lustracyjny pozostawały w ramach Instytutu. Do chwili obecnej prokuratorzy realizują zadania ustawowe IPN i nie znaleziono bardziej efektywnego rozwiązania tej kwestii. To, co należy zrobić, to z całą pewnością usprawnić pewne funkcje i relacje wewnętrznej współpracy. W swoim programie nie postulowałem usunięcia tego pionu z IPN, ale podniesienie efektywności współpracy.

Na koniec pytanie o politykę, bo nie da się od niej uciec. Pana wybór musi jeszcze zatwierdzić parlament i o ile w Sejmie może być łatwiej, o tyle w Senacie niekoniecznie. Jak pan chce przekonać do siebie polityków PO i Lewicy? W końcu opowiadają się oni za likwidacją IPN.

Tym politykom, którzy opowiadają się za likwidacją Instytutu, sugeruję zapoznanie się z ogromnym dorobkiem tej instytucji w ciągu ostatnich 20 lat oraz zrozumienie, że polska historia może stać się linią demarkacyjną sporów politycznych. Linią, w której każde z ugrupowań służące wolnej i niepodległej Polsce znajdzie swoich bohaterów. W katalogu narodowej pamięci mieszczą się przecież działacze narodowi, socjaliści z kartą niepodległościową czy ludowcy. Sama kompozycja polskich ojców niepodległości pokazuje, że w służbie Polsce mieściły się wszystkie polityczne frakcje. Chciałbym, aby historia stała się linią demarkacyjną w sporach politycznych.

Tyle tylko, że brzmi to utopijnie...

A może nawet naiwnie. „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli".

Już spór o Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku pokazał, do jakich podziałów może dojść.

To prawda. Jeśli są parlamentarzyści, którzy już cztery lata temu widzieli w moim wyborze na stanowisko dyrektora Muzeum II Wojny Światowej intencje polityczne, to dzisiaj powinni być przekonani, że ten upór w poszukiwaniu westerplatczyków czy systematyzowaniu struktury tak ważnego miejsca w polskiej świadomości nie miał znamion politycznych, lecz państwowe. Nie będę stosował specjalnych marketingowych chwytów historycznych przeznaczonych dla konkretnych ugrupowań czy składał obietnic trudnych do realizacji – deklaruję szacunek i opiekę wokół postaci i zjawisk historycznych z różnych nurtów politycznych XX w., a także swoją dalszą pracę dla Polski.

Nie obawia się pan, że pana kandydatura zostanie zablokowana przez Senat?

To nie tyle obawy, ile jeden ze scenariuszy. Mam jednak głębokie poczucie, że członkowie Sejmu i Senatu, niezależnie od barw politycznych, zechcą docenić moją wieloletnią pracę na rzecz przywracania prawdy i pielęgnowania pamięci historycznej, a także otwartość na dostrzeżenie w katalogu bohaterów narodowych tych, którzy są ważni dla nich. Oczywiście ci, dla których bohaterami są członkowie Komunistycznej Partii Polski albo środowiska polityczne, które służyły obcej racji stanu, nie zobaczą we mnie kandydata – nie potrafię z czystym sumieniem dbać o takie „dziedzictwo". Uznaję, że moim celem jest dbałość i pielęgnowanie polskiej historii oraz upominanie się o tych bohaterów, którzy byli gotowi służyć Rzeczypospolitej. Jeśli nad doraźną polityką zwycięży refleksja merytoryczna i chęć oddania Instytutu w ręce człowieka, który od lat społecznie i zawodowo pielęgnuje polską historię, to jestem spokojny o głosowanie również w Senacie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 254763f74e

Nadmiarowe zgony Polaków

Tomasz Cukiernik

Dlaczego tak wielu Polaków umarło w czasie walki z COVID-19?

FOT. ADOBE STOCK

Z danych Eurostatu wynika, że w porównaniu z latami 2016–2019 odsetek nadmiarowych zgonów od marca 2020 r. do stycznia 2021 r. wyniósł w Polsce 23,5 proc. To najwięcej w krajach UE. Według GUS w 2020 r. w Polsce zmarło 477 tys. osób. To ok. 70 tys. więcej niż w 2019 r. Z kolei Rejestr Stanu Cywilnego podaje, że w zeszłym roku zmarło 486 tys. osób, czyli 82 tys. więcej, niż wyniosła średnia liczba zgonów w latach 2016–2019. Tymczasem z powodu lub przy udziale COVID-19 w 2020 r. zmarło 28,5 tys. osób. Analogiczna sytuacja wystąpiła w tym roku. W pierwszych trzech miesiącach łączna liczba nadmiarowych zgonów przekroczyła 26 tys. W raporcie Ministerstwa Zdrowia pt. „Informacja o zgonach w Polsce w 2020 roku" możemy wyczytać, o ile w 2020 r. wzrosła liczba zgonów na poszczególne choroby względem roku poprzedniego. Okazuje się, że na choroby układu krążenia zmarło 16,69 proc. osób więcej, na cukrzycę – 15,88 proc. więcej, na choroby neurologiczne – 14,63 proc. więcej, na choroby układu trawiennego – 13,54 proc. więcej, na choroby psychiatryczne – 12,69 proc. więcej, na choroby płuc – 10,33 proc. więcej, a na nowotwory 4,7 proc. więcej.

KANIBALIZACJA OCHRONY ZDROWIA

Spytałem Ministerstwo Zdrowia o przyczynę nadmiarowych zgonów. Zdaniem resortu nadwyżka względem prognozowanej liczby zgonów na 2020 r. wyniosła ok. 62 tys., z czego 43 proc. stanowią zgony zaraportowane przez stacje sanitarno-epidemiologiczne z przyczyną zgonu SARS-CoV-2. Co więcej, 27 proc. nadwyżki to zgony u pozostałych osób, u których w przeszłości zdiagnozowano zakażenie SARS-CoV-2. Pozostaje 30 proc. nadmiarowych zgonów, których ministerstwo nie łączy z koronawirusem. Co było ich przyczyną? Według resortu przy gorszym ogólnym stanie zdrowia Polaków niż w innych krajach UE niejednokrotnie wielu pacjentów zbyt późno trafiało do szpitala, próbując wcześniej leczyć się samodzielnie w domu. Niestety też w wielu sytuacjach w trakcie trwania epidemii pacjenci rezygnowali z diagnostyki choćby onkologicznej, o czym świadczy zmniejszenie się długości kolejek do specjalistów.

Szacuje się, że od marca 2020 r. do marca 2021 r. liczba nadmiarowych zgonów przekroczyła 103 tys. osób. Mówi się o samobójstwach i depresji, co ma być związane z lockdownem, zamknięciem wielu firm i pozamykaniem ludzi w domach. Jednak wydaje się, że kluczowe znaczenie ma nie tyle lockdown gospodarki, ile raczej lockdown służby zdrowia, czyli podporządkowanie systemu ochrony zdrowia leczeniu pacjentów chorych na koronawirusa. Ogólne szpitale pozamieniano na szpitale covidowe. Pacjentom limitowano dostęp do lekarzy. Pojawiły się zalecenia NFZ, by ograniczyć do niezbędnego minimum lub czasowo zawiesić udzielanie świadczeń wykonywanych planowo. Według informacji podanych przez polityków Konfederacji od marca do listopada 2020 r. odnotowano pół miliona mniej wizyt kardiologicznych niż w 2019 r., przestała działać kompleksowa opieka kardiologiczna, która – zdaniem ekspertów – obniżała śmiertelność nawet o 20 proc., a utrudniony dostęp do POZ sprawił, że lekarze rodzinni wykrywali mniej pacjentów onkologicznych. Od początku walki z pandemią wykrywalność nowotworów w Polsce spadła o jedną trzecią, liczba przyjęć do placówek onkologicznych – o połowę, a liczba zabiegów kardiologicznych o dwie trzecie. – Rządzą nami ludzie, którzy mają obsesję covidową, którzy są gotowi zniszczyć ochronę zdrowia po to, żeby móc się pochwalić, że rzucili wszystkie środki na odcinek walki z COVID-19. Są gotowi kanibalizować całą resztę ochrony zdrowia na potrzeby walki z COVID-19. Są gotowi skazać na śmierć setki tysięcy pacjentów, którzy cierpią na choroby inne niż koronawirus. […] Barbarzyństwem jest zamykanie oddziałów, uniemożliwianie otrzymywania podstawowych usług medycznych przy ciężkich chorobach – grzmiał Michał Wawer, skarbnik Konfederacji. W tym kontekście można mówić o chaosie, niewydolności i zapaści systemu ochrony zdrowia.

Podczas konferencji prasowej Wawer przytoczył dwa przykłady szkodliwych decyzji rządu dotyczących ochrony zdrowia: zamknięcie oddziału intensywnej terapii w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie, co uniemożliwiło przeprowadzanie operacji na płucach w tej placówce, która była jedyną tego typu na

eprasa.pl 254763f74e

Mazowszu. Powodem było przekazanie łóżek dla pacjentów chorych na COVID-19. Sto planowanych operacji na płucach zostało odwołanych. Z kolei Andrzej Kleinrok, wieloletni ordynator oddziału kardiologii z pododdziałem intensywnej terapii kardiologicznej Samodzielnego Publicznego Szpitala Wojewódzkiego w Zamościu, został zwolniony ze stanowiska po tym, jak sprzeciwił się przekształceniu części oddziału na szpital covidowy. Również teleporady zamiast bezpośredniego kontaktu z lekarzem nie poprawiają sytuacji.

Także sami lekarze tłumaczą, że nadmiarowe zgony są wynikiem zamknięcia służby zdrowia. Rafał Halik, epidemiolog z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny, uważa, że część nadmiarowych zgonów wynika z zakłóceń działania systemu ochrony zdrowia. – Spotykam się z pacjentami, którym po prostu odmawia się leczenia, i to jest tragiczne, że ludzie są pozbawieni tej pomocy – mówił z kolei w zdjętym z anteny TVP programie „Warto rozmawiać" dr Zbigniew Martyka, internista, ordynator oddziału zakaźnego w szpitalu w Dąbrowie Tarnowskiej. W tym samym programie doktor Zbigniew Hałat, epidemiolog, były wiceminister zdrowia, podkreślał, że decyzje rządu w sprawie lockdownów nie miały żadnych medycznych podstaw naukowych. Ludziom odmawiano wizyty w domu i leczenia sprawdzonymi środkami farmakologicznymi, które ratują życie w pierwszej fazie zakażenia. Według dr. Hałata zamiast tego pacjentów poddaje się sedacji (obniżenie aktywności ośrodkowego układu nerwowego za pomocą środków farmakologicznych bez wyłączenia świadomości) i niszczy życie respiratorem.

WINNY COVID

Nie wszyscy lekarze zgadzają się z tymi spostrzeżeniami. Jak czytamy w serwisie „Menedżer Zdrowia", od października do grudnia 2020 r., kiedy zanotowano ogromną większość zgonów nadmiarowych, nie pojawiła się – w porównaniu z innymi miesiącami tego samego roku – żadna ważna okoliczność, która mogłaby doprowadzić do wzrostu o dziesiątki tysięcy (70 tys. nadmiarowych minus 30 tys. COVID-19 rejestrowanych przez sanepid równa się ok. 40 tys.) zgonów z powodu chorób kardiowaskularnych, nowotworów, cukrzycy itp. Przy czym przyrost zgonów nadmiarowych koronawirusowych ma bardzo wyraźną specyficzną zależność od czasu kalendarzowego, która nie daje miejsca na żadne inne rozsądne hipotezy epidemiologiczne. Dlatego obserwowane od marca do grudnia 2020 r. zgony nadmiarowe przypisywane są prawie w całości COVID-19. – Wydaje się, że ogromna większość zgonów nadmiarowych to zgony z powodu koronawirusa. W domenie publicznej często mówi się o wzroście zgonów onkologicznych czy kardiologicznych w 2020 r., jakoby spowodowanych działaniami służby zdrowia. Do tej hipotezy nie ma racjonalnych przesłanek. Trudno wyobrazić sobie gwałtowny przyrost, a następnie gwałtowny spadek umieralności w tych grupach chorobowych w okresie zaledwie trzech miesięcy – takie nagłe zmiany charakteryzują raczej choroby zakaźne, a nie przewlekłe – wyjaśnia w „Pulsie Medycyny" prof. Witold Zatoński, internista i epidemiolog.

Lekarz i poseł Porozumienia Andrzej Sośnierz zgadza się z argumentacją prof. Zatońskiego, że nadmiarowe zgony niezwiązane z koronawirusem to w dużej mierze również zgony covidowe, ale nie zostały tak zakwalifikowane, ponieważ nie były rozpoznane w odpowiednim czasie, a po śmierci nie wykonuje się już testów. Raport Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny pt. „Sytuacja zdrowotna ludności Polski i jej uwarunkowania 2020" potwierdza, że „niski wskaźnik liczby testów na 100 tys. mieszkańców, jak również wysoki wskaźnik hospitalizacji z powodu COVID-19 wskazują, że zapadalność rejestrowana może być znacznie niższa od rzeczywistej". – Ta analiza statystyczna prof. Zatońskiego jest wiarygodna, bo te nadmiarowe zgony występują dokładnie wtedy, gdy jest duże nasilenie zachorowań na COVID, równolegle z COVID-em. To są zgony w dużej części wynikające z tego, że albo pacjent się nie zgłosił, albo nie dojechano, albo nie wzięto na czas do szpitala – mówi poseł Sośnierz. – To też wskazuje na wadliwość funkcjonowania służby zdrowia. I jedno, i drugie wskazywałoby, że służba zdrowia jest niewydolna, poza przypadkami, gdy pacjent sam zaniedbał – podkreśla, dodając jednak, że na pewno jest też część nadmiarowych zgonów niezwiązana z COVID-em. A dlaczego ludzie niechętnie zgłaszają swoją chorobę? Bo mają nadzieję, że sama im przejdzie, a nie chcą trafić na kwarantannę czy zwolnienie lekarskie, bo to może oznaczać problemy w pracy.

Czy w najbliższych latach do tych nadmiarowych zgonów dołączą dodatkowe, związane z przyjmowaniem nieprzebadanych szczepionek na COVID-19? Zwykle prace nad nową szczepionką prowadzone są przez co najmniej 10 lat (badania przedkliniczne i cztery fazy badań klinicznych plus procedury biurokratyczne, które same trwają około roku). Jeszcze w czerwcu 2020 r. Światowa Organizacja Zdrowia informowała, że pierwsze partie szczepionki na koronawirusa mogą być dostępne w ekspresowym tempie, bo już za… 18 miesięcy lub 24 miesiące. To oznaczało, że szczepionka miała być dostępna pomiędzy końcówką 2021 r. a połową roku 2022. Tymczasem została ona wyprodukowana, i to w milionach sztuk, już pod koniec roku 2020! Czyli przygotowywano ją zaledwie kilka miesięcy, kilkanaście miesięcy krócej niż najbardziej optymistyczne prognozy WHO! Czy w tej sytuacji można ufać, że jest ona dobrze przebadana?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

FOT. ADOBE STOCK

Opustoszałe piekło Korei

Przemysław Załuska

Korea Południowa odniosła olbrzymi sukces gospodarczy, jednocześnie stając na progu katastrofy

Samsung, LG, Hyundai, Kia – to tylko niektóre rozpoznawane na całym świecie marki koreańskie. Kraj, który jeszcze w 1960 r. był jednym z najbiedniejszych na świecie, osiągnął imponujący sukces gospodarczy, z którego prawdziwej miary tylko częściowo zdajemy sobie sprawę. Potężne koreańskie koncerny dominują dziś w branżach elektroniki użytkowej, samochodowej, stoczniowej, wysokich technologii. Korea z zaledwie 51 mln mieszkańców, stłoczonych na obszarze odpowiadającym jednej trzeciej powierzchni Polski, zbudowała piąty największy przemysł przetwórczy na świecie (po Chinach, USA, Japonii i Niemczech), w tyle zostawiając tradycyjne potęgi przemysłowe.

Koreańczycy często porównują się z Japonią, która dominowała gospodarczo i politycznie nad półwyspem, włączając w to 40-letni okres kolonizacji w I połowie XX w. Dzisiaj 127-milionowa Japonia z eksportem wartości 706 mld dol. czuje na plecach oddech niegdyś pogardzanych sąsiadów, którzy sprzedają najnowocześniejsze wyroby wartości 542 mld dol. W 2019 r. Korea Południowa była siódmym największym eksporterem i 12. największą gospodarką świata. W 2017 r. realne PKB na mieszkańca w Korei było już wyższe niż w Japonii. Jeśli się weźmie pod uwagę relacje obydwu krajów, jest to sytuacja podobna do tej, w której Polska prześcignęłaby poziomem zamożności Niemcy. Gwałtowny rozwój gospodarczy przełożył się na wzrost poziomu życia przeciętnych obywateli, który choć odbiega ciągle od standardów przodujących krajów, to przy tym dynamicznie rośnie. W ciągu pięciu lat poprzedzających pandemię wzrost PKB w Korei wynosił przeciętnie 2,8 proc. rocznie wobec np. 1 proc. w Japonii. Dla Koreańczyków nie są to jedynie abstrakcyjne liczby. Przeciętna płaca w zeszłym roku wyniosła nieco ponad 3,5 mln wonów – odpowiednik 12 tys. zł.

Cała ta litania danych, wskaźników i pochwał jest jednak paradoksalnie zwodnicza. Korea to kraj w likwidacji. I nie chodzi wcale o to, by cytowane dane były fałszywe. Sukces definiowany w kategoriach czysto ekonomicznych jest z całą pewnością realny. Jednocześnie wskaźniki demograficzne pokazują, że mamy do czynienia z klęską, w porównaniu z którą problemy innych krajów europejskich czy nasze własne wydają się drobnostką.

KRAJ W LIKWIDACJI

Aby uzmysłowić sobie skalę problemów demograficznych Korei, możemy odnieść je do najlepiej nam znanych realiów naszego, przeżywającego kryzys demograficzny kraju. W minionym roku w Korei Południowej urodziło się 272 tys. dzieci w porównaniu z ok. 360 tys. w Polsce. Wskaźnik dzietności wyniósł tam w zeszłym roku 0,84. Gdyby dzietność w Polsce była w zeszłym roku na koreańskim poziomie, to urodziłoby się ok. 140 tys. dzieci mniej. Uwzględniając fakt, że obecne wskaźniki dla naszego kraju nie doszacowują dzietności o ok. 10–15 proc. przez nieuwzględnianie emigracji 2 mln rodaków, faktyczna różnica pomiędzy dzietnością w Polsce a w Korei może być nawet dwukrotna. W zeszłym roku spadek liczby narodzin wyniósł w Korei co prawda 10 proc., ale myliłby się ktoś, wiążąc to głównie ze skutkami pandemii: rok wcześniej spadek wynosił bowiem 7,4 proc., a negatywny trend trwa od dziesięcioleci. Koreańskie 0,84 dziecka na kobietę to absolutny rekord świata. Przy takiej wartości tego wskaźnika po czterech pokoleniach następuje redukcja populacji do ok. jednej czterdziestej stanu wyjściowego. Cztery pokolenia zachowujące się w ten sposób i 50-milionowe społeczeństwo zostają efektywnie zredukowane do nieco ponad miliona. A przecież cztery pokolenia to nasz naturalny horyzont postrzegania świata: to nasi dziadkowie, rodzice, my sami i nasze dzieci. Według koreańskiego wzorca jeśli w pokoleniu pradziadków rodziłoby się 1 tys. osób rocznie, to w pokoleniu dzieci byłyby to zaledwie dwie–trzy osoby. To, co jest katastrofą w Europie, w wydaniu koreańskim nabiera rekordowego hiperprzyspieszenia.

Czy koreańska demografia to osobliwy wyjątek, czy może w tej dziedzinie, tak jak w sferze gospodarczej, kraj ten wysforował się jedynie na czołowe miejsce? Według koreanisty dr. Andrzeja Wadasa niektóre zwyczaje, tradycje czy praktyki społeczne dzisiejszej Korei mogą mieć negatywny wpływ na rodzinę i decyzje o prokreacji. Jednym z takich zwyczajów jest oczekiwanie, by narzeczony przed ślubem kupił mieszkanie dla przyszłej rodziny, zaś narzeczona w pełni je wyposażyła. W praktyce

eprasa.pl 254763f74e

ciężary te spadają w dużym stopniu na ich rodziców, co z jednej strony muszą oni brać pod uwagę, już decydując się na kolejne dzieci, a z drugiej w sytuacji, gdy młodych i ich rodzin nie stać na zadośćuczynienie zwyczajowi – opóźnia to zawarcie związku małżeńskiego. Praktyką, która może nam się wydawać egzotyczna, jest zwyczaj powierzania po rozwodzie opieki rodzicielskiej raczej ojcu niż matce. Przy liczbie rozwodów równającej się połowie liczby zawieranych małżeństw perspektywa konieczności samotnego wychowywania licznego potomstwa przez pracującego ojca, a z drugiej ryzyko utraty kontaktu z własnymi dziećmi dla matki działają zapewne jako swoisty hamulec decyzji o poczęciu. Kolejnym czynnikiem, znanym i nam, ale w Korei osiągającym szczególne natężenie, jest rozwarstwienie społeczne i bezlitosny wyścig szczurów, w którym studia na dobrej uczelni, praca w renomowanej korporacji, posiadanie materialnych symboli statusu i prestiżu są kluczowe. Nacisk na edukację jako podstawę przyszłej kariery dzieci powoduje wysokie koszty związane z zajęciami dodatkowymi, korepetycjami czy z czesnym w prywatnych szkołach. Skłania to z kolei do ograniczenia liczby potomstwa. Całą tę nieznośną, szczególnie dla młodych ludzi, atmosferę społeczną określa się od niedawna terminem „hell Joseon" („koreańskie piekło").

Można zatem doszukać się w sytuacji koreańskiej czynników szczególnych, lokalnych, które pozwalają zrozumieć, że analizując problemy niskiej dzietności, należy zwracać uwagę także na szczegółowe rozwiązania prawne czy nawet na tradycje i obyczaje. Jest jednak w tym obrazie i element uniwersalny: dominacji strony materialnej nad społeczną i emocjonalną, rozpad rodzin i rozwody, presja ekonomiczna i moralna na kobiety, by zamiast rodzicielstwem i wychowywaniem zajmowały się karierą.

SPADEK DLA KIMA

Kazus Korei poprzez swoją ekstremalność, wyolbrzymienie trendów, z którymi obecnie zmaga się większość krajów wysoko- i średniorozwiniętych, jest dobrym polem do refleksji nad rolą i wzajemnymi relacjami gospodarki oraz demografii, nad definicją sukcesu jednostkowego i narodowego, nad formułowaniem priorytetów w życiu społecznym. Korea to w ciągu ostatnich sześciu dekad kraj na dorobku. W 2000 r. PKB na mieszkańca wynosił tyle, ile dziś w Argentynie czy w Bułgarii, a wskaźnik dzietności – 1,48 – był podobny do polskiego obecnie. Po kolejnych dwóch dekadach wzrostu, gdy PKB prawie się podwoił, jasne jest, że wzrost gospodarczy, poprawa ogólnych warunków mieszkaniowych czy wzrost płac samoczynnie nie poprawiają wskaźników demograficznych. Myślenie w kategoriach rozwiązania problemów demograficznych poprzez sam wzrost gospodarczy jest na powyższym przykładzie obnażone jako nietrafne. Przy każdym absolutnym poziomie zamożności społeczeństwa ludzie dzielą się na biedniejszych i bogatych. Dopóki decyzja o posiadaniu dzieci będzie pogarszać status materialny rodziny względem innych, dopóty znaczna część oczekiwanych narodzin nie zostanie nigdy urzeczywistniona.

W naszej krajowej dyskusji na tematy demograficzne i związanej z tym polityki prourodzeniowej często neguje się zasadność programu „500+". Ostatnio, w związku z ponownie spadającą liczbą urodzeń, stawiany jest zarzut, że pieniądze na ten program wydawane są na próżno. Zawiera się w tej tezie ukryte założenie, że i bez „500+" rodziłaby się u nas podobna, choć niska liczba dzieci. Patrząc na przykład Korei, widzimy jednak, jak fałszywe jest przekonanie o tym, że istnieje jakieś naturalne dno liczby narodzin czy dzietności, poniżej którego nie można już zejść. Od poziomu 6,3 dziecka w roku 1960 Korea w 1982 r. zeszła poniżej poziomu zastępowania pokoleń (2,1), by w roku 2018 przełamać poziom jednego dziecka na kobietę. Taki jest długookresowy trend, który trwa w najlepsze. Rewolucja obyczajowa, podważanie tradycyjnych roli płci, promocja zachowań sprzecznych z formowaniem trwałych rodzin, pseudoekologizm traktujący prokreację jako grzech klimatyczny, procesy obecne w całym świecie zachodnim w Korei dopiero nabierają tempa i niewątpliwie będą miały swój negatywny wpływ w przyszłości. Przy tak niskim poziomie wyjściowym nie może zakończyć się to niczym dobrym.

Z obecnej sytuacji cieszyć się może przywództwo komunistycznej Korei Północnej. Czas bowiem, jak się okazuje, gra na jego korzyść. Biedna i zacofana Korea Północna, o populacji o połowę mniejszej niż potężny sąsiad z południa, powołuje na świat więcej obywateli. Do niedawna wydawało się, że to południe będzie przy ewentualnym zjednoczeniu dyktować warunki, jednak jeśli obecne trendy demograficzne będą trwały, to przybrać ono może zaskakującą postać: przejęcia masy spadkowej po wymarłych południowcach przez ich wygłodzonych, ale wciąż żywych rodaków z północy.

GOSPODARKA JEST DLA LUDZI

Jak zauważył Bronisław Malinowski, „[...] kultura nie może istnieć, jeśli grupa ludzka nie jest stale i normalnie uzupełniana". Można by to stwierdzenie uznać za truizm, gdyby nie opór, który wywołuje ono w odniesieniu do naszej własnej rzeczywistości. W trwaniu kultur, narodów, społeczeństw, żadna miara sukcesu materialnego nie jest w stanie zrekompensować klęski na polu demografii. Zapatrzeni dotąd w rywalizację narodów na polu gospodarki zapomnieliśmy, że każdy wyścig, każdą wojnę, każdą rywalizację wygrywa ostatecznie ten, kto pozostaje, trwa, żyje. Licząca tysiące lat, bogata i szlachetna kultura Korei, która przetrwała liczne zawieruchy dziejowe, w tym inwazje Mongołów, wasalizację przez Cesarstwo Chińskie, okupację japońską, według obecnych trendów nie przetrwa liberalnej mieszanki egoizmu, indywidualizmu i materializmu. Zabije ją pogoń za sukcesem definiowanym li tylko w kategoriach materialnych i ekonomicznych.

Jesteśmy na tej samej co Koreańczycy trajektorii. Podobnie jak oni, którzy wydobywali się z afrykańskiego poziomu nędzy, i my zdefiniowaliśmy nasz sukces w kategoriach ekonomicznych, materialnych, sprowadzając w życiu zbiorowym wszystko jednowymiarowo do spraw gospodarki. Taka droga to ostatecznie ślepa uliczka. I nie chodzi tu o postulaty proekologicznej utopii czy anarchokomunistyczny zamach na wolny rynek, który jest przecież w swej esencji niezbędny. W naszym zbiorowym życiu musimy jednak uznać realnie istniejący prymat biologii nad ekonomią. Prymat efektywności podtrzymania życia samego nad efektywnością produkcji środków do jego podtrzymania. „Czyż życie nie znaczy więcej niż pokarm, a ciało więcej niż odzienie?". Czy maszyneria rynku, produkcji, dystrybucji nie po to właśnie została stworzona, by podtrzymać i umożliwić naszą egzystencję – tak jak wskazywał jezuicki ekonomista Heinrich Pesch, twórca systemu solidaryzmu? Jeśli tego nie czyni, jeśli stała się celem samym w sobie, to oznacza to konieczność pilnej korekty, tak by przywrócić jej pierwotny i fundamentalny sens i cel: służenia podtrzymaniu życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

Witold Pilecki na czele defilady w Lidzie

FOT. IPN

Patron na czasy kryzysu?

Anna Mandrela

Ksiądz prałat Józef Maj powiedział, że rtm. Witold Pilecki mógłby stać się patronem od dokonywania trudnych życiowych wyborów. Rzeczywiście, Pilecki niemal przez całe życie podejmował trudne decyzje, a za każdym razem wybierał trudniejszą drogę

Rotmistrz Witold Pilecki urodził się 120 lat temu – 13 maja 1901 r. Wyrok śmierci wykonano na nim również w maju, dokładnie 25 maja 1948 r. Stąd to właśnie w maju organizowane są w ostatnich latach marsze, biegi i uroczystości ku pamięci ochotnika do Auschwitz. Co jakiś czas pojawia się również pytanie o ewentualną możliwość rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Witolda Pileckiego. W 2015 r. kard. Kazimierz Nycz odmówił wszczęcia procesu beatyfikacyjnego rotmistrza, stwierdzając jednak, że sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Pierwszym etapem w takim przypadku jest wykazanie heroiczności cnót danej osoby. Bez ingerowania w kwestie ewentualnej beatyfikacji w książce „Duchowość i charakter Witolda Pileckiego – sylwetka ochotnika do Auschwitz" starałam się zwrócić uwagę właśnie na pytanie o heroizm naszego bohatera.

PRACA NAD CHARAKTEREM

Gdy dokładnie przestudiujemy biografię rtm. Witolda Pileckiego, zrozumiemy, że jego postawa wynikała z głębokiej religijności, ale nie była to pobożność czysto zewnętrzna, a raczej oparta na rozważaniach dotyczących spraw najważniejszych. Osobowość Pileckiego ukształtowały trudne losy Polski i jego własnej rodziny. Urodził się w 1901 r. w mroźnym Ołońcu, na terenie północno-zachodniej Rosji, jako wnuk zesłanego na Syberię powstańca styczniowego. Religijność i żarliwy patriotyzm zaszczepiła w nim jego matka Ludwika, która wraz z dziećmi wyprowadziła się do Wilna, aby zapewnić im dostęp do polskiego nielegalnego szkolnictwa i harcerstwa. To w harcerstwie przyszły założyciel Tajnej Armii Polskiej poznał pierwsze tajniki pracy konspiracyjnej. Natomiast rozmowa z tajemniczym nieznajomym, którego poznał w Ogrodzie Bernardyńskim w Wilnie, stała się dla niego motywacją do samodzielnej pracy nad swoim charakterem.

Z pamiętników starszej siostry Witolda dowiadujemy się, że ich ojciec, chociaż był dobrym i uczciwym człowiekiem, posiadał trudny, wybuchowy charakter i przejawiał skłonności do depresji. Gdy prześledzimy historię rotmistrza, zauważymy, że w tym wypadku syn nie poszedł w ślady ojca, nie uległ pewnym naturalnym skłonnościom. Możemy przypuszczać, że nie byłoby to możliwe bez samozaparcia oraz walki

eprasa.pl 254763f74e

ze swoimi wadami. Gdy zrezygnował ze studiów na Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie, aby pomóc rodzinie w odbudowie zrujnowanego dworku w Sukurczach, napisał: „Nie przyjechałem tu na odpoczynek, lecz skończyć tę pracę wewnętrzną, która trwa już kilka lat".

WIARA, NADZIEJA I UFNOŚĆ

W jednym z listów do swojej pierwszej sympatii, Kazimiery Daczówny, dwudziestokilkuletni Witold opisywał pieszą pielgrzymkę, którą odbył z Lidy do podwileńskiej kalwarii. Pytany o intencję tej pielgrzymki odpowiedział, że nie zamierza się targować z Panem Bogiem w kupiecki sposób, na zasadzie: „Ja dla Ciebie, Boziu, pójdę do Kalwarii, a Ty mnie za to daj to i tamto, lecz wprost uważam, że tych kilka dni i trochę zmęczenia przyniesionych w ofierze jest bardzo małą cząstką wdzięczności za wszystko, co od Boga mam. Za słońce, kwiaty, lasy, za przyjemne i przykre, które znosząc, staję się lepszym, i najwięcej za to zrozumienie właśnie tego, że i przyjemność, i zmartwienie w gruncie rzeczy jest dobre […]".

Zmartwienia również są dobre, bo dzięki nim człowiek może walczyć ze swoimi wadami i stawać się lepszym. Mało kto myśli dziś w ten sposób. Ten duch ofiary i wyrzeczenia doprowadził rtm. Pileckiego aż do dobrowolnego udania się do obozu koncentracyjnego. W obozie nie śpieszył się po poranną kawę, a mimo udręczenia ciała duchowo czuł się fantastycznie. Gdy oświadczył jednemu ze współwięźniów, że zamierza uciec z obozu, ten zapytał go: „Ale czy można, kiedy się chce, przyjeżdżać i wyjeżdżać z Oświęcimia?". „Można" – odpowiedział krótko więzień ukrywający się pod nazwiskiem Tomasz Serafiński. Czy w tej odpowiedzi nie kryją się brawura lub zbyt wielka pewność siebie? „Przede wszystkim byłem wierzącym i wierzyłem, że jak Bóg zechce pomóc, to wyjdę na pewno" – napisał w 1945 r., wspominając przygotowania do ucieczki z obozu. Jak wielka musiała być jego wiara i ufność w Boga! Dodajmy, że wielu innych więźniów pod wpływem nieludzkich doświadczeń obozu traciło wiarę. Wspomnieniom z tego okresu towarzyszy przygnębienie i do dziś powtarzane przez ateistów pytanie: „Gdzie był wtedy Bóg?". Pod wpływem głodu, ciężkiej pracy, bicia, ciągłego obserwowania poniżanych ludzi niejeden tracił wiarę.

W tych warunkach Pilecki się nie załamał. Warto przytoczyć w tym miejscu mało znany fakt z jego życia. Około 15 lat przed udaniem się do obozu Pilecki napisał w jednym z listów: „Gdybym nawet nie miał kawałka chleba raptem ot tak, bo się Bozi tak zechciało, tobym i wtedy pewności siebie nie stracił, a jeślibym stracił, tobym był ostatnim osłem". Czyżby już wtedy mentalnie przygotowywał się do swojej życiowej misji?

ODWAGA

Tej wierze i ufności towarzyszyła heroiczna odwaga, która wiąże się z brakiem obawy o to, co pomyślą inni, a nawet z brakiem obawy o utratę życia. Bez odwagi niemożliwe byłyby główne wydarzenia z jego życia, takie jak: udanie się do Auschwitz, ucieczka z obozu, udział w powstaniu warszawskim, przyjazd do Polski pod koniec 1945 r., a następnie rezygnacja z możliwości wyjazdu za granicę. Pilecki wspomina również o odwadze w drobnych gestach, takich jak brak strachu przed wykonaniem znaku krzyża:

„Widziałem takich (szczególnie mężczyzn), którzy niby są wierzący, a wstydzą się wyraźnie przeżegnać i robią coś w rodzaju namiastki znaku krzyża. Jest to doskonały przykład psychozy wstydu i lęku, żeby jakiś bałwan z tłumu – kolega – nie »podeśmiał«. Raczej gnuśnieć w tłumie baranów, byleby się nie narazić na wytknięcie palcem, jako człowiek niezrozumiały dla przeciętniaków. Wcale nie znaczy to, że chciałbym siebie ponad innych wynieść – przeciwnie! Chciałbym wstrząsnąć każdym, żeby z tego dorośniętego tylko do pewnego znormalizowanego poziomu tłumu wystrzeliły, jeśli nie można wszędzie – to przynajmniej tu i ówdzie – pędy myśli, czynu".

Zawsze odważnie zgłaszał się na ochotnika wtedy, gdy trzeba było pomóc innym. Ta postawa była widoczna już w 1920 r., podczas obrony Grodna. Gdy jego kampania wykonywała rozkaz odwrotu, po kilku kilometrach zauważono, że nad Niemnem pozostało jeszcze ośmiu harcerzy. Witold natychmiast zgłosił się na ochotnika i zawrócił po kolegów, nie zważając na niebezpieczeństwo tej misji – na miejscu mógł już czyhać na niego wróg. Ostatecznie udało mu się odnaleźć harcerzy i doprowadzić ich szczęśliwie na miejsce. Podobnie zachowywał się podczas powstania warszawskiego, gdy nigdy nie opuszczał pola bitwy, zanim nie wrócił po rannych kolegów.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO

W latach 30. lokalna społeczność w Lidzie i Sukurczach zapamiętała rtm. Pileckiego jako dobrego gospodarza i społecznika. Założył ochotniczą straż pożarną, mleczarnię, organizował Konne Przysposobienie Wojskowe. Był również kochającym mężem i ojcem, który szczególnie dbał o wychowanie swoich dzieci. Skala jego chęci do niesienia pomocy i troska o los drugiego człowieka są jednak widoczne dopiero wtedy, gdy przyjrzymy się jego zachowaniu w warunkach wojennych i obozowych.

W „Raportach z Auschwitz" Pilecki opisał jedno ze swoich najtrudniejszych przeżyć w obozie. Miał wtedy gorączkę, a nocą trudno było zasnąć z powodu ogromnej liczby wszy, które z każdej strony gryzły jego ciało. Gdy wreszcie nastąpiło odwszawianie, więźniowie spędzili całą noc, siedząc nago w parnej sali. Rano rozdano im ubrania i pognano na mróz. Wtedy Witold Pilecki zdjął swój płaszcz i oddał go koledze, który również był wtedy chory. Ilu ludzi w podobnej sytuacji zdecydowałoby się na tak hojny gest?

Jego brak egoizmu podkreślała Janina Pieńkowska, przyjaciółka szwagierki rtm. Pileckiego i działaczka TAP: „Zdawało się, że o sobie wcale nie myślał. Tak jak po powrocie do kraju nieraz głodny, zmęczony, cały oddany swym celom i swej idei znajdował czas, by np. mnie pomóc urządzić nowo otrzymany pokój: ustawiał meble, przybijał obrazy itp. Po ucieczce z Oświęcimia i przyjeździe do Warszawy nie pamiętam, by prosił o coś dla siebie". Ta pomocność nie ustała w okresie drugiej konspiracji. Witold Pilecki organizował paczki żywieniowe dla patriotów przebywających w komunistycznych więzieniach oraz zapomogi dla ich rodzin, które często pozostawały bez środków do życia.

POKORA

Jedną z kluczowych informacji dla zrozumienia postawy rtm. Pileckiego oraz całej jego historii jest tajemnica jego awansów wojskowych. Już przed drugą wojną światową, działając w Oddziale II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, awansował do stopnia porucznika w 1935 r., a następnie kapitana w 1938 r. Ze względu na wywiadowczy charakter tej działalności

eprasa.pl 254763f74e

nie mógł oficjalnie przyznawać się do tych awansów, a zatem w 1939 r. na wojnę wyruszył jako zwykły podporucznik. Stąd przyznawane mu podczas wojny awanse w rzeczywistości nie były awansami, ale niejako „cofaniem się" i „dościganiem samego siebie". W liście do gen. Pełczyńskiego opisał to w następujących słowach: „Od trzech gwiazdek kapitana w 1938 r. do takich samych trzech gwiazdek rotmistrza w 1943 r. – długą i dostatecznie trudną przebyłem drogę […]. Wreszcie więc siebie dopędziłem. Wszystko jest w porządku. Przed wojną 39 r. nie pracowałem na korzyść mego nazwiska".

Niejeden mężczyzna byłby rozczarowany, gdyby za zorganizowanie konspiracyjnej organizacji w okupowanej Warszawie oraz za heroiczną wręcz misję udania się do obozu koncentracyjnego i przekazywanie cennych meldunków otrzymał jedynie stopień wojskowy, który i tak już posiadał. Pilecki przyjął to z pokorą i dyskrecją, nie upominał się o jakieś szczególne względy i dodatkowe odznaczenia. Gdyby przełożeni uwzględnili jego przedwojenne awanse, powinien kończyć wojnę jako major.

Porucznik Zbigniew Brym („Zdunin"), dowódca jednej z kompanii TAP oraz 3. Kompanii Zgrupowania „Chrobry II", opisał Pileckiego w następujących słowach: „Witold był człowiekiem raczej małomównym. Wolał działać, niż dyskutować. O sobie też mało mówił, o sprawach osobistych, rodzinnych nigdy. Witold nie był gawędziarzem, co potrafi każdym tematem zainteresować słuchaczy, i nie był mówcą. Czy się czymś wyróżniał? Czy robił wrażenie kogoś wybitnego? Nie. Robił wrażenie raczej kogoś zupełnie przeciętnego". Ta pozorna przeciętność może być dziś dla nas przykładem i powodem do zastanowienia się dla niejednego youtubera, dla którego priorytetem staje się koncentrowanie na sobie uwagi internautów oraz liczba wyświetleń. Dla Witolda Pileckiego ważniejsze były czyny, a nie słowa. Wspominają o tym wielokrotnie osoby, które go znały.

DUCH UBÓSTWA

Towarzyszyła mu jeszcze jedna rzadka cecha. Witold Pilecki był człowiekiem nieprzekupnym. Gdy został urzędnikiem w Związku Bezpieczeństwa Kraju w Nowych Święcianach, okazał się pierwszym pracownikiem na tym stanowisku, który odmówił przyjęcia łapówki. Nie zdecydował się również na sprzedanie swoich wspomnień z Auschwitz: „Proponowano mi interes handlowy z wydaniem tego za grube dolary w Ameryce, lecz na razie nie zdecydowałem się na to ze względu, że z braku czasu jeszcze nie jest wygładzona w stylu i ze względu na przykrość, którą bym czuł, sprzedając to za pieniądze".

Postawa rtm. Pileckiego wynikała z ciągłego rozmyślania o śmierci. Starał się żyć tak, aby w godzinie śmierci móc się raczej cieszyć, niż lękać

W Auschwitz przez jakiś czas pracował przy sortowaniu walizek w tzw. Kanadzie. Dla innych więźniów była to okazja do przywłaszczenia sobie jakiegoś drogocennego kamienia lub sztabki złota. Pilecki wyznał, że nie potrafiłby się na to zdecydować. „Dziwnie dla mnie te przedmioty straciły wartość. A nawet więcej – wtedy byłem w takim jakimś okresie (czy to pod wpływem przeżyć, czy wymogów wiary, bo stale i zawsze byłem wierzącym), że naprawdę dla mnie cenniejsze było zadowolenie z siebie niż jakiś tam kamyk... Dość, że gdybym się wtedy do wzięcia tego złota czy brylantów zmusił, czułbym, że spadam ze szczytów, na które wspiąłem się tak trudną drogą".

MYŚLENIE O ŚMIERCI

Postawa rtm. Pileckiego wynikała z ciągłego rozmyślania o śmierci. Te rozważania pojawiły się już w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Widział wtedy śmierć swoich kolegów, zdawał sobie sprawę, że może nie przeżyć kolejnego dnia. We wstępie do raportów z Auschwitz, który napisał w 1946 r., przyznał, że to właśnie jemu koledzy często zwierzali się przed śmiercią. Zapewne miał tu na myśli zarówno doświadczenia obozu, jak i powstanie warszawskie. W wypowiedziach konających powtarzał się ten sam wątek: „Człowiek w ostatnich chwilach swego życia, jeśli się zechciał zwierzyć szczerze, przyznał zawsze, że tylko to po nim zostało na ziemi wartością trwałą i pozytywną, co dać potrafił z siebie innym ludziom – w tej lub też innej formie. A iluż takich było, co przed śmiercią dopiero stwierdzić zdolni byli, że przez swe całe życie – wciąż oszczędzając serca innym – nie dali nikomu właściwie nic i teraz, odchodząc z ziemi – za sobą zostawili pustkę, a serce, które się wkrótce już tylko w bryłę miało zmienić, w rzeczywistości nieczułą bryłą przez całe życie było".

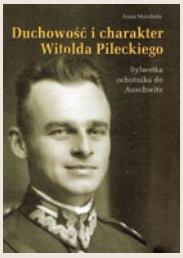

Podobnymi rozważeniami karmił się, czytając książkę Tomasza z Kempis pt. „O naśladowaniu Chrystusa". Zgodnie z przesłaniem tej lektury starał się żyć tak, aby w godzinie śmierci móc się raczej cieszyć, niż lękać. Ta refleksja w ostatnim czasie rzadko pojawia się w naszym życiu. Dominuje skupianie się na życiu doczesnym. Zwłaszcza w ostatnim czasie najważniejsze stało się zdrowie. Już w 1946 r. rtm. Pilecki i jego towarzysze, analizując wyniki ankiety, którą przeprowadzili wśród młodego pokolenia, dostrzegali, że pod wpływem narzucanego przez władze światopoglądu materialistycznego wśród młodych ludzi dominuje egoizm, a duch ofiary się zatraca.

Ksiądz prałat Józef Maj powiedział, że rtm. Witold Pilecki mógłby stać się patronem od dokonywania trudnych życiowych wyborów. Rzeczywiście, gdy przyjrzymy się jego biografii, dostrzeżemy, że niemal przez całe życie podejmował trudne decyzje, a za każdym razem wybierał trudniejszą drogę. W warunkach niewyobrażalnego stresu i presji nie dał się złamać, nie utracił swojego ideału.

Już ponad rok żyjemy w nienormalnych warunkach. Wprowadzone restrykcje dla wielu osób wiązały się z utratą pracy, izolacją, poczuciem lęku i niepewności. Psychologowie alarmują: kondycja psychiczna Polaków pogarsza się w ekspresowym tempie. Jest to szczególnie trudny czas dla młodzieży, która przebywa na zdalnym nauczaniu. W ostatnich miesiącach udało mi się przeprowadzić kilka lekcji o rtm. Pileckim w formie zdalnej. Poznanie historii człowieka, który przebywał w o wiele trudniejszych warunkach niż ci młodzi ludzie, dodaje im odwagi i podnosi na duchu. Nagle pojawia się myśl, że każdą trudną chwilę można wykorzystać do przełamywania siebie, do walki ze swoim charakterem, do naśladowania Chrystusa.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł na podstawie książki: A. Mandrela, „Duchowość i charakter Witolda Pileckiego. Sylwetka ochotnika do Auschwitz", Katowice 2019.

eprasa.pl 254763f74e

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

II RP w statystykach

Przedwojenne filmy – pisze Kamil Janicki, współautor książki „Przedwojenna Polska w liczbach" – utrwaliły wyobrażenie o mieszkańcach II Rzeczypospolitej, zasiedlających przestronne, jasne i gustownie urządzone mieszkania, wyposażone w prąd i łazienki, a usytuowane przy ulicach zalanych światłem neonów. Takie domostwa rzeczywiście istniały. Ale na pewno nie były typowe".

W rzeczywistości II RP borykała się z poważnym kryzysem mieszkaniowym. W 1931 r. w całym kraju było zaledwie 6,4 mln mieszkań i 11,8 mln izb mieszkalnych. W jednym mieszkaniu żyło przeciętnie 4,9 osoby, a w jednej izbie – 2,7.

W 1939 r. prąd przyłączony był zaledwie do 3 proc. wsi. W miastach zelektryfikowane było zaś zaledwie 27,6 proc. budynków (dane za 1931 r.). W Warszawie wyglądało to o wiele korzystniej, bo 67,8 proc. Najlepiej wypadały jednak Katowice, gdzie prąd był w 92,7 proc. domów.

Dużo gorzej było z kanalizacją. W 1931 r. kanalizację miało 12,9 proc. budynków w polskich miastach. Szczególnie fatalnie było w Łodzi – 6,9 proc.

Niestety, te statystyki nie kłamią. Z książki „Przedwojenna Polska w liczbach" wyłania się niewesoły obraz ojczyzny naszych przodków. II RP była niestety krajem zacofanym i biednym. Cały czas na dorobku.

W 1939 r. po polskich drogach jeździło zaledwie 42 tys. samochodów (z tego 8,6 tys. ciężarówek) i 12 tys. motocykli. Czyli 12,1 samochodu na 10 tys. mieszkańców. Dla porównania: w Anglii i Francji samochodów było 50 razy więcej, w Belgii – 27, a w Niemczech – 25 razy więcej. Jak pisze Rafał Kuzak, w liczbie automobili wyprzedzała nas nawet zacofana Rumunia!

W II RP do bezpiecznej jazdy samochodem nadawało się ok. 3 tys. km szos, czyli zaledwie 5 proc. wszystkich dróg utwardzonych. Tymczasem w Danii – 100 proc., we Francji – 80 proc., a w Niemczech – 70 proc.

Cała książka „Przedwojenna Polska w liczbach" jest dosłownie nafaszerowana danymi. Możemy dowiedzieć się, jak wyglądały ówczesne systemy emerytalny i podatkowy, jak wysokie były zarobki, ile kosztowały podróże kolejowe i lotnicze. Autorzy wykonali prawdziwie mrówczą pracę. ©℗

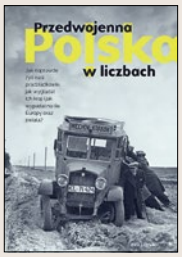

★★★★★★
(PRACA ZBIOROWA) „PRZEDWOJENNA POLSKA W LICZBACH" BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć hrabiego Raczyńskiego

Położony 20 km na południe od Poznania Rogalin przeszedł w ręce Raczyńskich w drugiej połowie XVIII w. W tej sytuacji pisarz koronny i późniejszy starosta wielkopolski Kazimierz Raczyński postanowił wybudować rodową siedzibę. Prace rozpoczęto w 1770 r. i ukończono je po sześciu latach, powstała wówczas efektowna rezydencja w modnym ówcześnie typie entre cour et jardin, czyli zlokalizowana pomiędzy dziedzińcem a ogrodem. Wzniesiono ją w stylu późnego baroku i rokoka, a w późniejszych latach budowla otrzymała elementy klasycystyczne. Całość przetrwała w niemal niezmienionym kształcie do dzisiaj.

Całość przetrwała do dzisiaj w niemal niezmienionym kształcie

Trzeci właściciel pałacu, Edward Raczyński, wzniósł w ogrodzie kaplicę wzorowaną na rzymskich świątyniach. W zamierzeniu fundatora budowla miała zarówno spełniać funkcje sakralne, jak i stać się mauzoleum rodu. Raczyński znacznie też poszerzył założenie parkowe, a dawną salę balową pałacu przekształcił w zbrojownię, gdzie eksponowano pamiątki narodowe. Zgromadził również niezwykle cenny księgozbiór, który po latach stał się zalążkiem poznańskiej Biblioteki Raczyńskich. Oficjalnie instytucja rozpoczęła działalność 5 maja 1829 r.

Właściciel pałacu był bowiem gorliwym patriotą, który uważał, że chociaż Polska zniknęła z mapy świata, to należało dbać, by zachować tradycję i kulturę narodu. W tym celu zaangażował się w budowę tzw. Złotej Kaplicy w katedrze poznańskiej, mającej przypominać o dawnej chwale kraju. Osobiście ufundował posągi Mieszka I i Bolesława Chrobrego oraz został przewodniczącym komitetu budowy kaplicy. Angażował się też w liczne akcje społeczne i charytatywne, współfinansował powstanie pierwszego wodociągu w Poznaniu, a także jednego z miejskich szpitali. Założył także szkołę rolniczą w Jeżewie w pobliżu Śremu oraz wspierał finansowo artystów i uczonych.

Niestety, nikt nie bywa prorokiem we własnym kraju, o czym Raczyński boleśnie się przekonał. Jego popularność nie wszystkim się podobała i pojawiły się oskarżenia o malwersacje oraz nadużycia przy budowie „Złotej Kaplicy". Arystokrata wpadł w depresję i na początku 1845 r. popełnił samobójstwo, strzelając do siebie z armatki sygnałowej. Niecodzienny sposób pozbawienia się życia nie był zresztą wśród polskiej arystokracji tej epoki wyjątkiem, gdyż nieco wcześniej Jan Potocki, autor „Rękopisu znalezionego w Saragossie", strzelił sobie w głowę srebrną kulą wypiłowaną z fragmentu cukiernicy. Hrabia podejrzewał bowiem, że jest wilkołakiem… ©℗

eprasa.pl 254763f74e

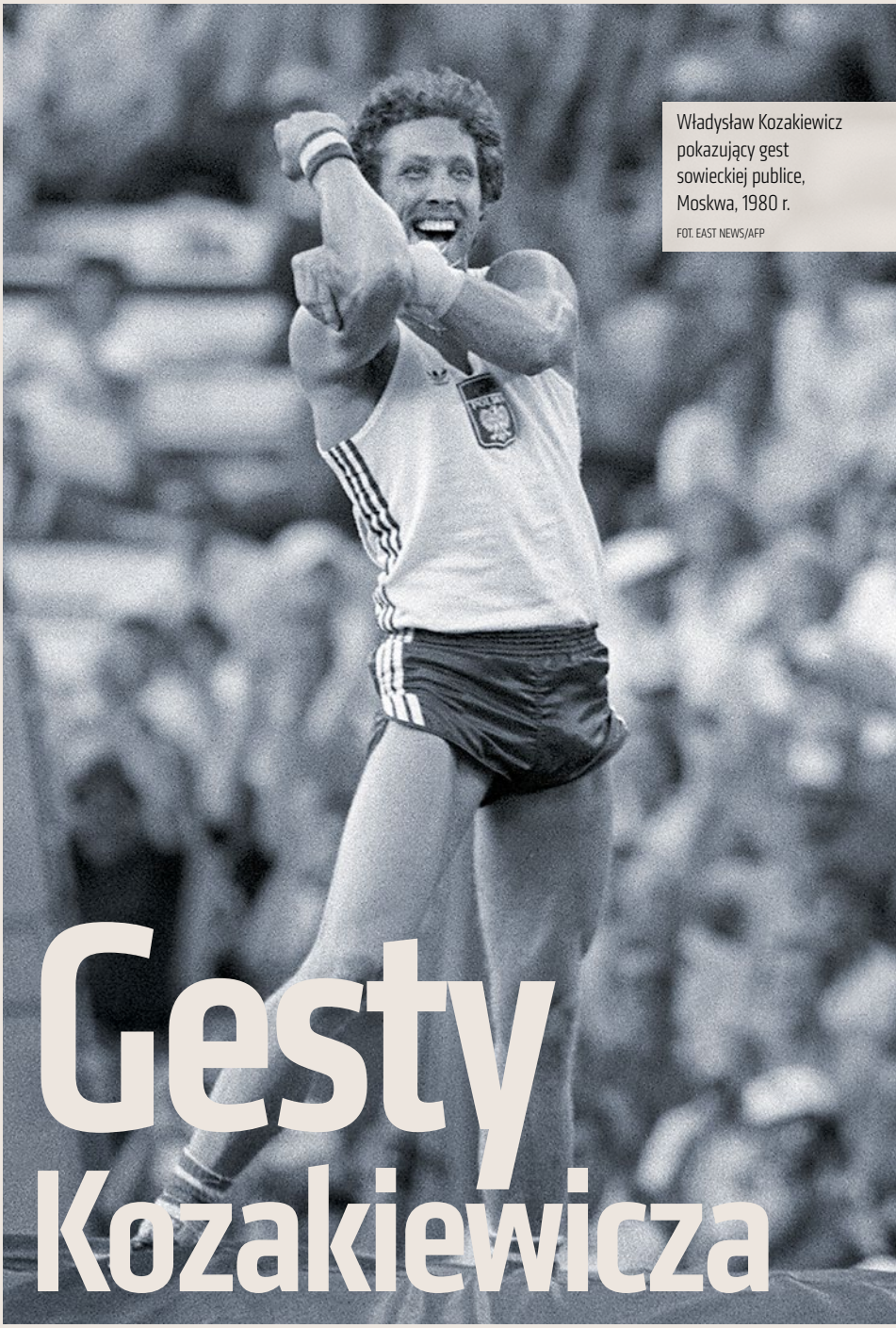

Władysław Kozakiewicz pokazujący gest sowieckiej publice, Moskwa, 1980 r.

FOT. EAST NEWS/AFP

Gesty Kozakiewicza

Z Ksawerym Szczepanikiem
rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego Władysław Kozakiewicz w rubryce „miejsce urodzenia" PRL-owskiego dowodu osobistego miał wpisane ZSRS?

KSAWERY SZCZEPANIK: Rzeczywiście, ten istotny element biografii bohatera jest w filmie omówiony nieco zbyt pobieżnie. Uzupełniam więc, z myślą przede wszystkim o młodszych widzach: w wyniku drugiej wojny światowej Polska traci pokaźną część swojego terytorium na wschodzie, m.in. Wileńszczyznę, gdzie żyła rodzina Kozakiewiczów i gdzie w 1953 r. przychodzi na świat Władek. Podwileńskie Soleczniki – miejsce jego urodzin – są już wtedy nie Polską, lecz Litewską Republiką Sowiecką. Jednak Kozakiewiczowie to przecież Polacy i w naturalny sposób pragną znowu znaleźć się w ojczyźnie. Gdy nadchodzi polityczna odwilż, w roku 1956 opuszczają rodzinne strony i ruszają na zachód. Stają się repatriantami, z tym że – to ważne – nigdy z własnej woli nie opuścili Polski! Po prostu wielka historia zdecydowała o losie ich i setek tysięcy polskich rodzin.

Trójmiasto w jego życiu zaistniało przypadkowo?

Przybyszów ze wschodu kierowano w różne miejsca Polski Ludowej, przede wszystkim na tzw. Ziemie Odzyskane. Kozakiewiczowie na krótko trafili do obozu dla przesiedleńców w Gryficach – w dzisiejszym województwie zachodniopomorskim. Wkrótce potem ojciec Władka dowiedział się, że może podjąć pracę w stoczni w Gdyni. W ten sposób przyszły olimpijczyk trafił do miasta, które odegra w jego życiu niezwykle istotną rolę. Związany jest z nim do dziś, chociaż od wielu już lat mieszka gdzie indziej.

Kto wie, czy bardziej od jego rekordu świata, wieńczącego złoty medal olimpijski w Moskwie A.D. 1980, nie zapamiętano spontanicznej reakcji lekkoatlety uwiecznionej w obiektywie przez fotoreportera Leszka Fidusiewicza? Co ją spowodowało?

W największym skrócie – gest stanowił autorską odpowiedź Kozakiewicza na gwizdy, którymi nieprzychylna publiczność sowiecka próbowała zniechęcić go do skakania. Zachowanie Polaka można jednak interpretować szerzej, jako reakcję Władka na sumę złych doświadczeń życiowych, które spotkały go w drodze do Moskwy. Z pewnością dziś tyczkarz kojarzony jest przede wszystkim z gestem wykonanym po mistrzowskim skoku. Rekordowa wysokość – 5,78 m – i triumf na igrzyskach poszły nieco w zapomnienie. W tamtym okresie jednak, tj. bezpośrednio po moskiewskich zawodach, liczył się przede wszystkim sukces sportowy. To o najwyższym stopniu podium i rekordzie świata trąbiły polskie media i to spektakularnego osiągnięcia lekkoatletycznego gratulowano Kozakiewiczowi w licznych telegramach, napływających do wioski olimpijskiej w kolejnych dniach. O geście bezpieczniej było głośno nie mówić. Kiedy po konkursie Władek udzielał wywiadu w studiu TVP w Moskwie, prowadzący rozmowę red. Tomasz Hopfer kopnął go lekko poza kadrem, żeby ten nie wracał już do swojego „wybryku". Rosjanie, którzy oczywiście zinterpretowali gest jednoznacznie, jako polityczną manifestację, skrzętnie przemontowali większość nagrań filmowych. Zachował się on zaledwie na jednym nagraniu wideo i kilku fotografiach nieocenionego Leszka Fidusiewicza, który w trakcie produkcji filmu nie tylko otworzył przed nami swe

eprasa.pl 254763f74e

bogate archiwum zdjęciowe, lecz także zgodził się wystąpić przed kamerą, by podzielić się z widzami wspomnieniami z wielu lat swojej błyskotliwej działalności fotoreporterskiej, u boku naszych najwybitniejszych lekkoatletów.

Za to zachowanie spotkały sportowca konsekwencje?

Udało mi się odnaleźć sędziego sportowego obecnego 30 lipca 1980 r. na stadionie im. Lenina w Moskwie. Potwierdził wersję Władka o sporym dyplomatycznym zamieszaniu, które wywołał gest. Zebrała się komisja dyscyplinarna. Jej celem było bezwzględne ukaranie naszego reprezentanta, włącznie z odebraniem mu medalu. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały wówczas, że Polak straci olimpijskie złoto, o którym marzył przez tyle lat. Co wydarzyło się dalej, opowiadam w filmie.

13 grudnia 1981 r. zaznaczył się jakoś w biografii „Kozaka"?

Nie. Najjaśniejsze gwiazdy PRL-owskiej lekkoatletyki nie miały nic wspólnego z polityczną opozycją. Kozakiewicz z pewnością nie pochwalał tego, co wówczas działo się w Polsce, jednak swojego sprzeciwu nie mógł otwarcie zamanifestować – oznaczałby dla niego zawieszenie w prawach zawodnika, odebranie stypendium, szlaban na zagraniczne wyjazdy, słowem: koniec kariery sportowej. Warto w tym miejscu dodać, że w dniu wprowadzenia w Polsce stanu wojennego Władek raczej nie spał do południa. Trzeba było wstać na poranny trening i po prostu robić swoje. Nie zapominajmy, że w tamtym czasie nasz bohater miał już żonę i dziecko, budował dom w Gdyni – chciał po prostu cieszyć się życiem, niezależnie od niesprzyjających okoliczności politycznych.

Kto i w jakich okolicznościach pozbawił go możliwości obrony tytułu mistrza olimpijskiego?

Dobre pytanie, na które widzowie nie znajdą jednak odpowiedzi w moim filmie. W 1984 r. letnie IO odbywały się w Los Angeles. W związku z trwającą zimną wojną Związek Sowiecki zdecydował się je zbojkotować. Wkrótce potem podobną decyzję podjęły pozostałe państwa bloku wschodniego, poza Rumunią, która wyłamując się z bojkotu, zapewniła sobie najbardziej medalodajny występ olimpijski w dziejach. W PRL decyzję tę podjęli niemal jednogłośnie Polski Komitet Olimpijski i gen. Wojciech Jaruzelski, choć pewnie powinienem wymienić ich w odwrotnej kolejności. Koncentrowałem się wyłącznie na losach mojego bohatera. Geneza i reperkusje bojkotu przez PRL igrzysk w Los Angeles to temat na inny film.

Rok później tyczkarz nie reprezentował już Polski...

Decyzja, by na stałe opuścić Polskę, zapadła w roku 1985. Dla wielu znajomych Kozakiewicza była szokiem. „Przecież w PRL żył jak pączek w maśle – trenował, startował na zagranicznych mityngach, miał pieniądze i popularność..." – często słyszałem takie wypowiedzi podczas zdjęć do filmu. Nie wszyscy jednak wiedzieli o walce, którą w tamtym czasie toczył z krnąbrnym Kozakiewiczem Polski Związek Lekkiej Atletyki. Wkrótce po „zniknięciu" sportowca – za sprawą doniesień Radia Wolna Europa – stało się jasne, że nie zamierza wracać co ojczyzny, co więcej, chce przyjąć niemieckie obywatelstwo! Tego było już za wiele. Sprawę krytycznie ocenili dziennikarze usłużni władzy ludowej, m.in. Daniel Passent, Witold Duński czy Łukasz Jedlewski. Na łamach „Przeglądu Sportowego" ten ostatni napisał tak: „Szkoda mi Kozakiewicza. Tu był kimś i pozostałby nim nadal po zakończeniu kariery. Tam może stanowić atrakcję tylko przez jakiś czas – jako znany przybysz zza żelaznej kurtyny, bo dla nowego kraju nic już, jak sądzę, nie zwojuje". W odwecie za rzekomą ucieczkę nazwisko Kozakiewicza wyeliminowano z polskich doniesień medialnych. Narodowy bohater z Moskwy przestał istnieć. Tymczasem stary mistrz w RFN szybko odzyskał formę, znowu zaczął wysoko skakać i postanowił pokazać polskim władzom sportowym, co straciły. I tak w roku 1986 dochodzi do ostatecznej rozgrywki między Władkiem a PRL, oczywiście na stadionie lekkoatletycznym – to finałowa scena w filmie.

Dlaczego zdecydował się na wyjazd akurat do RFN?

Podobnie jak wielu innych naszych lekkoatletów przez lata startów na największych światowych imprezach wyrobił sobie sieć kontaktów wśród sportowych menedżerów, przede wszystkim tych spomiędzy Łaby i Renu. Ponadto w tamtym okresie skok o tyce przeżywał w Niemczech Zachodnich swoje pięć minut. Na rynkach wielu niemieckich miast i miasteczek odbywały się zawody pokazowe w tej konkurencji. Brał w nich udział, wzbudzając popłoch wśród reprezentantów gospodarzy. Kilkukrotnie ustanawiał rekord Niemiec. Imprezy takie były dobrze płatne, kończący przygodę tyczkarską Kozakiewicz mógł więc zadbać o swoją przyszłość. Wybór Władka padł na RFN jeszcze z jednego powodu. Otóż stamtąd było najbliżej do Polski, na którą nasz bohater się pogniewał, lecz nadal nosił ją w sercu.

Z emigracją wiąże się jeszcze jedna ważna decyzja Kozakiewicza...

Owszem, był to kolejny gest nieobliczalnego sportowca. Po wyjeździe z Polski trafił do Hanoweru. Jego treningi na lokalnym stadionie szybko wzbudziły duże zainteresowanie lokalnych mediów. Pragmatyczni Niemcy – upewniwszy się, że mają przed sobą mistrza olimpijskiego z Moskwy – zaproponowali mu akces do lokalnego klubu lekkoatletycznego, potem pomoc w formalnościach paszportowych i wreszcie dołączenie do niemieckiej kadry narodowej. Jak Władek zareagował na te propozycje – opowiadam na ekranie.

Powrót lekkoatlety do Polski był możliwy dopiero po transformacji ustrojowej?

Zdecydowanie tak. Wcześniejszy bez wątpienia skończyłby się jego aresztowaniem. W końcu on i jego rodzina nielegalnie pozostali poza granicami Polski Ludowej. A kilka dni po upadku komuny w Polsce Kozakiewicz wsiadł do samochodu i po prostu przyjechał do Gdyni. Szybko okazało się, że rodacy nadal go kochają, a jego starty w barwach innych niż polskie puścili w niepamięć.

Rodzinne Soleczniki też mógł odwiedzić dopiero wówczas?

W okresie PRL nie było to aż takie trudne. W końcu znajdowały się na obszarze „bratniego" ZSRS. Podczas zdjęć do filmu wspominał, że odwiedził swoją rodzinną miejscowość podczas jakichś zawodów sportowych rozgrywanych bodaj w pobliskim Wilnie. W wyprawie towarzyszył mu inny lekkoatletyczny czempion-kresowiak, Władysław Komar. Obecnie Kozakiewicz zagląda do Solecznik regularnie, miejscowa społeczność zaś do dziś rozpamiętuje jego sportowe osiągnięcia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Po złoto", scenariusz i reżyseria: Ksawery Szczepanik (na zdjęciu), dystrybucja: Darek Dikti Biuro Pomysłów

eprasa.pl 254763f74e

Zakaz

Piotr Włoczyk

Praca misyjna wśród Żydów to wyjątkowo wybuchowy temat. Przypomniała o tym niedawna awantura wokół rabina, którego oskarżono o nawracanie członków ultraortodoksyjnej społeczności

Burza zaczęła się od jednego zdania wypowiedzianego w szkolnej ławce. „Jezus przyjmuje wszystkich, nawet jeśli się mylą" – miała powiedzieć do koleżanki 13-letnia córka inkryminowanego mężczyzny. Słowa te doszły w końcu do uszu liderów religijnych jerozolimskiej dzielnicy Hagiwaa Hacarfatit i rozpoczęło się drobiazgowe śledztwo. Dlaczego dziewczynka wychowywana w szanowanej ultraortodoksyjnej rodzinie opowiada koleżankom – i to w pozytywnym kontekście – o Jezusie?

Wyniki dochodzenia przedstawił ultraortodoksyjny portal „Behadrej Charedim". Niewymieniony z imienia i nazwiska mężczyzna był, jak przedstawiło go to medium, „jednym z najważniejszych członków społeczności ultraortodoksyjnej w Hagiwaa Hacarfatit". Portal podkreślił, że choć człowiek ten ubierał się jak inni w jego społeczności, miał pejsy i przewodził najważniejszym żydowskim obrzędom, to „skrywał gorzką prawdę".

Szybko okazało się, że za nagłośnieniem tej sprawy stała tak naprawdę Bejnejnu – organizacja monitorująca działalność chrześcijańskich misjonarzy. W oświadczeniu na ten temat kierownictwo Bejnejnu napisało, że zdecydowało się pójść z tym tematem do mediów, ponieważ „jedno z dzieci misjonarza próbowało nawracać w szkole".

„Jesteśmy przekonani, że żydowscy liderzy ostro zadziałają przeciw temu zagrożeniu i szybko wdrożą odpowiednie procedury, by chronić w przyszłości żydowską społeczność" – czytamy w oświadczeniu Bejnejnu.

Shannon Nussan, przedstawicielka tej organizacji, ujawniła, że rodzina misjonarza była obserwowana wcześniej przez Bejnejnu przez ponad siedem lat, ale nagle zapadła się pod ziemię i niespodziewanie pojawiła się w dzielnicy Hagiwaa Hacarfatit.

„Ten człowiek wtopił się w ultraortodoksyjną wspólnotę i rozpoczął nowe życie, ale było to najwyraźniej życie pełne kłamstw" – powiedziała Nussan.

„Do teraz trzymaliśmy to wszystko w tajemnicy, ponieważ nie chcieliśmy, żeby ojciec przeniósł się do innej dzielnicy, i pracowaliśmy nad tym, żeby odebrano mu obywatelstwo" – komentował w rozmowie z „Behadrej Cheradim" Yoni Kayman, jeden ze śledczych zaangażowanych w sprawę.

WYŁUDZONE OBYWATELSTWO?

Izraelskie media podają, że rodzina ta należy do liczącej ok. 10 tys. członków społeczności Żydów mesjanistycznych. Grupa ta pozostaje w rozkroku między chrześcijaństwem a judaizmem. Wiara w Jezusa Chrystusa łączona jest przez nich z przestrzeganiem podstawowych form żydowskiej religijności i tradycji.

eprasa.pl 254763f74e

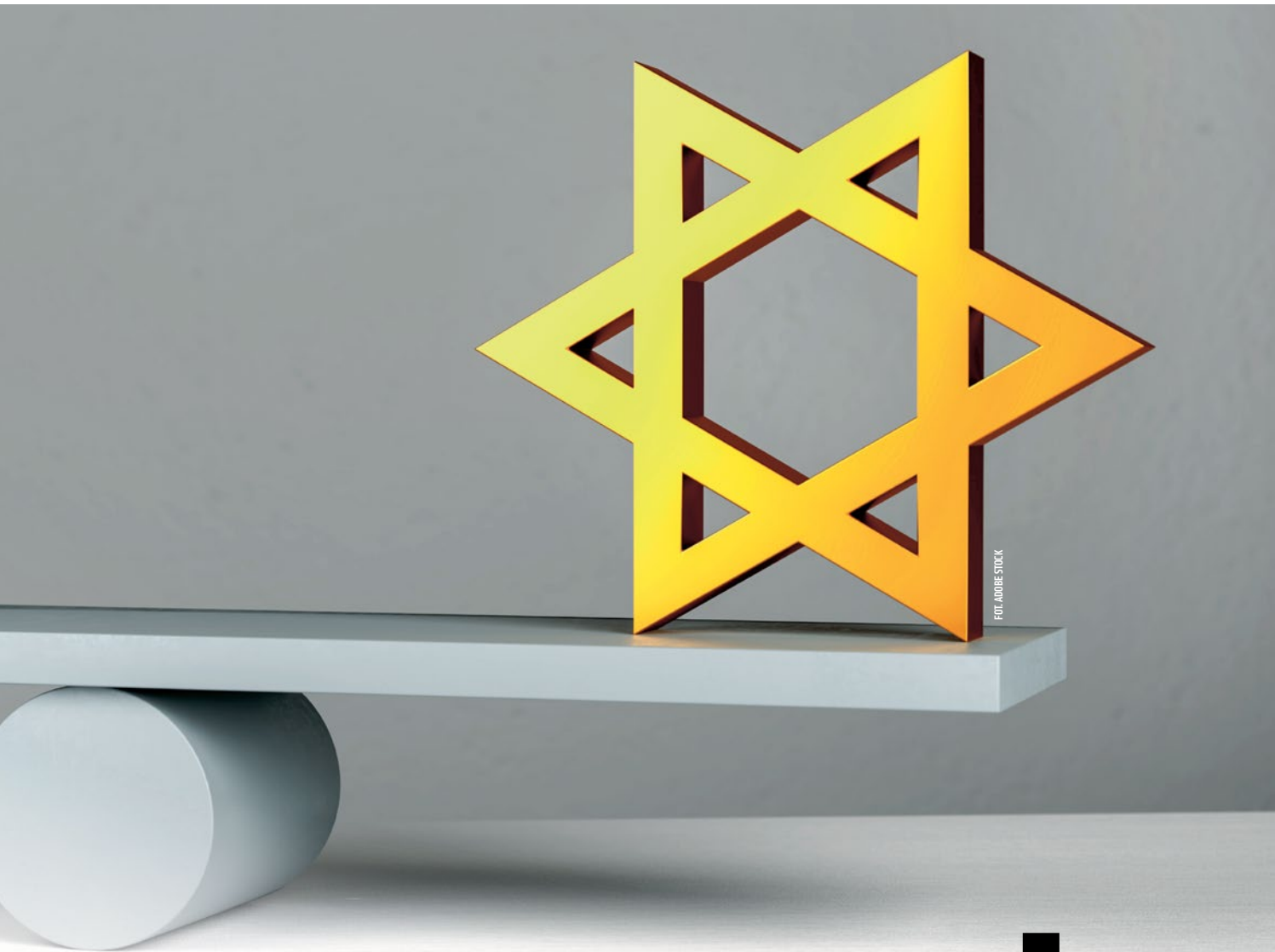
FOT. ADOBE STOCK

nawracania

Mimo swojej nazwy społeczność ta jest jednak uznawana przez Izrael za odłam chrześcijaństwa.

Chociaż w izraelskich mediach nie podaje się tożsamości rabina, to tabloid „New York Post" napisał, że oskarżony nazywa się Michael Elkohen (urodził się w New Jersey jako Michael Elk) i ma 42 lata. W 2006 r. przyjechał wraz z żoną do Izraela, korzystając z tzw. prawa powrotu. Daje ono każdemu Żydowi, niezależnie od miejsca urodzenia, możliwość otrzymania obywatelstwa izraelskiego. Jedynym warunkiem jest religia – osoba ubiegająca się o osiedlenie w Izraelu na podstawie „prawa powrotu" nie może być wyznawcą „innej religii" niż judaizm.

Tymczasem – jak podaje Bejnejnu – Elkohen skłamał we wniosku złożonym w izraelskim MSW. Małżeństwo wcale nie było potomkami Żydów, którzy przeżyli Holokaust. Ojciec Elkohena był, jak wyśledziły izraelskie media, wyznania protestanckiego. „Z naszych informacji wynika, że nie ma żadnych dowodów, iż ta rodzina ma żydowskie korzenie" – stwierdziła Bejnejnu.

Sprawą ma się zająć izraelskie MSW. Jeżeli Elkohen zostanie uznany za kłamcę, to Izrael odbierze mu obywatelstwo (jego żona zmarła na raka w lutym tego roku).

Mężczyzna twierdzi jednak, że cała ta sprawa to jedna wielka nagonka na niego. „To kłamstwo. Urodziłem się Żydem" – powiedział na antenie kanału

eprasa.pl 254763f74e

13 izraelskiej telewizji. Równocześnie przyznał jednak, że „7–8 lat wcześniej" faktycznie zajmował się nawracaniem Żydów, ale „odpokutował" już za to.

Rabin Tovia Singer, przewodniczący Outreach Judaism, organizacji przedstawiającej się jako „odpowiedź judaizmu na chrześcijańskich misjonarzy", twierdził w rozmowie z portalem Norhtjersey.com, że Elkohen to bardzo ważna figura w grupie chrześcijańskich misjonarzy działających w Izraelu. „Kierował misjonarzy w różne rejony Izraela. Tym mesjanistycznym grupom chodzi o zamazanie różnic, by zwabić Żydów, którzy w innym przypadku oparliby się przekazowi chrześcijan".

Również w świetle opowieści Shannon Nussan z Bejnejnu Elkohen to wyjątkowo cyniczny szef podziemnej chrześcijańskiej jaczejki. „Ten człowiek jest liderem całej grupy agentów, którzy przedstawiają się jako bardzo religijni Żydzi" – powiedziała Nussen w wywiadzie z Northjersey.com. – Uczy ich wszystkiego, począwszy od spraw językowych, poprzez kwestie ubioru, aż do zawiłości żydowskiego Prawa".

Bejnejnu alarmuje, że w Izraelu działa 30 tys. misjonarzy chrześcijańskich, ale dane te, podobnie jak opis pozycji Elkohena wśród misjonarzy, wydają się mocno przesadzone.

Największym problemem mężczyzny będzie sprawa domniemanego kłamstwa na temat korzeni. Niewykluczone też, że mogą go spotkać konsekwencje za przeprowadzanie ceremonii religijnych (m.in. obrzezań i udzielanie ślubów), ale sam zarzut nawracania nie powinien go, przynajmniej teoretycznie, narazić na konsekwencje karne. Izraelskie prawo co do zasady nie zabrania bowiem prozelityzmu. Niedopuszczalne jest jedynie nawracanie młodzieży poniżej 18. roku życia bez zgody rodziców oraz oferowanie korzyści materialnych w celu zmiany wyznania. To jednak wcale nie oznacza, że chrześcijańscy misjonarze mogą działać w Izraelu bez większych problemów.

KRYTYCZNY RAPORT

„Pomimo faktu, że prozelityzm jest legalny, rząd [izraelski – przyp. red.] przedsięwziął wiele kroków, by powstało wrażenie, że prozelityzm jest wbrew polityce państwa – pisze amerykański Departament Stanu w raporcie na temat wolności religijnych w Izraelu. – Przykładowo MSW zatrzymywało osoby podejrzewane o bycie misjonarzami i wymagało od takich osób kaucji oraz złożenia obietnicy, że będą powstrzymywały się od działalności misjonarskiej. Dodatkowo odmawiano im w przyszłości wjazdu na teren kraju. […] MSW podawało prozelityzm jako powód odmowy wydania wiz w celach studenckich, pracowniczych lub religijnych, a także odmawiało z tego powodu wydania pozwolenia na pobyt stały".

Jak widać, Żydzi, stanowiący trzy czwarte obywateli Izraela, bardzo się boją, by dwuprocentowa mniejszość chrześcijańska (składająca się w zdecydowanej większości z Arabów) za bardzo się nie rozrosła. Do mniejszości tej zaliczani są przez Izrael również Żydzi mesjanistyczni. I to właśnie ich najbardziej boją się żydowscy liderzy religijni, chociaż pracę misyjną w Izraelu podejmują też otwarcie protestanci.

Dużo uwagi poświęca się zwłaszcza zwalczaniu organizacji Jews for Jesus (Żydzi dla Jezusa), mesjanistycznej wspólnoty założonej w 1970 r. w Kalifornii, która działa dziś na całym świecie, starając się nawrócić Żydów na swoją wiarę.

„Nie nazywajcie nas nawróconymi Żydami" – mówił w 1972 r. na spotkaniu w Madison Square Garden Moishe Rosen, założyciel Jews for Jesus. – Nie jesteśmy nikim innym tylko właśnie Żydami. Urodziłem się Żydem i umrę Żydem – ale jestem Żydem, który wierzy w Jezusa!". Grupa ta wydaje co roku ponad 20 mln dol. na swoją działalność misyjną, współpracując z ewangelikalnymi chrześcijanami z USA.

Odpowiedzią na zagrożenie ze strony Jews for Jesus jest Jews for Judaism (Żydzi dla Judaizmu), organizacja nazywająca się „antymisjonarską", która – podobnie jak Bejnejnu i Outreach Judaism – tropi misjonarzy krążących wśród Żydów i nagłaśnia takie przypadki.

Rabin Michael Skobac, jedna z czołowych postaci Jews for Judaism, prowadzi seminarium pt. „Antymisjonarski obóz przetrwania", w którym uczula swoich słuchaczy, by nie dali się zwieść opowieściom o Jezusie Chrystusie. Pokazuje im, jak rozumieć we „właściwy" sposób fragmenty Starego Testamentu, które zapowiadają przyjście Jezusa Chrystusa.

W tym kontekście gigantyczne faux pas popełnił w 2018 r. Mike Pence, gdy podczas swojego przemówienia w Detroit zaprosił na scenę rabina Lorena Jacobsa, prosząc go o poprowadzenie modlitwy i przedstawiając go jako „lidera lokalnej społeczności żydowskiej". Sęk w tym, że Loren Jacobs to mesjanistyczny Żyd. Wpadka Pence'a doprowadziła do wściekłości amerykańskich Żydów.

„Postawmy sprawę jasno – mesjanistyczny »judaizm« to gałąź chrześcijaństwa, która jest obrazą dla społeczności żydowskiej. To była obraźliwa polityczna szopka" – skomentował to wydarzenie na Twitterze rabin Jason Miller z Detroit.

LEPSZY ŚWIAT?

Jak na kwestię nawracania Żydów patrzy Kościół katolicki? Podejście Watykanu do tej sprawy ewoluowało przez ostatnie dekady w kierunku, który bardzo nie podoba się wielu kapłanom i wiernym.

W 2015 r. watykańska Komisja ds. Stosunków Religijnych z Judaizmem z okazji 50. rocznicy powstania deklaracji „Nostra aetate" wydała dokument, w którym stwierdzała, że Kościół nie przewiduje nawracania Żydów. Autorzy deklaracji stwierdzali w niej z satysfakcją, że przez poprzednie pół wieku obie religie przeszły od „obojętnej koegzystencji" do „głębokiej przyjaźni".

„Pierwszym celem dialogu jest pogłębienie wzajemnej wiedzy o Żydach i chrześcijanach. Można kochać jedynie to, czego się stopniowo nauczyło, a można poznać prawdziwie i dogłębnie tylko to, co się kocha. Tej pogłębionej znajomości towarzyszy wzajemne ubogacenie, na mocy którego partnerzy dialogu stają się odbiorcami darów" – napisali autorzy deklaracji. „Już nie w konfrontacyjnej opozycji, ale współpracując ramię w ramię, Żydzi i chrześcijanie powinni starać się działać na rzecz lepszego świata".

Obecny podczas prezentacji dokumentu w Watykanie rabin David Rosen z Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego wyraził uznanie dla treści deklaracji. Jednak nie brakuje katolików, którzy zwracają uwagę, że nie sposób wyciągnąć z tego wniosku, iż Kościół w ogóle ma zrezygnować z prób docierania z Ewangelią również do wyznawców judaizmu.

„Nakaz misyjny Jezusa Chrystusa obowiązuje stale i wszystkich Jego wyznawców – powiedział w rozmowie z portalem PCh24.pl ks. prof. Waldemar Chrostowski. – Nikt zatem z niego zwolnić nas nie może. Co więcej, byłoby nieszczęściem, gdyby nawiązywanie dialogu religijnego miało zastępować dynamizm misyjny Kościoła albo go osłabiać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

FOT. YOUTUBE

KAŁAMARNICA DO WALKI Z PANDEMIĄ

Japońskie miasto Noto dostało rządowy grant finansowy na walkę ze skutkami pandemii. Władze miejscowości postanowiły wydać z tej puli w przeliczeniu prawie milion złotych na wykonanie dziewięciometrowej figury kałamarnicy. Krytykowani przez mieszkańców urzędnicy bronią się tym, że rządowe wsparcie wcale nie musiało być przeznaczane na bezpośrednią pomoc ludziom. Uważają też, że instalacja przedstawiająca głowonoga pomoże lokalnej gospodarce, bo przyciągnie do miasta turystów.

JAK ROLNIK POWIĘKSZYŁ BELGIĘ

Pewien rolnik z Belgii jechał sobie traktorem i zdenerwował się na duży kamień, który mu zawadzał na trasie. Kamień przeniósł. Jak się potem okazało – był to kamień położony w 1819 r. i wyznaczający granicę między Belgią a Francją. Jak przyznał francuskiej telewizji TF1 burmistrz belgijskiej miejscowości Erquelinnes, w ten sposób Francja stała się krajem mniejszym, a Belgia większym. Sprawa ma zostać załatwiona polubownie. No, chyba że rolnik kamienia nie odniesie, wówczas może usłyszeć zarzuty karne.

ZAKAZ POWROTÓW DO OJCZYZNY

Australijczycy nie chcą nadmiernie narażać się na kontakt z indyjskim wariantem koronawirusa. Może i słusznie. Wybrali jednak nieco kontrowersyjne narzędzia. Oprócz wstrzymania lotów z Indii zagrozili też każdemu obywatelowi, który pragnąłby wrócić z tego kraju do ojczyzny. Nie i koniec. A kto przyjedzie z Indii, ten zapłaci karę grzywny sięgającą w przeliczeniu do 200 tys. zł oraz może trafić też za kratki na pięć lat.

ZAKAZ WYJAZDÓW Z OJCZYZNY

W Kuwejcie – podobnie jak w Australii – też zawiesili loty z Indii w obawie przed nową mutacją koronawirusa. Przyjęli jednak metodę – można rzec – odwrotną do australijskiej. Gdy Australijczycy grożą karami za powrót do kraju, rząd Kuwejtu zakazuje opuszczania własnego kraju obywatelom. Od 22 maja nieszczepieni nie będą mogli odbywać podróży zagranicznych.

DZIEŁO SZTUKI POMYLIŁ Z CHWASTAMI

Holenderska gmina Utrecht trzy lata temu zamówiła sobie instalację artystyczną „Znikające schody". W centrum miasta od trzech lat pielęgnowano różne gatunki egzotycznych roślin. Do ubiegłego tygodnia. Pracownik odpowiedzialny za utrzymanie porządku w zieleni miejskiej zrobił bowiem porządek z tą instalacją. Dzieło warte 250 tys. euro uznał za chwasty, potraktował palnikiem i uczynił „schody" znikającymi naprawdę. Urząd zapowiedział jednak, że artystyczne dzieło odtworzy. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Normalność dla zaszczepionych

JACEK PRZYBYLSKI

Coraz więcej państw pozwala ozdrowieńcom oraz osobom w pełni zaszczepionym w miarę swobodnie chodzić nie tylko na zakupy, lecz także do restauracji czy kawiarni, do fryzjera (przed pandemią mało kto myślał o tym, jaki to luksus) oraz planować krajowe i zagraniczne podróże.

W Niemczech już wkrótce zaszczepionych i ozdrowieńców ma nie obowiązywać godzina policyjna ani ograniczenia w organizacji prywatnych spotkań. Z kolei na Węgrzech osoby posiadające specjalne certyfikaty zaświadczające o przyjęciu szczepionek mogą już korzystać z hoteli, spa i siłowni, a także chodzić do bibliotek, teatrów, kin czy zoo.

Można się spierać, czy to sprawiedliwe. W państwach, w których szczepionek brakuje, przywracanie normalności tylko dla zaszczepionych może wywołać słuszne protesty i oskarżenia o tworzenie dwuklasowego społeczeństwa. W krajach, w których szczepionek nie brakuje, każda zachęta do akcji szczepień i próby przekonania do zastrzyku najbardziej opornych obywateli może być uzasadniona. Rządy, samorządy, a także właściciele restauracji, aby uniknąć czwartej fali śmiercionośnego koronawirusa oraz potencjalnie dramatycznego w skutkach kolejnego lockdownu, próbują nie tylko znoszenia restrykcji. W Chinach przy okazji szczepienia można liczyć na specjalne talony, w stanach New Jersey czy w Dystrykcie Kolumbii świeżo zaszczepionym rozdawane jest darmowe piwo, w Nowym Jorku hot dogi, a w Wirginii Zachodniej Amerykanie w wieku 16–35 za zaszczepienie dostają 100 dol.

Miejmy więc nadzieję, że po osiągnięciu odporności stadnej choćby na jakiś czas uda się wreszcie opanować pandemię COVID-19. Odetchną wówczas nie tylko lekarze, lecz także przedsiębiorcy oraz miliony zwykłych Kowalskich. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

Młodzi ludzie niosący portrety Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina w 90. rocznicę utworzenia Drugiej Republiki Hiszpańskiej, Madryt, 14 kwietnia 2021 r. FOT. SOPA IMAGES/GETTY IMAGES

Przewrotna pamięć lewicy

Z historykiem Pedrem F. Barbadillo, współautorem i koordynatorem publikacji „Pamięć historyczna – zagrożenie dla pokoju w Europie”

rozmawia Małgorzata Wołczyk

MAGŁORZATA WOŁCZYK: Co czuje uczciwy historyk, który od lat obserwuje narzucanie przez lewicę sfałszowanej, ideologicznej i manichejskiej wersji historii Hiszpanii XX w.?

PEDRO F. BARBADILLO: Dziękuję za uznanie mnie za uczciwego. To, co czuję, to bezradność i przygnębienie. Wydaje się, że lewica zatriumfowała. Nie tylko narzuciła oficjalną wersję sfałszowanej historii Hiszpanii, lecz także planuje uciszyć dysydentów za pomocą grzywien i sankcji. Prawo demokratycznej pamięci, które lewica przygotowuje w kongresie, jest według Stanleya Payne’a typowe dla ZSRS.

Kiedy mówię Polakom, że partia komunistyczna zasiada w rządzie hiszpańskim, że wiele manifestacji wciąż odbywa się pod flagą ZSRS, a Lenin wydaje się tu wiecznie żywy, nie dowierzają. Myślą, że macie typową europejską socjaldemokrację.

Hiszpańska lewica jest najbardziej prymitywna w Europie. Zawsze brakowało jej intelektualistów na wyższym poziomie. Co więcej, współczesnej lewicy liderują 40-latkowie, którzy mentalnie żyją w czasach wojny domowej i bronią dziedzictwa Lenina, Stalina, Che i Fidela Castro. Po części wynika to z metodycznie przeprowadzonego planu zniszczenia nauki i wiedzy historycznej. Brałem np. udział w programie telewizyjnym o zburzeniu muru berlińskiego i ani razu nie zostało wyjaśnione, że ci, którzy go zbudowali, byli komunistami, lub ilu ludzi zginęło, uciekając z „socjalistycznego raju”. Obecny w programie działacz partii komunistycznej oświadczył, że zburzenie to smutny fakt, bo oznaczał triumf kapitalizmu.

Finalnie okazali się sprytniejsi od was, wiedząc, jak ważna jest pamięć zbiorowa...

Prawica popełniła mnóstwo błędów, stała się głównie „prawicą interesów”, lansowano hasło „Ekonomia głupcze!”, więc biznes i rozwój ekonomiczny stał się priorytetem przy całkowitym zaniechaniu sfery ideowej. Kulturę, media i edukację oddano lewicy, a jeśli dodać do tego całkowite wycofanie się Kościoła z „wojny kulturowej”, to widać triumfalny pochód lewicy, który wieńczy to prawo sfałszowanej „pamięci historycznej”. W Hiszpanii katolicy nie mają już żadnych oczekiwań od hierarchów i działają pomimo ich bierności.

Może jednak część winy ponosi gen. Franco, że nie zbudował wspólnej pamięci, nie skleił dwóch Hiszpanii i nie umiał prowadzić polityki historycznej?

Reżim Franco próbował zbudować wspólną historię i promować pojednanie. Franco był trochę człowiekiem z innej epoki, katolik, tradycjonalista nie rozumiał ponownego upolitycznienia lat 60.

eprasa.pl 254763f74e

i 70. ani urazów, jakimi niektórzy wciąż żyli. I tu poniósł porażkę: w unicestwieniu tzw. hiszpańskich demonów w rodzinie, takich jak sekciarstwo i tendencja do traktowania przeciwnika jak wroga, którego należy unicestwić. Kościół hiszpański, w przeciwieństwie do polskiego, wspierał i legitymizował lewicę, przyspieszając dechrystianizację Hiszpanii.

Jak to możliwe, że kościół męczenników, w którym życie straciło 7 tys. duchownych i w którym pomimo prześladowań nie było ani jednego aktu apostazji, mógł tak szybko wyrzec się swojej misji i poddać dyktatowi lewicy?

Dzięki „dobrodziejstwom" Soboru Watykańskiego II. Również z powodu fatalnego pontyfikatu Pawła VI, który zdawał się akceptować marksistowski dogmat o „rychłym zwycięstwie socjalizmu". Kościół hiszpański, prowadzony z Rzymu, próbował zadowolić lewicę, ponieważ był pewien, że to ona będzie rządziła po śmierci Franco. Stąd już wcześniej spotkania związkowców i polityków lewicowych odbywały się w obiektach religijnych. Rozpoczęła się zmiana języka, powstały koncepty typu: „Jezus jako pierwszy socjalista w dziejach", przebóstwienie dialogu. Krótko mówiąc – Kościół hiszpański, podobnie jak włoski czy niemiecki, otworzył się na „uświatowienie". Wielu duchownych zachowuje się do dziś jak aktywiści społeczni.

Polacy mają skłonność myśleć, że w Hiszpanii zadziałało po prostu tzw. prawo wajchy. Czyli że Franco tak mocno uderzał w narodowo-katolickie tony, że to się musiało skończyć radykalnie odmienną reakcją.

W pewnej mierze tak, ale z kolei mówiono, że separatystyczni, socjalistyczni terroryści z ETA przestaną zabijać, gdy będą wolne wybory, będzie działać baskijska autonomia, a tymczasem zamordowali prawie 20 razy więcej ludzi w demokracji niż w reżimie Franco. Stąd widać, że oni nie walczyli z Franco, tylko z Hiszpanią. To już prawie 100 lat podrygów tej naszej antynarodowej i antykatolickiej lewicy, która nienawidzi narodu, w którym żyje, chce zdusić wolność innych i narzucić swoją wizję świata.

Owszem, ETA do końca walczyła z Hiszpanią, której nienawidziła. Dlatego zastanawiam się, jak można było naiwnie uwierzyć, że wraz z *transición* nagle i cudownie wszystkie rany się zagoją, ludzie zapomną urazy i że czeka was tylko „nowa demokratyczna podróż, która zacznie się z czystym kontem" (S. Peyne)?

To absurdalne, a nawet idiotyczne przekonanie wyznawała tylko część prawicy, która wstydziła się dziedzictwa Franco. Może też ta bardziej otwarta część lewicy, ale wątpię, bo terroryści mieli lewicowy rodowód. Ta nadzieja na „grubą kreskę" wskazuje na kompleksy hiszpańskiej prawicy i jej niechęć do sporu na polu kultury i debaty publicznej z adwersarzem. Morał dla Polaków jest taki, że idee mają znaczenie i jeśli nie będziecie walczyć o to, w co wierzycie – Boga, kraj, rodzinę... – to zanim się obejrzycie, lewica narzuci wam swoje idee lub swoje perwersje.

Nadzieja na „grubą kreskę" wskazuje na kompleksy hiszpańskiej prawicy i jej niechęć do sporu na polu kultury i debaty publicznej

Tyle że transformacja à la española została już „sprzedana" jako wspaniały model innym krajom. Może zbyt pośpiesznie?

Hiszpania XIX w. stała się krajem wojen domowych. W planach wielu gabinetów rządowych liczono się z możliwością wybuchu konfliktu domowego w Hiszpanii, nie tak gwałtownego jak wojna domowa, ale jednak. Na szczęście nie doszło do tego dzięki tej pokojowej przemianie. I choć lewicowy terroryzm zabił później niemal tysiąc ludzi, to ogólny wynik, widziany z zagranicy, nie był taki zły (biorąc pod uwagę obawy). Z tego powodu transformacja stała się wzorem wychodzenia z dyktatur (prawicowych czy komunistycznych) w Ameryce Łacińskiej i Europie Wschodniej.

Wielu Polaków uważa, że błędem było podążanie waszym przykładem, bo w ten sposób nie rozliczono komunizmu. Być może podobnie część Hiszpanów odczuwa potrzebę potępienia dyktatury w sposób symboliczny i stworzenia poprzez prawo „pamięci historycznej" wspólnej, jednoczącej pamięci?

Tak, zarówno Hiszpania, jak i Polska stały się rozwiniętymi demokracjami, zintegrowały się w ramach UE i NATO, ale punkty wyjścia są bardzo różne, wręcz przeciwstawne. W Hiszpanii dyktatura sama oddała władzę i pozostawiła w spadku Hiszpanię jako ósmą potęgę przemysłową świata. W Polsce komunizm upadł pod presją społeczną, w sytuacji represji, biedy, zapaści gospodarczej. W Hiszpanii to lewica i nacjonaliści domagali się amnestii politycznej, bo chcieli uwolnienia terrorystów zamieszanych w zamachy bombowe, chociaż teraz utrzymują, że był to wymóg elit Franco. Kłamstwa, podobnie jak głód, są nieodłącznym towarzyszem lewicy. Wielkim błędem, za który płacimy my wszyscy Europejczycy, jest fakt, że nie przeprowadzono po 1989 r. żadnych „procesów norymberskich" wobec komunizmu, tak jak to było w przypadku niemieckiego narodowego socjalizmu.

Jak zasypać podziały w Hiszpanii bez wspólnej pamięci? Bez niej wspólnota polityczna jest niemożliwa. No i bez pamięci aksjologicznej tworzy się podatny na manipulacje tłum, gotowy rzucać się sobie do gardła...

Hiszpanią rządzą od czasu Zapatero (2004) elity, o których inny z autorów książki „Pamięć historyczna: zagrożenie dla pokoju w Europie" – Jesús Laínz – napisał: „Brzydzą się kraju, w którym się urodzili". I ten wybuch ojkofobii obserwować można w wielu krajach wśród uprzywilejowanych warstw, lewicujących młodych ludzi od Norwegii do Australii. W obecnych warunkach sklejenie tych podziałów jest niemożliwe. Są to dwie wizje świata, zupełnie się wykluczające: ateizm, globalizm, ideologia gender kontra konserwatyzm z chrześcijańską antropologią w centrum. My, Hiszpanie, owszem, powinniśmy odzyskać pamięć wspólną, jednak nie tę zafałszowaną, lecz pamięć narodu, który rozszerzył świat i zaniósł wiarę na dalekie jego zakątki. Dzisiaj to niemożliwe, ponieważ świat odrzuca wiarę i jej dziedzictwo. I gdy wy, Polacy, zamienicie kościoły na muzea i przyjmiecie tzw. uchodźców, to od razu was polubią w Brukseli i CNN.

Możemy tylko wciąż powtarzać stare prawdy w nadziei, że pewnego dnia Bóg przechyli wahadło w naszą stronę. W dużo gorszej sytuacji byli Hiszpanie pod panowaniem muzułmańskim, kiedy garstką ludzi pod wodzą Pelayo rozpoczęli rekonkwistę półwyspu! Jesteśmy też w lepszej sytuacji niż 20 lat temu. Wtedy wydanie takiej książki jak „Pamięć historyczna: zagrożenie dla pokoju w Europie" byłoby nie do pomyślenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

FOT. ADOBE STOCK

Inwigilacja po chińsku

Maria Kądzielska

Opóźniasz się ze spłatą kredytu? Krytykujesz działania rządu w mediach społecznościowych? Pracujesz dla zagranicznej firmy? Twój kredyt zaufania publicznego zostaje obniżony. Nie możesz latać samolotem. To nie film science fiction, to Chiny

Niemal miliard obywateli Chińskiej Republiki Ludowej posiada kartę zaufania społecznego, a na niej liczbę punktów. Są one przydzielane w zależności od tego, gdzie dana osoba pracuje, ile zarabia, jakie studia kończyła, czy była kiedykolwiek karana, czy regularnie opłaca podatki i ile zaciągnęła kredytu, ale również od tego, jak się zachowuje w klubie, jakie produkty kupuje i jakiego rodzaju treści publikuje na WeChat.

Liczba punktów decyduje o tym, co wolno, a czego nie wolno obywatelom. Na przykład w 2019 r. 2,5 mln Chińczyków nie mogło kupić biletów lotniczych, a 90 tys. – biletów szybkiej kolei właśnie dlatego, że mieli zbyt małą liczbę punktów w systemie. „Tym, którzy stracą wiarygodność, będzie trudno zrobić nawet mały krok w społeczeństwie" – zagroził premier Li Keqiang w przemówieniu w 2018 r.

ZDOLNOŚĆ KREDYTOWA

W 2009 r. rząd w Pekinie rozpoczął prace nad systemem społecznej

eprasa.pl 254763f74e

inwigilacji i metodami kontroli 1,4 mld obywateli. Początkowo celem było potwierdzenie wiarygodności kredytowej mieszkańców, ale projekt szybko przekształcił się w największy program dyscyplinujący na świecie.

System kredytu społecznego to zbiór baz danych i programów, które monitorują oraz oceniają wiarygodność osób, firm i instytucji. Każdy wpis otrzymuje punkty społeczne, z nagrodą dla tych, którzy mają wysoki rating, i karami dla tych z niskimi wynikami.

Bazy danych są zarządzane przez chińskich planistów gospodarczych: Narodową Komisję Rozwoju i Reform (NDRC), Ludowy Bank Chin (LBCh) oraz krajowy system sądowniczy. Większość danych pochodzi z tradycyjnych źródeł, takich jak rejestry finansowe, karne i rządowe, a także z istniejących akt z urzędów stanu cywilnego oraz ze źródeł zewnętrznych, takich jak internetowe platformy kredytowe. Chiński rząd eksperymentuje również ze zbieraniem informacji za pośrednictwem nadzoru wideo i transmisji w czasie rzeczywistym, takich jak monitorowanie danych dotyczących emisji z fabryk.

WALKA Z PRZESTĘPCZOŚCIĄ I KORUPCJĄ

Propozycja zbudowania systemu kredytu społecznego wykraczającego poza sektor finansowy została formalnie wysunięta w 2011 r. i ogłoszona przez ówczesnego premiera Wena Jiabao. „Brak zdolności kredytowej w społeczeństwie wciąż stanowi problem. Pomimo zakazów nadal mają miejsce oszustwa handlowe, kopiowanie i sprzedawanie podrobionych towarów, składanie fałszywych raportów i fikcyjnych roszczeń oraz wykroczenia akademickie, co budzi powszechne niezadowolenie" – mówił Wen w oświadczeniu po posiedzeniu Rady Stanu w październiku 2011 r. Ówczesny premier zadeklarował, że stworzenie systemu kredytu społecznego zwiększy uczciwość, samodyscyplinę, wiarygodność i wzajemne zaufanie oraz wprowadzi kary dla osób, które oszukują. „System kredytu społecznego zapewnia moralną gwarancję reformy i rozwoju gospodarki, polityki, kultury i całego społeczeństwa" – dodał Wen.

Pod przywództwem obecnego prezydenta Xi Jinpinga Chiny rozważały potrzebę dalszej kontroli rynku poprzez wzmożony monitoring i nadzór. Rząd twierdzi, że mechanizm punktacji oparty na danych służy również jako narzędzie do oceny wiarygodności osób i firm. Według informacji opublikowanych przez Ludowy Bank Chin już w 2019 r. setki firm i samorządów zostały ocenione i napiętnowane za przestępstwa, takie jak niepłacenie wynagrodzenia pracownikom i wykonawcom w terminie lub nielegalne zbieranie funduszy.

Najbardziej kontrowersyjnym aspektem systemu kredytu społecznego dla osób fizycznych jest to, że śledzi on zachowania i podaje obywatelom ocenę wiarygodności na podstawie często niekompletnych lub niedokładnych danych. Istnieją również obawy dotyczące rzetelności zebranych informacji, ochrony danych i naruszenia prywatności z powodu słabych przepisów oraz nieegzekwowania prawa. Powstaje również pytanie, czy sankcje oparte na publicznym zniesławieniu mogą zwiększyć wiarygodność i zmniejszyć niespłacone zadłużenie, szczególnie wśród samorządów i firm państwowych, z których część mierzy się z długotrwałymi problemami finansowymi.

Chociaż w wymiarze publicznym z pewnością istnieje potrzeba zmniejszenia korupcji i ograniczenia nieuczciwych praktyk – zarówno dużych korporacji, jak i lokalnych samorządów – to system społecznego zaufania uderza przede wszystkim w wolność jednostki. Jeśli rodzice uzyskują wyniki poniżej pewnego progu, to ich dzieci zostają wykluczone z prywatnych szkół w regionie oraz z krajowych uniwersytetów. Obniżenie ratingu społecznego jest również związane z publicznym ostracyzmem. Zdjęcia osób z czarnej listy są czasami wyświetlane na dużych ekranach na budynkach i osiedlach lub pokazywane przed seansami filmowymi w kinach.

ZAMACH NA WOLNOŚĆ JEDNOSTKI

Największa czarna lista w Chinach jest zarządzana przez Najwyższy Sąd Ludowy, który prowadzi rejestr „lao lai" – osób i firm, które nie wypełniają nakazów sądowych. Dane z czarnej listy są publicznie dostępne i istnieje co najmniej tuzin aplikacji, które umożliwiają użytkownikom przeszukiwanie zbioru rejestrów sądowych. Jedna z nich to Lao lai Checker.

Rząd obniża social rating nie tylko dłużnikom czy przestępcom. Dobrym przykładem jest historia Xu Xiaodonga o pseudonimie Mad Dog, zawodnika walk MMA w Chinach. W 2002 r. zorganizował on w Pekinie pierwsze chińskie zawody MMA. Xu znany jest ze swojej szerokiej krytyki tradycyjnych sztuk walki, oskarżając ich mistrzów o hipokryzję i fałszerstwa. Wielu Chińczyków uważa, że mistrzowie kung-fu posiadają nadprzyrodzone moce, co oni sami publicznie potwierdzają. Metodą Xu jest wyzywanie ich na pojedynki i obnażanie oszustów. Ogólnoświatową sławę zyskał on w 2017 r., po pokonaniu mistrza tai-chi Wei Leia, co zostało uwiecznione na nagraniu dostępnym w Internecie. Podczas walki na gołe pięści w piwnicy w Chengdu Xu wygrał, nokautując przeciwnika w mniej niż 20 sekund.

Chińskie władze jednak nie są zadowolone z podważania tradycyjnych sztuk walki i odsłaniania ich słabości wobec nowoczesnych, w szczególności zachodnich technik. W efekcie social rating Xu został obniżony tak bardzo, że ma on trudności z dojazdem na kolejne walki, ponieważ nie może kupować biletów lotniczych ani korzystać z szybkich kolei. W efekcie Xu musiał się zacząć pojedynkować w charakterystycznym dla opery pekińskiej pełnym make-upie i posługując się pseudonimem.

Historia Xu jest jedną z wielu tysięcy: artystów, działaczy politycznych i społecznych, represjonowanych przy użyciu punktów za dobre sprawowanie. Ten sam mechanizm dotyka wyznawców Falun Gong, muzułmańskich Ujgurów czy coraz częściej publicznie manifestujących swoją wiarę chrześcijan.

Chińskie władze nie cofną się jednak przed rozwijaniem systemu zaufania społecznego i angażowaniem do tego celu nowoczesnych technologii. Wiele aplikacji, które umożliwiają codzienne funkcjonowanie w Chinach, wymusza podanie punktów społecznych, aby dokonywać za ich pomocą płatności. Z uwagi na to coraz więcej cudzoziemców również zostaje podłączonych do systemu oceny społecznej.

Xi Jinping deklaruje objęcie social ratingiem do końca 2021 r. wszystkich bez wyjątku mieszkańców Państwa Środka. Można jedynie zgadywać, w którą stronę będzie się ten system dalej rozwijał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

Joanna Bojańczyk

Bill i Melinda

Gdy się poznali, on wydał się jej trochę zbyt metodyczny w sprawach uczuć. Przed ślubem napisał sobie listę plusów i minusów małżeństwa. Związek Billa i Melindy Gatesów rozpadł się po 27 latach

Kiedy rozwodzą się zwykli ludzie, nie wydają oświadczenia dla prasy. Dowiadują się rodzina, przyjaciele, czasem nawet oni nie. Ale kiedy chodzi o kogoś takiego jak Bill Gates, jakiś powód trzeba rzucić na pożarcie opinii publicznej. Choćby tak mętny jak to: „Już nie wierzymy, że nasz związek może się rozwijać w następnych fazach życia”. Widać, że zamiast się rozwijać, związek państwa Gatesów się zwinął.

Wiadomo, że pieniądze szczęścia nie dają. Przynajmniej szczęścia małżeńskiego. Zresztą małżeństwo to taka niemodna, archaiczna instytucja. A mimo to związek Jeffa Bezosa i MacKenzie Bezos wytrzymał 25 lat, aż do 2019 r., kiedy nastąpiło rozstanie. Jeśli chodzi o podział majątku, to w grę wchodziły sumy dziesięciocyfrowe, nie jakieś drobne miliony. Teraz Bill i Melinda postanowili, że 27 lat bycia razem wystarczy. W tych dwóch przypadkach decyzję podjąć tym łatwiej, że telewizora nie trzeba przecinać na pół, mieszkaniowych kłopotów się nie przewiduje, a dzieci są dorosłe.

Ale gdy popatrzeć na sprawę inaczej, rozwód ludzi bogatych jest bardziej skomplikowany niż niebogatych. Wszak w grze są pieniądze. Harrisona Forda rozstanie z Melissą Mathison kosztowało 118 mln dol., reżyser „Titanica” James Cameron musiał zapłacić Lindzie Hamilton 50 mln. Guy Ritchie zarzekał się, że żadnych pieniędzy od Madonny nie weźmie, ale w końcu nie pogardził 92 mln… Pecunia non olet.

O sprawach finansowych się nie mówi, przynajmniej na razie. Chociaż byłoby o czym. Majątek Billa Gatesa, według rankingu Forbesa, oceniany jest na 124 mld dol. Jest on czwartym najbogatszym człowiekiem na świecie. Przed nim są tylko dwaj Amerykanie: Jeff Bezos i Elon Musk oraz Francuz Bernard Arnault. Mark Zuckerberg jest za nimi.

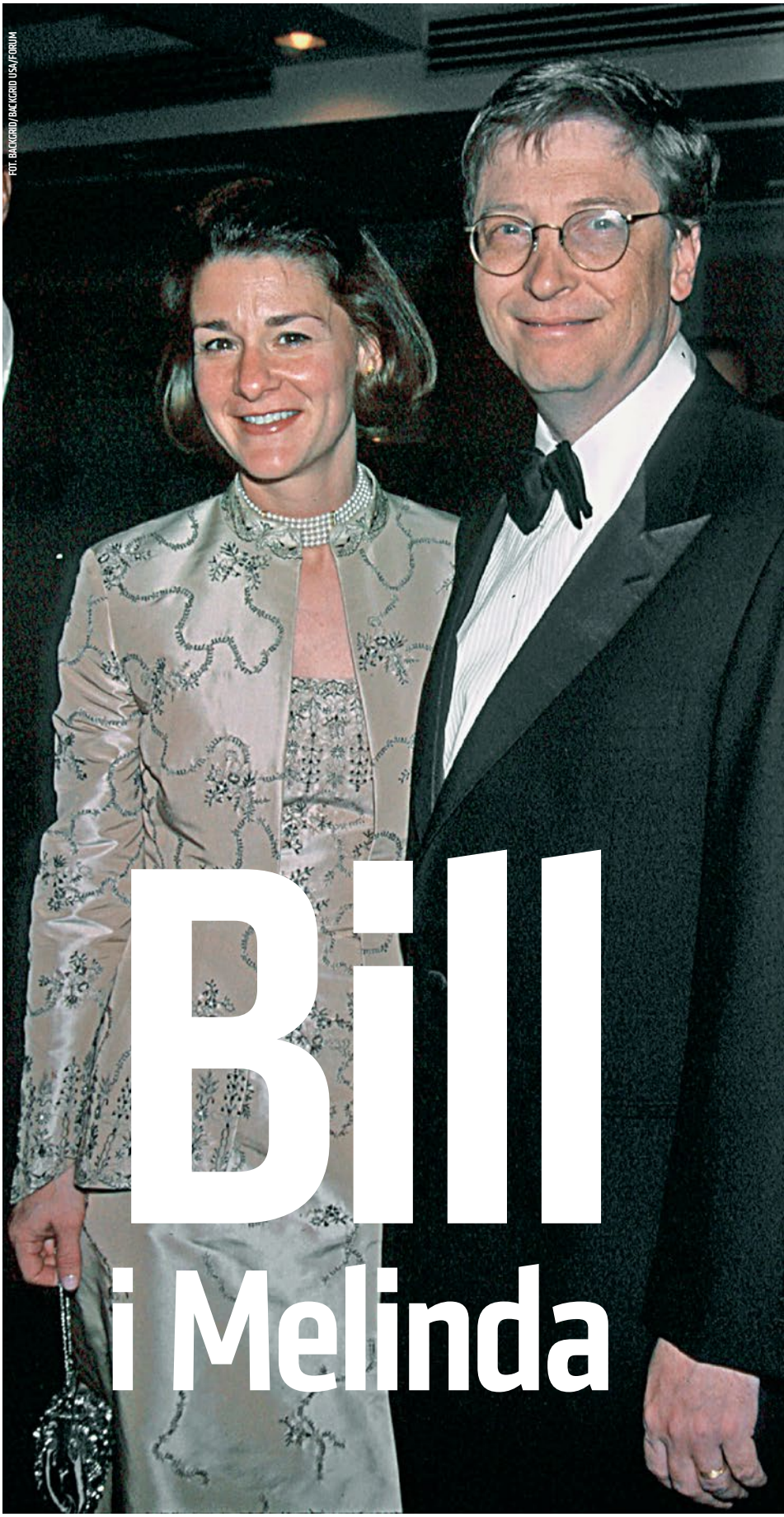

FOT. BACKGRID/BACKGRID USA/FORUM

eprasa.pl 254763f74e

Majątek Gatesa powstał dzięki Microsoftowi, firmie produkującej oprogramowanie. Jednak w roku 2014 założyciel firmy przestał być prezesem i teraz zajmuje się głównie działalnością charytatywną. Fundacja, którą stworzyli razem z żoną – Bill & Melinda Gates Foundation – jest największą prywatną fundacją na świecie. „Walczymy z biedą, chorobami i nierównością na świecie" – podaje jej strona internetowa. Fundacja zatrudnia 1,6 tys. osób, w ciągu 20 lat wydała 53 mld dol. na wsparcie firm farmaceutycznych. Organizacja zainwestowała 1,75 mld dol. na dofinansowanie programu upowszechniania szczepień. Problem globalnej pandemii Gates poruszył na konferencji TED w roku 2015. Obecnie postuluje stworzenie zespołu 3 tys. strażaków pandemicznych, rozsypanych po świecie, dostępnych w stałej gotowości.

Państwo Gatesowie mają troje dzieci. 25-letnią Jennifer, 21-letniego Rory'ego i 18-letnią Phoebe. Dzieci, podobnie jak ich ojciec, wychowały się w Seattle w stanie Waszyngton, na zachodnim wybrzeżu. Jennifer skończyła biologię na Uniwersytecie Stanforda, potem studiowała medycynę w Icahn School Medicine at Mount Sinai w Nowym Jorku. Obecnie poświęca się głównie jeździe konnej. W zeszłym roku się zaręczyła: wybrańcem jest Nayel Nassar.

Tylko najstarsza Jennifer zabrała głos, komentując wiadomość o rozwodzie rodziców. Na swoim koncie na Instagramie napisała, że nie będzie sprawy komentować i wyraża wdzięczność za uszanowanie prywatności rodziny. W tym wypadku opinia publiczna nie będzie miała jednak szansy usłyszeć o rodzinnych awanturach.

ON I ONA

Już w szkole podstawowej Bill Gates czytał encyklopedię, na teście SAT (Scholastic Aptitude Test) osiągał 1500 – jeden z najwyższych możliwych wyników. Jednak upodobania do systematycznego studiowania nie przejawiał. Liceum skończył w rodzinnym Seattle, ale na Harvardzie, gdzie poszedł za radą rodziców, wytrzymał tylko dwa lata, ku ich rozpaczy. Z kolegą, z którym łączyła go wspólna pasja do informatyki, założyli firmę w roku 1970. Bill miał wtedy 15 lat. Za kilka lat Microsoft stworzy system operacyjny dla komputerów IBM. W roku 1983 ich firma była już globalna, a 30 proc. komputerów na świecie używało jej oprogramowania.

Melinda też nie była byle kim. Wychowana w wykształconej, zamożnej rodzinie w Dallas, najlepsza uczennica w katolickim liceum, metodyczna, zorganizowana, też już w liceum interesowała się komputerami. Pierwsza praca jeszcze na studiach – uczyła matematyki i podstaw programowania w szkole. Zaraz po studiach informatyki na Duke University zaczęła pracę w Microsofcie.

To wtedy, w 1987 r., gdy była jeszcze Melindą Ann French, młodą pracownicą Microsoftu, na parkingu zaczepił ją kolega i zapytał, czy umówiłaby się z nim za dwa tygodnie. „To dla mnie zbyt mało spontaniczne. Może poproś o jakiś bliższy termin" – odpowiedziała. Bill Gates zadzwonił za dwie godziny. „Czy to już wystarczająco spontaniczne dla ciebie?" – spytał. I tym razem nie dostał czarnej polewki. Narzeczony wydał się Melindzie trochę zbyt metodyczny w sprawach uczuć. Pamięta, że napisał sobie listę plusów i minusów małżeństwa.

„Zależało nam na naszym związku i mieliśmy dwa wyjścia: zerwać albo wziąć ślub" – powiedział Bill Gates Netflixowi. Pobrali się w roku 1994 na wyspie Lanai na Hawajach. Jak podaje BBC, wynajęli wszystkie dostępne na miejscu helikoptery, żeby nie dopuścić latających nad wyspą paparazzich.

BYŁAM ZUCHWAŁA

Jakie było ich małżeństwo? W swoich wspomnieniach Melinda stawia sprawy jasno: „Oczywiście, że były konflikty. A w którym związku ich nie ma?".

Pierwszym wyzwaniem dla wojującej (przyszłej) feministki była dominująca męska kultura panująca w Microsofcie. „Byłam po prostu zuchwała, przekonująca i tak merytoryczna, a walczyłam do końca na każdym polu". Czy wtedy zaczęła ewoluować w stronę feminizmu?

Nie czuła się dobrze w środowisku zdominowanym przez mężczyzn. Myślała nawet, żeby z firmy odejść, choć miała w niej wysokie jak na kobietę stanowisko menedżera. Ale zgadała się z koleżanką z pracy, Charlotte Guyman, która myślała tak samo jak ona. „Kobietom nie wypada płakać w pracy. Ale czy facetom wypada wrzeszczeć?" – zastanawiały się obie. „Razem z innymi kobietami zaczęłyśmy tworzyć w naszej firmie takie miejsca, jakby oazy, gdzie uprzejmość nie była odbierana jako słabość. W ten sposób ucywilizowałyśmy naszą firmę".

„Jesteśmy równymi partnerami" – pisze Melinda o swoim związku z Billem we wspomnieniach »The Moment of Lift«. – Ale musiałam o to walczyć. I Bill czasem musiał ustępować".

Pokonanie męża w konkursie matematycznym okazało się argumentem w tym pojedynku.

Pani Gates opowiedziała dziennikowi „New York Times", jak jej mąż miał w roku 2014 napisać list do pracowników Microsoftu. Ona chciała, żeby list był również napisany i podpisany przez nią. On się nie zgadzał. „Prawie się pokłóciliśmy, ale w końcu doszło do kompromisu. Tak właśnie buduje się związek, nie tylko na romansie, ale na kompromisach" – skomentowała Melinda.

„Gdy kończyłam Duke University w roku 1987, wśród studentów informatyki było 35 proc. kobiet. Teraz jest ich 19 proc. W Stanach miejsca pracy są dla mężczyzn. Nie dla kobiet, zwłaszcza kobiet z dziećmi. Jesteśmy jedynym krajem, w którym nie ma płatnego urlopu macierzyńskiego. Posyłamy nasze córki na miejsca pracy stworzone dla naszych ojców".

BEZ SENSACJI

Życie prywatne „rich and famous" jest łatwym żerem dla brukowców i Internetu. Z państwa Gatesów te gazety nie mają jednak wiele pożytku. Sensacji i skandali brak. Ich życie składa się głównie z pracy, nie występów na czerwonych dywanach. Bill Gates sam odwoził dzieci do szkoły.

Mój mąż, Michał Bojańczyk, zwiedzając kilka lat temu zakłady Boeinga w Everett w stanie Waszyngton, widział, jak prezes Microsoftu wsiada do autokaru razem z innymi zwiedzającymi. Nie wynajął prywatnego przewodnika i prywatnej limuzyny. Zdaje się, że tego dnia obecność miliardera była dla turystów jeszcze większą atrakcją niż montażownia modelu Boeing 747...

Dziennikarze „New York Timesa" – David Gelles, Andrew Ross Sorkin i Nicholas Kulish – którzy przeprowadzili wiele wywiadów z Billem Gatesem i jego żoną, twierdzą, że nigdy nie udało im się ściągnąć wątku rozmowy na tematy osobiste. Gatesowie byli w tej sprawie nieprzejednani. Zresztą i teraz teksty o rozwodzie ukazują się w rubryce „Biznes". Nie ma w nich mowy o życiu prywatnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

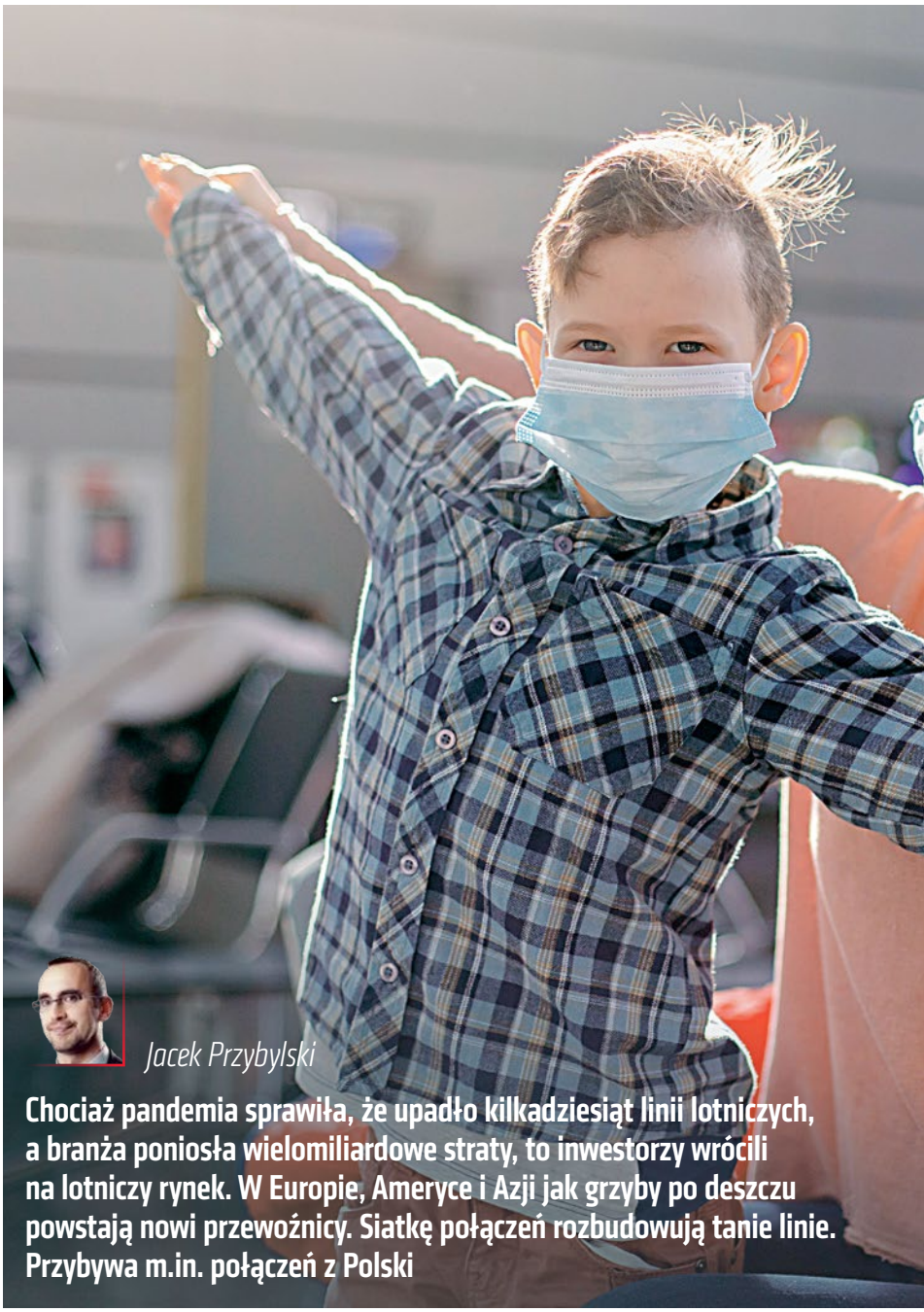

Jacek Przybylski

Chociaż pandemia sprawiła, że upadło kilkadziesiąt linii lotniczych, a branża poniosła wielomiliardowe straty, to inwestorzy wrócili na lotniczy rynek. W Europie, Ameryce i Azji jak grzyby po deszczu powstają nowi przewoźnicy. Siatkę połączeń rozbudowują tanie linie. Przybywa m.in. połączeń z Polski

Start po zyski na niebie

Kilkumiesięczne uziemienie samolotów. Surowe ograniczenia w ruchu lotniczym i wynikający ze strachu podróżujących globalny spadek popytu sprawiły, że przewoźnicy lotniczy z wielkim niepokojem patrzyli na przetaczające się przez wszystkie kontynenty kolejne fale koronawirusa.

Popyt na podniebne podróże spadł bowiem w sumie o ponad trzy czwarte, przez co rok 2020 stał się najczarniejszym w całej dotychczasowej historii światowego lotnictwa cywilnego. Pierwszą ofiarą koronawirusa była brytyjska linia Flybe, z rynku zniknęły też tanie linie lotnicze Germanwings, a także kilkadziesiąt innych z całego świata.

Wielu gigantów – takich jak Lufthansa, British Airways, Air France – co prawda przetrwało ten koszmarny okres, ale przez pandemię koronawirusa zwolniło dziesiątki tysięcy pracowników, sprzedało część majątku, musiało prosić o pożyczki rządy oraz zamienić swoje macierzyste lotniska w wielkie parkingi niepotrzebnych samolotów (ewentualnie przerabiać maszyny pasażerskie w taki sposób, aby dało się nimi przewozić większą ilość towarów).

NAJLEPSZY CZAS NA LATANIE?

Mimo że koronawirus na całym świecie wciąż zbiera śmiertelne żniwo, od kilku miesięcy przybywa chętnych do wejścia na rynek i podjęcia walki z siedzącymi po uszy w długach starymi gigantami.

Odważni inwestorzy, korzystając z ogromnych przecen na rynku, kupują tanie samoloty, ściągają z rynku pracy chwilowo bezrobotnych pilotów oraz członków personelu pokładowego i szykują się do podbicia podniebnego rynku.

Pod koniec kwietnia amerykański dziennik „The Wall Street Journal" poinformował zaś – powołując się na dane firmy leasingującej samoloty Avolon Holdings Ltd. – że w różnych częściach świata po zyski na niebie wystartuje w roku 2021 ponad 90 nowych linii lotniczych, z czego większość ma już zapewnione finansowanie. Niektóre nowe firmy chcą wskrzesić z martwych linie upadłe w ubiegłym roku. Inni przedsiębiorcy planują stworzenie zupełnie nowych marek.

Tradycyjni giganci nie zamierzają łatwo oddać nieba. Etihad Airways ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich jako

eprasa.pl 254763f74e

FOT. ADOBE STOCK

pierwsze zaszczepiły 100 proc. pilotów oraz członków personelu pokładowego. Personel po dwóch dawkach szczepionek mają już też takie linie jak Singapore Airlines czy Emirates. Niemiecka Lufthansa – zatrudniająca wciąż ponad 60 tys. osób – poinformowała w kwietniu, że zamierza na własną rękę jak najszybciej zaszczepić przeciw koronawirusowi swoich pracowników. Z kolei linie Qatar Airways zorganizowały na początku kwietnia trzygodzinny „lot donikąd" z w pełni zaszczepioną załogą i zaszczepionymi pasażerami, aby udowodnić bezpieczeństwo podróżowania samolotem w dobie szczepień. Linie lotnicze Delta Air Lines, aby poprawić jakość obsługi przyciągniętych po pandemii klientów, chcą zaś wyposażyć 19 tys. stewardów i stewardes w nowe iPhone'y 12s z pełnym dostępem do sieci 5G. Wszystko ma pięknie śmigać.

LOW-COSTY ZAMIAST LUKSUSÓW

Nowi inwestorzy stawiają głównie na klasę ekonomiczną, ponieważ spodziewają się, że w najbliższych miesiącach, a zwłaszcza latem, zdecydowanie będzie dominował popyt na loty typowo turystyczne. Ograniczenie popytu na podróże biznesowe sprawia, że linie takie jak Wizz Air czy Ryanair wyszły z pandemicznego kryzysu w lepszej kondycji niż wielu tradycyjnych gigantów.

Część analityków uważa również, że nowy model pracy zdalnej oraz hybrydowej może w korporacjach zakorzenić się na dłużej i trwale zmienić segment podróży biznesowych, a w związku z tym może odciąć tradycyjne linie lotnicze od ich głównego źródła dochodów, czyli klas pierwszej oraz biznes na trasach dalekiego zasięgu. Tymczasem z badań od lat wynikało, że im dłuższa podróż, tym większa była skłonność biznesmenów i bogatych turystów do dopłacania do lepszych klas podróży. Tradycyjne linie lotnicze, aby skłonić do zakupu biletów w drogiej klasie biznes lub jeszcze droższej klasie pierwszej, ograniczały również przed datą wylotu dostępność miejsc w niższych klasach taryfowych – jeżeli więc dany przedsiębiorca musiał wylecieć konkretnego dnia o konkretnej porze, to musiał po prostu zapłacić więcej.

Nowe lotnicze start-upy chcą więc wchodzić głównie na rynek tanich linii, czyli oferować tanie usługi dla masowego klienta. Z powodu ciasnoty na pokładzie, braku wliczonych w cenę napojów i choćby najdrobniejszych przekąsek oraz często nieuprzejmej obsługi klienta nazywane są one przez krytyków na portalach podróżniczych „bydłolotami". Tanie bilety napędzają jednak chętnych, a przewoźnikom pozwalają zarabiać krocie na opłatach dodatkowych.

Niewykluczone, że inwestorzy lokujący obecnie swój kapitał rzeczywiście mają rację, twierdząc, że to doskonały moment na rozpoczęcie tego typu biznesu. Turystów z całego świata zapraszają już bowiem do siebie kolejne zamknięte do niedawna kraje. – Rezerwujcie wakacje w Italii, nie możemy się was doczekać – apelował w ubiegłym tygodniu włoski premier Mario Draghi. – Świat chce podróżować do Italii, a Italia jest gotowa powitać świat – podkreślał polityk, zapowiadając, że włoskie miasta, plaże i góry w ciągu najbliższych majowych dni otworzą się już na gości. – Nie mam wątpliwości co do tego, że turystyka w naszym kraju rozkwitnie silniejsza niż wcześniej – przekonywał Draghi podczas szczytu G20. Władze w Rzymie zapowiadają wprowadzenie prostych reguł dla

eprasa.pl 254763f74e

wszystkich przybyszów. Wjazd ma być możliwy dla każdego, kto udowodni, że jest już zaszczepiony lub pokaże negatywny wynik testu na COVID-19.

Od 1 maja na ułatwienia wjazdu do kraju zdecydowała się też np. Chorwacja. Z obowiązkowej kwarantanny zwolnione są w tym kraju osoby co najmniej 14 dni po przyjęciu drugiej dawki szczepionki lub też wyleczone z COVID-19, które przyjęły choć jedną dawkę szczepionki. Ewentualnie na granicy można po prostu pokazać negatywny wynik szybkiego testu antygenowego. Do tych, którzy chcą podróżować, ale koronawirusa mimo to wciąż trochę się obawiają, Chorwacja skierowała nawet specjalną akcję reklamową, której główne hasło brzmi: „Chorwackie wyspy – strefy wolne od COVID-19". Do Chorwacji należy bowiem aż 78 wysp i 524 mniejszych wysepek, na których mieści się jedna trzecia chorwackiej bazy noclegowej. Od 15 maja – po sześciu miesiącach lockdownu – otwarta na turystów ma być również Grecja. Turyści, którzy zaszczepili się już dwoma dawkami przeciw COVID-19 lub którzy dysponują negatywnym wynikiem testu na koronawirusa, będą zwolnieni z obowiązku odbywania kwarantanny. Władze w Atenach promują również wyspy wolne od koronawirusa, na których zaszczepiono już wszystkich lokalnych mieszkańców.

NOWE TRASY Z POLSKI

Dominujący w Polsce tani przewoźnicy – według raportu Urzędu Lotnictwa Cywilnego w trzech pierwszych kwartałach 2020 r. najwięcej pasażerów spośród przewoźników lotniczych przewiozły linie Ryanair (ponad 3,4 mln), PLL LOT (3,2 mln) oraz Wizz Air (3 mln) – z optymizmem wyczekują już lata, a zwłaszcza ostatnich miesięcy obecnego roku.

Ryanair pod koniec kwietnia ogłosił więc uruchomienie kolejnych dwóch nowych tras z Polski – od 31 października na pokładach taniego irlandzkiego przewoźnika będzie można polecieć do Rygi z Modlina oraz z Krakowa. Jeszcze wcześniej Ryanair wprowadził do polskiej siatki połączeń m.in. loty na Korfu, Rodos i Sycylię. Od lipca 2021 r. turyści z Polski będą mogli polecieć z Krakowa na Korfu (dwa połączenia w tygodniu), z Modlina na Rodos (dwa połączenia w tygodniu), z Katowic do sycylijskiego Trapani (dwa połączenia w tygodniu) oraz z Wrocławia na Korfu (również dwa połączenia w tygodniu).

Zaletą koronakryzysu w branży jest to, że na niektórych trasach nawet na czerwiec można znaleźć jeszcze bardzo tanie bilety. Gdy zamykaliśmy to wydanie tygodnika „Do Rzeczy", za lot z Krakowa do włoskiego Rimini i z powrotem z bardzo niewielkim bagażem (40 x 20 x 25 cm) trzeba było zapłacić w sumie 80 zł, podróż z Gdańska do cypryjskiego Pafos kosztowała w obie strony 136 zł, a za lipcowy wypad z podwarszawskiego Modlina do chorwackiego Zadaru irlandzka linia lotnicza żądała łącznie 276 zł. To również oferta jedynie z bardzo małym bagażem – do większej walizki, możliwości rezerwacji miejsc czy pierwszeństwa wejścia na pokład trzeba już dopłacać.

Nowe połączenia z Polski ogłosiła również węgierska niskokosztowa linia lotnicza Wizz Air, która od czerwca uruchamia aż pięć nowych letnich tras z Polski do Grecji i Chorwacji.

Wizz Air od czerwca 2021 r. będzie dwa razy w tygodniu latał z Gdańska na greckie wyspy: w środy i niedziele na Kretę, a w poniedziałki i piątki na Santoryn. Dwa razy w tygodniu będzie można również wylecieć z Krakowa do chorwackiego Splitu (poniedziałek, piątek) oraz z Warszawy na lotniska: Saloniki (poniedziałek, piątek) i Preveza Aktion (środa, niedziela). Przed zamknięciem tego numeru „Do Rzeczy" bilet dla jednej osoby z Krakowa do Splitu i z powrotem jeszcze w czerwcu z bezpłatnym bagażem podręcznym (40 x 30 x 20 cm) kosztował łącznie 378 zł. Oczywiście i w tym przypadku po dodaniu walizki na kółkach oraz 20-kilogramowego bagażu rejestrowanego, możliwości wyboru miejsc i pierwszeństwa wejścia na pokład łączna cena rosła do 916 zł. To i tak nie jest jednak zła oferta jak na wakacyjne połączenie kupowane z niewielkim wyprzedzeniem. Zwłaszcza że wiele dobrych hoteli w Chorwacji nadal oferuje na czerwiec spore zniżki. Pokój dwuosobowy ze śniadaniem z powodzeniem można zarezerwować od ok. 200 zł za noc, a za 300 zł za noc można już spędzić wakacje w czterogwiazdkowym hotelu.

Również Polskie Linie Lotnicze LOT – które starają się skutecznie rywalizować zarówno z typowymi tanimi liniami, jak i z dużymi tradycyjnymi przewoźnikami – zwiększył niemal do 30 liczbę kierunków promowanych w ramach oferty „LOT na wakacje". Pod koniec kwietnia obecnego roku LOT ogłosił również, że od 19 września otwiera nową trasę z Warszawy do Dubaju. LOT na tej trasie będzie walczył o pasażerów zarówno z przewoźnikami czarterowymi, jak i z prestiżowymi liniami Emirates. Dubaj przed pandemią był jednak coraz modniejszym wśród Polaków kierunkiem zimowych eskapad, jest więc spora szansa na to, że popyt będzie wystarczająco wysoki, aby każdy przewoźnik latał z wystarczająco wysokim obłożeniem. W wakacje LOT-em polecimy również m.in. na Maltę, Cypr i Majorkę. LOT-em na Maltę z ośmiokilogramowym bagażem podręcznym nawet na przełomie maja i czerwca (z opcją darmowej zmiany rezerwacji) można polecieć za 1127 zł, a dokładając 23-kilogramowy bagaż rejestrowany – za 1278 zł. Już za 1033 zł na pokładzie narodowego przewoźnika Polski można za to polecieć w obie strony z bagażem rejestrowanym na przykład na słoneczne greckie Korfu.

Biuro podróży Itaka od 3 listopada rozszerza z kolei ofertę lotów wykonywanych dreamlinerem PLL LOT – największym szerokokadłubowym statkiem powietrznym naszego narodowego przewoźnika – na Malediwy. W opcji all-inclusive soft za ośmiodniowe wakacje na jednej z rajskich wysp trzeba zapłacić 6289 zł od osoby. 15 nowych wakacyjnych połączeń z Polski uruchomiły również czeskie linie lotnicze Smartwings. Wśród nowych kierunków pojawiły się m.in. Magala, Katania, Split, Barcelona, Burgas oraz Fuerteventura.

KILKA TRUDNYCH LAT

Według publikowanych jeszcze w zeszłym roku raportów Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych (IATA) eksperci spodziewali się, że najszybciej do poziomu wyników z roku 2019 powrócą po pandemii przewoźnicy z Europy oraz Azji i Pacyfiku, a dopiero później linie lotnicze z Ameryki Północnej oraz Łacińskiej. Nawet w przypadku Europy i Azji powrót do poziomu z roku 2019 ma zająć branży co najmniej trzy lata. Tempo powrotu do normalności zależy w dużej mierze od tempa szczepień przeciw COVID-19. Gdy wszyscy będą zaszczepieni, wreszcie możliwe będą też krótsze wypady do rodziny czy na weekendowe zwiedzanie miast. Najdłużej będzie trwał powrót do lotów biznesowych, ale na zmianie proporcji obsługiwanych segmentów ruchu mogą zyskać zwykli turyści.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

esprit

Wybierz opcję Maryi i ocal swoją duszę!

~~37,90 zł~~ **22,79 zł**

Współczesny świat jest przepełniony chaosem i strachem. Wokół nas trwa zaciekła wojna między dobrem a złem. W naszych sercach rodzą się pytania: Gdzie szukać ratunku? Kto wskaże nam drogę w czasach ciemności?

Odpowiedzią na tę dramatyczną potrzebę jest podjęcie opcji Maryi! Dzieje świata i Kościoła pokazują, że to właśnie Maryja ma największą siłę do zwyciężania wrogów, nawracania ludzi i odnawiania kultury.

ODBIERZ DODATKOWY RABAT

-5%*

PRZY ZAMÓWIENIU WPISZ HASŁO

DORZECZY

W ciągu wieków Maryja dowiodła, że naprawdę jest najpotężniejszą kobietą świata. Obojętnie, czy chodzi o ewangelizację, o wyniszczenie herezji czy o rozgromienie wrogów Kościoła, Maryja znajduje się w sercu każdego z tych działań.

fragment książki

Zamówienia telefoniczne: **12 264 37 09**, **12 395 70 72** (poniedziałek–piątek 8:00–16:30)
Przez internet: **www.esprit.com.pl**. Zamówienie na kwotę 99 zł lub więcej – przesyłka gratis.
* Kod rabatowy jest ważny do 20 maja 2021 r.

eprasa.pl 254763f74e

Podduszanie za pomocą euro

Jakub Wozinski

Źle zaprojektowana europejska unia walutowa sprawia, że największe niedogodności z powodu jej istnienia odczuwają kraje słabe. Skomplikowane relacje między Niemcami a Francją przekładają się na złe traktowanie reszty krajów strefy euro

Zazwyczaj sądzi się, że krytykami wspólnej waluty są przede wszystkim przedstawiciele środowisk prawicowych. Przykład byłego ministra finansów Grecji Janisa Warufakisa pokazuje jednak, że sporo gorzkich słów pod adresem obecnego kształtu funkcjonowania euro pada także z ust polityków reprezentujących zupełnie inny światopogląd. Warufakis sprawował swój urząd w kryzysowych miesiącach 2015 r. z ramienia lewicowej Syrizy i prowadził niezwykle burzliwe negocjacje z najważniejszymi europejskimi politykami i finansistami w sprawie restrukturyzacji greckiego długu. Swoimi refleksjami podzielił się później w kilku książkach (np. „Porozmawiajmy jak dorośli. Jak walczyłem z europejskimi elitami"), w których nie tylko przedstawił wiele interesujących faktów, lecz także pokusił się o diagnozę różnorakich „wad wrodzonych" wspólnej waluty.

Greckiego polityka trudno oczywiście uznać nawet za eurosceptyka, gdyż całym sercem jest oddany wizji unii walutowej i zjednoczonej Europy. Patriotyczny instynkt sprawił jednak, że w najbardziej gorącym okresie negocjacji z tzw. Trojką (czyli przedstawicielami Komisji Europejskiej, Europejskiego Banku Centralnego oraz Międzynarodowego Funduszu Walutowego) liczył się nawet z grexitem. Jego zdaniem Grecja została potraktowana instrumentalnie, a zastosowane wobec niej środki miały jedynie posłużyć jako próba zastraszenia Francji.

ZAKLĘTA OŚ

O obliczu Unii Europejskiej decyduje oś Berlin-Paryż. Bez względu na wszelkie pozory siłą dominującą w tym duecie są oczywiście Niemcy. Warufakis przekonał się co do tego w sytuacji, gdy ważyły się finansowe i walutowe losy całej Unii, a decydujący głos i tak posiadali zawsze Angela Merkel i jej ministrowie. Gdy Stany Zjednoczone tworzyły po wojnie nowy globalny ład monetarny na podstawie porozumień zawartych w Bretton Woods w 1944 r., Niemcom przypadło w udziale pełnienie bardzo istotnej funkcji. Jako kraj pragnący zrehabilitować się za wojenne grzechy Republika Federalna Niemiec stała się zwornikiem systemu opartego na hegemonii dolara na Starym Kontynencie, a Bundesbank i marka narzędziami dyscyplinującymi całą Europę.

Aby stało się to możliwe, Amerykanie wymogli w 1953 r. na konferencji w Londynie powszechną zgodę na redukcję niemieckiego zadłużenia względem pozostałych państw, w tym Grecji. Warufakis nie krył później irytacji, że to właśnie Niemcy najbardziej nie chciały zgodzić się na to, aby anulować część greckiego długu w 2015 r. USA przyzwoliły także na reindustrializację RFN, co przyczyniło się do tego, że nasz zachodni sąsiad zaczął błyskawicznie generować nadwyżki w bilansie handlowym. Zdaniem wyraźnie sympatyzującego z ekonomią keynesistowską Warufakisa taki stan rzeczy nie wywoływał żadnych większych problemów tak długo, jak za sprawą systemu z Bretton Woods funkcjonowały mechanizmy tzw. recyklingu nadwyżek. Jeśli tylko któraś z walut (głównie niemiecka marka) zanadto się umacniała, dany bank centralny miał za zadanie odpowiednio dostosować jej kurs.

Z biegiem czasu okazało się jednak, że pomimo działania tego mechanizmu niemiecka gospodarka i waluta stały się zwyczajnie zbyt silne, co wywoływało coraz większą frustrację Francuzów. Na dodatek w 1971 r. system z Bretton Woods uległ rozpadowi. Zrodziła się w ten sposób chęć, aby rozbroić Niemców z ich najpotężniejszej broni – czyli marki – za pomocą ścisłej unii gospodarczej. Jej zręby funkcjonowały już od czasów ustanowienia przemysłowego kartelu znanego jako Europejska Wspólnota Węgla i Stali. Ostatecznie w 1992 r. w Maastricht podpisany został „traktat wersalski bez wojny", przewidujący, że w 1999 r. wprowadzona zostanie waluta euro.

PODBÓJ BUNDESBANKU

„Podbój Bundesbanku bez jednego wystrzału" dokonał się dzięki swoistemu kompromisowi. Francja, która posiada lepszy sektor bankowy i sprawną służbę cywilną, wzięła pod swoje skrzydła unijne

eprasa.pl 254763f74e

FOT. ADOBE STOCK

urzędy w Brukseli i Strasburgu. Niemcy zaś dostały przestrzeń do ekspansji i zastrzegły sobie niepisane prawo do tego, aby przejąć kontrolę nad wydatkami publicznymi Francji i pozostałych państw. Zdaniem Warufakisa u samego zarania walutowej unii popełniono jednak wiele błędów, m.in. nie wypracowano mechanizmu zarządzania nadwyżkami i nie wprowadzono żadnych ograniczeń w przepływie kapitału.

Na efekty nie trzeba było długo czekać, gdyż już pod koniec 2009 r. wybuchł kryzys zadłużenia krajów strefy euro. Nadwyżki kapitałowe wypracowane przez bogate kraje zaczęły płynąć do krajów południa Europy, w których stopy procentowe były na dużo wyższym poziomie. Grecki ekonomista przyznaje szczerze, że jego ojczyzna nie potrafiła zachowywać odpowiedniej dyscypliny praktycznie od XIX w., gdy powstało nowożytne greckie państwo. Narzucone przez Trojkę środki oszczędnościowe okazały się jednak zbyt drastyczne.

Aby Grecja podniosła się z bolesnego upadku, należało jak najszybciej rozkręcić gospodarkę popytem konsumpcyjnym. KE, EBC i MFW żądały jednak niemożliwych do spełnienia warunków (określanych przez Warufakisa jako podduszanie) i kategorycznie odmawiały redukcji zadłużenia. Na dodatek cała uwaga została skupiona na ratowaniu niemieckich i francuskich banków. Warufakis twierdzi, że w czasie długich narad w brukselskich gabinetach sprawa Grecji ostatecznie schodziła na plan dalszy, gdyż prawdziwy punkt sporu dotyczył kontroli nad wydatkami publicznymi Francji.

Redukcja zadłużenia żyjącej przez lata ponad stan Grecji nie była oczywiście przez nikogo mile widziana, lecz w praktyce właśnie na to powinny były zdecydować się przewodzące całej Europie Niemcy. Greckie rozpasanie finansowały przecież głównie banki z Frankfurtu i Paryża. Winę zrzucono jednak jednostronnie na Greków. W warunkach premiującej niemiecką gospodarkę unii monetarnej należało zdecydować się na trudny gest solidarności, lecz Berlin chciał zamanifestować, że liczy się przede wszystkim specyficznie pojęta dyscyplina.

FRANCUZI W OBRONIE GRECJI

Dyscyplina jest oczywiście ważna, lecz bez jednego europejskiego rządu trudno utrzymać ją na takim samym poziomie w całej Unii. Nie dziwi więc to, że największym sojusznikiem w czasie półrocznej przygody Warufakisa na stanowisku ministra finansów byli Francuzi. Szczególne wsparcie okazał mu będący wówczas jeszcze tylko ministrem Emmanuel Macron, a rodzaj wolontariatu zaoferował paryski bank inwestycyjny Lazard. Wokół Greka zgromadziło się zresztą bardzo wiele wpływowych osób, m.in. dobrze znany w Polsce Jeffrey Sachs czy też senator Bernie Sanders. Warufakis był także w stałym kontakcie z George'em Sorosem.

Jako zdeklarowany marksista były minister finansów Grecji w konflikcie leżącym u podstaw strefy euro doszukuje się walki klas między finansową oligarchią oraz pracownikami zmuszanymi do ciągłych wyrzeczeń. Jego podstawowy zarzut wobec obecnego kształtu Unii Europejskiej jest taki, że przerodziła się ona we wspólnotę polityki oszczędnościowej, uderzającą najmocniej w klasę pracującą. Swoje tezy popiera w ostatnim czasie m.in. tym, że nawet w następstwie pandemii pomoc publiczna popłynęła głównie do świata finansów i korporacji. Warufakisowi marzy się zaś ścisła unia polityczna i tzw. europejska własność banków, czyli uwspólnienie systemu bankowego dla całej strefy euro. Szerzej rzecz ujmując, najbardziej chciałby zaś, aby światowe finanse zostały ujęte w karby nowego systemu z Bretton Woods (stąd właśnie tak gorące wsparcie, którego udzielili mu znani globaliści).

WALKA KLAS CZY WALKA NIEMIEC Z FRANCJĄ?

Przedstawione przez Warufakisa fakty zdają się jednak świadczyć bardziej o tym, że źródłem cierpień unii walutowej jest nie tyle walka klas, ile raczej złudne przekonanie, że samą unię walutową da się utrzymać bez daleko posuniętej finansowej solidarności. Dominujące w Unii Niemcy chcą wciąż dyscyplinować resztę kontynentu tak jak w czasach istnienia marki niemieckiej, lecz w warunkach istnienia euro dyscyplinowanie polityką wymuszonych cięć generuje wciąż kolejne konflikty. Unia walutowa miałaby trwałe podstawy, gdyby opierała się na konstrukcji europejskiego superpaństwa, które na poziomie centralnym decydowałoby o wydatkach publicznych i całej polityce gospodarczej. To zaś oznaczałoby likwidację suwerenności państw członkowskich.

Warufakis sugeruje, że Unia Europejska powinna przyjąć kształt federalnej unii politycznej. W praktyce tego rodzaju rozwiązanie funkcjonuje już dziś, a mimo to problem ze wspólną walutą wciąż się nasila. Szczególnie w czasach pandemii koronawirusa, gdy wydatki publiczne w całej Europie znów poszybowały mocno w górę. Jako Polacy możemy być naprawdę szczęśliwi, że zachowaliśmy własną walutę, gdyż w razie przynależności do strefy euro stalibyśmy się kolejnym zastępczym przedmiotem francusko-niemieckiego konfliktu. Warufakis relacjonuje, że na spotkaniach eurogrupy najbardziej potakujący Niemcom – w sposób uwłaczający wręcz własnej godności – są ponoć ministrowie finansów krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Europejska współpraca w zakresie walutowym prezentuje się atrakcyjnie jedynie na zdjęciach.

JANIS WARUFAKIS „POROZMAWIAJMY JAK DOROŚLI" WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ 2019

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wszyscy zdalnie? Naprawdę?

Nie ukrywam: jestem przeciwnikiem zdalnej pracy, a także zdalnej nauki i upatrywania w nich „szansy na lepsze jutro"; zdalną pracę, a także zdalną naukę uznaję za zło – czasami za zło konieczne, ale jednak, i to bezapelacyjnie, za zło. Przy czym – i to jest drugie zastrzeżenie – w żadnym razie nie uważam, że pracujący zdalnie lekce sobie ważą swe zawodowe obowiązki.

Jak nietrudno zauważyć, jeśli chodzi o pracę zdalną, to zazwyczaj, jeśli ktoś z nas jest z niej zadowolony, to dziwnym trafem przeważnie dotyczy to akurat tej pracy zdalnej, którą sam wykonuje. A nie dotyczy to pracy wykonywanej zdalnie przez tych, z którymi na kontakt jest się – w tej wyłącznie formie – skazanym. Nie dotyczy więc zdalnej pracy lekarzy, czyli osławionych teleporad, zdalnej pracy urzędników i nauczycieli czy zdalnej – w pewnym sensie – pracy listonoszy, którzy zamiast dostarczać nam listy polecone, wrzucają do skrzynek awiza i zmuszają nas do ganiania na pocztę. Itp., itd.

A zatem, jeśli czyjaś praca zdalna „ma sens", „sprawdza się", „ma przyszłość", to zazwyczaj jest to moja praca zdalna. I właśnie dlatego zastanawiam się, co by się stało, gdyby któregoś dnia – w jakiś cudowny sposób – koronawirus przestał atakować ludzi, a jeszcze lepiej – po prostu zniknął. (Abstrahując od kluczowego zagadnienia, na ile ów wymuszający zdalną pracę lockdown w ogóle jest skuteczny w walce z COVID-19). Ilu z nas w takim przypadku mimo wszystko – i to za żadne skarby świata – nie chciałoby wrócić do niezdalnej pracy? Czyli do – tak, tak, wypowiedzmy te słowa! – pracy stacjonarnej? A co najmniej rękami i nogami trzymałoby się zdalnego trybu, przekonując wszystkich wokół, że ich zdalna praca to przecież właśnie DLA NICH (tych przekonywanych) najlepsze rozwiązanie?

O tym, że broniących swego „prawa do zdalnej pracy" byłoby w takim przypadku, lekko licząc, bez liku, bez cienia wątpliwości dowodzą badania, z których wynika, że Polacy zatrudnieni w instytucjach publicznych aż dwa razy częściej świadczą pracę zdalnie od tych, którzy pracują w instytucjach niepublicznych, czyli prywatnych, czyli rynkowych, czyli tych, w których – w odróżnieniu od urzędników – muszą każdego dnia „na rynku" walczyć o swe pensje. A przecież nie są oni – statystycznie biorąc – ani dwa razy mniej od urzędników narażeni na zakażenie SARS-CoV-2, ani też nie ma wśród nich – statystycznie biorąc – dwa razy mniej osób, które tego zakażenia się nie boją.

Wnoszę z tego, że jeśli tylko można, jeśli tylko się daje, to niemało Polaków (i nie tylko Polaków) ucieka w pracę zdalną. I będzie uciekało, jak długo się da – z powodu strachu przed zakażeniem SARS-CoV-2 i/lub przekonania, że zdalnie są efektywniejsi. Bo przecież chyba nie z powodu finansowych kalkulacji? Ani tym bardziej – nigdy w to nie uwierzę! – ze zwykłej wygody? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie ma darmowych obiadów

Żeby wziąć z kimś wspólnie kredyt, trzeba mieć do tej osoby najwyższe zaufanie. Nawet podżyrowanie komuś pożyczki to decyzja ogromnie ryzykowna. Polska zrobiła właśnie jedno i drugie, godząc się na ratyfikację unijnego Funduszu Odbudowy.

Prawda o tych pieniądzach kryje się za kwiecistymi wystąpieniami przedstawicieli rządu, w tym pana premiera, którzy opowiadali o czekających nas wspaniałych czasach, impulsie rozwojowym i o tym, jak nam się polepszy. Pieniądze zawsze miło dostawać, ale jest jeszcze pytanie, jakim kosztem i na co.

Zaczynając od tej drugiej sprawy – jeśli ktoś sobie wyobraża, że na Unię spadnie deszcz z ponad 700 mld euro, za które odżyć będą mogły biznesy zniszczone przez pandemię, to grubo się rozczaruje. Fundusz służy temu tylko z nazwy. Przede wszystkim zaś posłuży realizacji celów, które na agendzie unijnej były od dawna i które z sytuacją popandemiczną nie mają wiele wspólnego. Wszystkie pieniądze są podporządkowane strategii zielonego ładu, mówiąc zatem obrazowo – restaurator, który stracił płynność finansową, nad którym wisi bank i który musiał zwolnić wszystkich swoich pracowników, na unijnej kasie skorzysta tyle, że będzie sobie mógł z dotacji założyć panele słoneczne na dachu. Na pewno bardzo mu to pomoże.

Główne obszary działania funduszu, którymi chwali się UE, to m.in. czyste technologie, budowa stacji ładowania autek na baterię, szerokopasmowy Internet, edukacja w dziedzinie umiejętności cyfrowych. Zatem opowiadanie, że te pieniądze pomogą biznesom zagrożonym przez pandemię, to zwykła ściema.

Gorzej, że podpisujemy też cyrograf, który zobowiązuje nas do szerokiego otwarcia naszej kasy na żądanie Komisji Europejskiej. Decyzja Rady UE nr 2020/2053 mówi całkiem wprost: jeśli kasy na spłaty z jakiegoś powodu przestanie wystarczać, to KE może zażądać od krajów członkowskich („jako środek ostateczny") zwiększenia wpływów. A jeżeli ktoś nie da rady płacić, to inni zapłacą za niego. Chodzi w sumie – przypomnę – o 360 mld euro. Mówiąc wprost: jeśli zawalą Grecy, to zapłacą Polacy. Czym tu się entuzjazmować? Doprawdy nie wiem.

Pozostaje pytanie, jak to się ma do ewentualnego opuszczania UE, którą to możliwość stworzył przecież traktat lizboński. Ale takimi drobiazgami się przecież nie będziemy zajmować.

Pamiętajmy o starej zasadzie: nie ma darmowych obiadów. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

Jak odbudować gospodarkę?

Piotr Hofman

Sejm przyjął ustawę zezwalającą na ratyfikację unijnego Funduszu Odbudowy. Do końca nie było wiadomo, czy uda się przegłosować ten dokument w niższej izbie parlamentu. Ostatecznie udało się i teraz piłka jest po stronie Senatu. Wiele wskazuje na to, że prędzej czy później ustawa ratyfikacyjna zostanie ostatecznie przyjęta.

Tematem od tygodni żyją polskie media, padają przy tym zawrotne sumy, jakie nasz kraj ma otrzymać z tego nowego unijnego narzędzia finansowego. Mowa jest o 60 mld euro, które mają być wypłacane przez kolejne lata. Do całej sprawy warto jednak podjeść na chłodno. Doświadczenia, także krajów należących do Unii Europejskiej, pokazują, że same pieniądze nie wystarczą, aby odnieść gospodarczy sukces. Tak, mogą pomóc. Ale pod kilkoma bardzo istotnymi warunkami.

Wiadomo, że każde państwo ma swoją specyfikę i swoje potrzeby. Tak jest także w przypadku Polski. Aby pościg za bogatym Zachodem był udany, musimy zbudować w naszym kraju fundamenty do rozwoju. W kilku tysiącach znaków trudno odnieść się szczegółowo do wszystkich wątków tego problemu, dlatego poruszę tylko kilka z nich.

Zacznijmy od systemu podatkowego. Polscy przedsiębiorcy chcą płacić podatki, to w zdecydowanej większości uczciwi ludzie, którym obce są zabawy z agresywną optymalizacją podatkową. Kłopotem są jednak dla nich pogmatwane regulacje, brak stabilności prawa i uznaniowość urzędników. To wszystko utrudnia rozwój i blokuje inwestycje.

Jeśli o inwestycjach mowa, to chodzi głównie o te prywatne. Państwo powinno wspierać firmy gotowe zwiększać nakłady na rozbudowę swojego potencjału. W ostatnich latach polityka fiskalna była skoncentrowana na stronie popytowej. Dzięki płynącym szerokim strumieniem transferom społecznym to właśnie popyt był motorem napędowym wzrostu gospodarczego nad Wisłą. Podobne wsparcie potrzebne jest także stronie podażowej. Chodzi bowiem o to, aby struktura PKB naszego kraju była dostosowana do długookresowych wyzwań rozwojowych. Sam popyt to za mało, aby wyjść z pułapki średniego dochodu i stać się konkurencyjną w skali europejskiej i globalnej gospodarką. Do tego potrzebne są nam innowacyjne i nastawione na wzrost firmy, które pokonywać będą kolejne etapy od małego podmiotu poprzez średni aż do dużego. To jest źródło wysokopłatnych miejsc pracy, o których przecież tyle się mówi. Trzeba zatem pomyśleć, jak tę drogę wesprzeć poprzez deregulację, jasne i łatwe w aplikacji prawo i system skutecznych ulg podatkowych wspierających inwestycje. Z tym niestety wciąż mamy problem, co pokazują dobitnie różne międzynarodowe rankingi.

Druga sprawa dotyczy tego, kto będzie głównym beneficjentem wydawanych środków. Czy będą to firmy polskie, z polskim kapitałem, które w naszym kraju płacą podatki i tu mają głęboko zapuszczone korzenie? Czy może znowu skorzysta głównie kapitał zagraniczny, przede wszystkim wielkie podmioty z zachodniej Europy? To sprawa o kluczowym znaczeniu. Musimy zacząć wydawać pieniądze mądrze i wspierać rodzimy biznes, tak jak robią to zamożne kraje Unii Europejskiej. W przeciwnym wypadku nie odniesiemy sukcesu bez względu na to, jakie fundusze zostaną nam przyznane.

I wreszcie last but not least: administracja publiczna. Powinna ona pełnić funkcję służebną. Urzędnicy mają bardzo dużą władzę, to od nich zależy, czy dana inwestycja dojdzie do skutku, a jeśli tak, to kiedy. Szybkie procedowanie spraw, merytoryczna i gotowa do pomocy kadra działająca w rozsądnych terminach, innymi słowy – profesjonalizm, jakiego przecież mamy prawo oczekiwać i oczekujemy od administracji. Tymczasem wciąż powszechne są uznaniowość i brak kompetencji połączone z przewlekłością. Tymi sprawami trzeba się zająć, jeśli mamy iść naprzód.

Wymienione przeze mnie kwestie powinny być przedmiotem poważnej dyskusji i liczę, że tak się stanie. Jeśli bowiem mamy odbudować naszą gospodarkę, to nie patrzmy tylko na pieniądze.

eprasa.pl 254763f74e

TEST „DO RZECZY": SYSTEM DO MONITORINGU TP-LINK VIGI

Profesjonalny wygląd, stosunkowo niska cena, zasilanie POE/12 V DC oraz dobra jakość nagrań – to największe zalety nowych kamer wchodzących w skład systemu do monitoringu TP-Link VIGI.

System został stworzony z myślą o osobach, które chcą lepiej chronić swój dobytek, czyli domy, mieszkania, rodzinne restauracje etc. VIGI może również służyć do monitoringu biur, parkingów czy magazynów. W skład systemu, który można dowolnie konfigurować, wchodzą m.in. ośmiokanałowy sieciowy rejestrator wideo VIGI NVR1008, a także dwa typy kamer: zewnętrzna VIGI C300P oraz wewnętrzna VIGI C400P.

Obie kamery wyglądają profesjonalnie i są banalnie proste w instalacji i konfiguracji. Zewnętrzna VIGI C300P to klasyczna kamera IP typu bullet o rozdzielczości 3 Mpix. Obraz jest więc wystarczająco bogaty w detale dla przeciętnego użytkownika, choć oczywiście do sklepu jubilerskiego czy kasyna przydałoby się coś o wyższej rozdzielczości.

Zaletami testowanej kamery zewnętrznej są też odporność na warunki atmosferyczne (dzięki zgodności z normą IP 67 może pracować nawet podczas największej ulewy w zakresie temperatur od –30 st. C do 60 st. C), możliwość zdalnego dostępu do nagrań za pomocą bezpłatnej aplikacji oraz umiejętność inteligentnego wykrywania potencjalnego zagrożenia i wysyłania powiadomień do użytkownika. Kamera może powiadomić o zagrożeniu, gdy wykryje ruch, gdy ktoś przekroczy granicę monitorowanej strefy lub gdy spróbuje zasłonić lub oślepić kamerę (alarm sabotażu). VIGI C300P nieźle spisuje się też w nocy i w warunkach słabego oświetlenia. Kamera samoczynnie przełącza się w tryb podczerwieni, a jakość oferowanego nocnego obrazu jest co najmniej przyzwoita.

Dużą zaletą jest także możliwość wyboru sposobu zasilania kamery: albo za pomocą zasilacza podłączonego do tradycyjnego gniazdka, albo za pomocą kabla ethernetowego (PoE). W ten sam sposób zasilać można też wewnętrzną kamerę kopułkową TP-Link VIGI C400P. Ona również nagrywa w rozdzielczości 3 Mpix i umożliwia obsługę za pomocą aplikacji. Obydwie kamery można podłączyć do rejestratora wideo i oglądać archiwalne nagrania (jak też obraz na żywo) za pomocą aplikacji na pecety VIGI Security Manager.

Wadą modelu C400P jest brak możliwości zdalnego obracania obiektywu, aby móc obejrzeć jak największy fragment monitorowanego obszaru. Można oczywiście obrócić kamerę ręcznie, ale gdy ktoś chce sprawdzić dokładnie, co się dzieje w domu, gdy jest akurat na zagranicznych wakacjach, C400P oferuje widok tylko z jednej perspektywy. Na szczęście producent w obu modelach przewidział dwa warianty: z obiektywem szerokokątnym 2,8 mm do małych pomieszczeń lub 4 mm do monitorowania większych przestrzeni. W obu modelach kamer brakuje także funkcji alarmu dźwiękowego i świetlnego, co jest o tyle dziwne, że obydwa rodzaje sygnałów potrafi wysyłać chociażby model Tapo C200, również produkowany przez chińską firmę TP-Link.

Poza tymi minusami obie kamery sprawują się jednak nieźle. Zaletą obu testowanych modeli jest ich stosunkowo niska cena. Za kamerę zewnętrzną VIGI C300P trzeba zapłacić nieco ponad 150 zł, a model do wnętrz TP-Link VIGI C400P można kupić już za niecałe 150 zł. Rejestrator VIGI NVR1008 kosztuje zaś ponad 250 zł. ©℗

Jacek Przybylski

ELEKTROWNIA W KAŻDYM DOMU?

Zróbcie ze swoich domów elektrownie – apeluje Elon Musk, ekscentryczny miliarder, wizjoner technologiczny i szef Tesli. Amerykańska firma opracowała nową wersję swojego banku energii o nazwie Powerwall+. Chodzi o baterię, która magazynuje energię wytworzoną przez panele fotowoltaiczne i w razie awarii zasilania sieciowego może stać się źródłem prądu dla domu jednorodzinnego. Pojemność akumulatora w ulepszonej wersji nadal wynosi 13,5 kWh, ale jego maksymalna moc wyjściowa wzrosła do 9,6 kW w porównaniu z 5 kW mocy ciągłej i 7 kW mocy szczytowej. Na polskiej stronie Tesli nie można jeszcze kupować domowego banku energii. Koszt jednego akumulatora Powerwall w Wielkiej Brytanii wynosi 8,7 tys. funtów, czyli równowartość 45,6 tys. zł.

ROBOTOPIES Z CHIN

Wprawdzie NYPD rozwiązała kontrakt z Boston Dynamics na dzierżawę psa robota – którego wprowadzenie do służby, zdaniem krytyków, miałoby elementy rasistowskie i umożliwiłoby policyjną inwigilację nowojorczyków – jednak Chińczycy mają już swoją wersję tego urządzenia. AlphaDog, opracowany przez firmę Nanjing, jest podobny do tradycyjnego psa, potrafi biegać z prędkością do 15 km/h, odzyskać równowagę po tym, jak ktoś go przewróci, a także za pomocą sensorów „słuchać" i „widzieć", co się dzieje w jego otoczeniu. AlphaDog może dostarczać paczki, przynosić jedzenie w restauracji czy zastąpić prawdziwego psa w rodzinie alergików. Cena wynosi 9,2 tys. zł. I mimo że nie jest to tanio, twórcy chińskiego robotopsa sprzedali już ponad 1,8 tys. egzemplarzy. ©℗

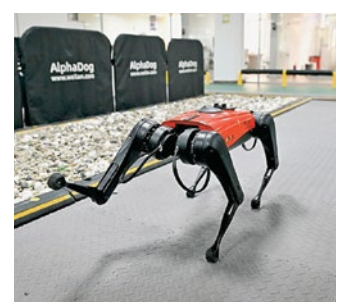

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 254763f74e

60 LAT

KGHM POLSKA MIEDŹ

Historia Polskiego Przemysłu

DODATEK PROMOCYJNY

Partner dodatku

KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 254763f74e

Miedź jest znana ludzkości od czasów starożytnych, ale historia tej „polskiej", wydobywanej masowo i na ogromną skalę w kraju nad Wisłą, jest trochę krótsza i sięga czasów współczesnych

Miedź to jeden z tych metali, który najpierw stał się kołem zamachowym cywilizacji tysiące lat temu, by później ustąpić miejsca żelazu czy stali w codziennym użyciu. Już w starożytnym Egipcie produkowano narzędzia i broń z miedzi, a później także z brązu (stop miedzi z cyną) czy mosiądzu (stop z cynkiem). Miedziane talerze, monety, ale też ozdoby, bo po ten metal chętnie sięgali też starożytni artyści, teraz są pokryte charakterystycznym, jasnozielonym kolorem patyny, znanym też z dachów starówek polskich miast. Setki lat temu miedź była już wykorzystywana na sposoby, które znają współcześni: jako pokrycie dachów, ale też do produkcji rur.

Z MIEDZIĄ PRZEZ STULECIA

Miedź jest też na swój sposób „europejska", ponieważ jej łacińska nazwa, czyli cuprum, pochodzi od miasta Cypr, bo to właśnie na tej wyspie wydobywano jej najwięcej w starożytności. Nadejście epoki żelaza, kolejnych odkryć człowieka, sprawiły, że łatwy w obróbce metal, bardzo „plastyczny", musiał zjechać na boczne tory historii na kilka stuleci. Miedź powróciła triumfalnie w wieku XX za sprawą postępującej elektryfikacji. Nie ma bowiem drugiego takiego metalu, który tak dobrze sprawdzałby się w elektrotechnice i całym przemyśle energetycznym. Owszem, złoto czy srebro też dobrze przewodzą prąd (srebro nawet lepiej), ale to szlachetne metale, których złoża nie są tak duże, a przez wieki ludzie znaleźli dla nich inne zastosowania i niewiele wskazuje na to, by zamierzali z nich rezygnować.

Rosnące zapotrzebowanie na miedź doprowadziło do tego, że pomijany metal trafił znów na salony i stał się surowcem strategicznym, o który zabiega każdy przemysł. Z roku na rok jej znaczenie rośnie, bo – tu spora wyliczanka – będziemy potrzebowali więcej przewodów, transformatorów, radiatorów, elektromagnesów itd. Bez miedzi tych wszystkich

eprasa.pl 254763f74e

Dzieje miedzi: od epoki brązu do epoki wiatraków

urządzeń by nie było. Kiedyś handlowano przedmiotami z miedzi czy brązu, a teraz miedź to jeden z surowców, który napędza światowe giełdy.

Mamy więc wiek XXI, a miedź ponownie staje się strategicznym metalem, o który zabiegają najwięksi gracze globu. Problem z nią jest natomiast jeden: jest na nią ogromne zapotrzebowanie, a globalne zasoby miedzi nie są wielkie. Wielkość światowych zasobów szacuje się na ok. 5 mld ton. Z kolei zasoby węgla kamiennego tylko w Polsce oceniane są na ponad 64 mld ton. Jednak branża uspokaja, że choć rośnie zainteresowanie miedzią, to ludzkości jej nie zabraknie. Przede wszystkim dlatego, że zużywamy jej ok. 28 mln ton rocznie, a aktualne rezerwy to 870 mln ton.

Jest jeszcze jedna rzecz, która może uspokajać w tej kwestii. W przypadku tego metalu mamy po prostu sporo szczęścia: „czerwony metal" to jeden z nielicznych surowców, który można cały czas, bez strat w jakości, recyklingować. Według wyliczeń nawet do 80 proc. miedzi, która jest obecnie w użyciu, pochodzi z recyklingu.

Zresztą to niejedyny szczęśliwy zbieg okoliczności z miedzią. Prowadząc wydobycie „czerwonego metalu", natrafia się na sporo srebra – te dwa metale często występują razem. Wydobywając miedź, można już więc liczyć zyski z wydobytego przy okazji srebra. To trochę rekompensata za żmudny proces pozyskiwania miedzi: z kilograma urobku zaledwie 1,5 proc., a więc ok. 15 gramów, to miedź. Dla kilograma miedzi trzeba więc wydobyć ponad 66 kg rudy. Nie jest to łatwe, bo po wydobyciu urobku trzeba od niego oddzielić interesującą nas miedź. Urobek jest przerabiany, przesiewany, mielony, odwadniany i następuje oddzielenie koncentratu miedzi, a także innych surowców (srebro czy złoto). Dopiero wtedy można mówić o uzyskaniu miedzi, obecnie nietaniej – w zwykłych skupach złomu cena kilograma surowca waha się od 23 do 28 zł.

MIEDZIOWY RENESANS

Miedź jak mało który surowiec można wielokrotnie recyklingować, ale to nie jest jedyny jej atut. Miedź, nawet niepokryta patyną, ma inny, zielony wymiar. Bez tego surowca nie moglibyśmy w tej chwili ruszyć z rozwojem odnawialnych źródeł energii. OZE bez miedzi po prostu nie funkcjonuje, a tam, gdzie stawia się na energię odnawialną, występuje jeszcze większe zapotrzebowanie na miedź, od 8 do nawet 12 razy wyższe.

Kalkulacje są dosyć proste: do produkcji turbiny wiatrowej o mocy 1 MW (megawata) potrzeba od 2,5 do 6 ton miedzi, a farma fotowoltaiczna o analogicznej mocy wymaga zużycia od 3,1 do 4,5 tony miedzi. Jeden megawat to już sporo, jednak warto porównać tę wartość do np. Elektrowni Bełchatów, która ma moc zainstalowaną wynoszącą 5472 MW. Jeśli chcielibyśmy zastąpić Bełchatów turbinami wiatrowymi, to potrzeba byłoby do tego od 13,7 tys. do ponad 32,8 tys. ton miedzi. Na tym nie koniec, ponieważ ten surowiec ma zastosowanie także w energetyce geotermalnej, wodnej i tej, która wykorzystuje biomasę do produkcji prądu – wszystkie są mile widziane w energetycznych miksach państw Zachodu.

Trochę nieoczekiwanie więc kopaliny, a więc rudy miedzi, ale też srebra, stały się niezwykle ważne dla światowej gospodarki (tak jak tysiące lat wcześniej). Teraz to one zastępują, i to dosyć szybko, przestarzałą ropę i węgiel. Zresztą europejskiego „Zielonego Ładu", czyli projektu zakładającego redukcję emisji gazów cieplarnianych przez państwa Unii Europejskiej, nie uda się zrealizować bez udziału miedzi. Szacunki mówią, że potrzeba nawet 22 mln ton tego metalu, by zaspokoić zapotrzebowanie UE na OZE.

To, jak kluczowym metalem dla gospodarek jest miedź, pokazuje status światowych producentów tego metalu na rynkach. Polska też ma czym się pochwalić, bo stosunkowo młody, zaledwie 60-letni KGHM (1 maja obchodził jubileusz), do tej światowej czołówki się zalicza.

CYPRYJSKI METAL W POLSCE

Miedź na terenach Polski występowała i była znana. Kilka lat temu podczas prac przy budowie S3 w okolicach Jawora natrafiono nawet na czekan wykonany z brązu jeszcze przed naszą erą (padały daty nawet ok. 1500 r. p.n.e.). Wywołało to zresztą małe zamieszanie, ponieważ sądzono, że na Dolnym Śląsku wydobycie miedzi zaczęło się w średniowieczu, a to odkrycie sprawiło, że zaczęto się zastanawiać, czy przypadkiem nie wydobywano jej wcześniej. Miedź kopano – o ironio! – w Złotoryi na Dolnym Śląsku (ale dopiero, gdy wyczerpały się złoża złota, od których pochodziła nazwa miasta).

Jednak to dopiero wiek XX przyniósł „miedziową rewolucję", a wszystko zaczęło się już po wojnie, w PRL. W 1957 r. dr Jan Wyżykowski z Państwowego Instytutu Geologicznego ruszył na tereny ówczesnego województwa legnickiego w poszukiwaniu złóż miedzi. Już wcześniej wydobywano tam ten surowiec, np. w kopalniach Konrad czy Lena, a na początku lat 50. władze podjęły decyzję o budowie huty.

eprasa.pl 254763f74e

Efekty prac Wyżykowskiego przekroczyły oczekiwania nawet największych optymistów. Krok po kroku, fragment po fragmencie, wówczas jeszcze bez tytułu doktora, geolog potwierdził, że w Polsce mamy największe w Europie (i jedno z największych na świecie) złóż miedzi Lubin-Sieroszowice.

Później sprawy potoczyły się szybko: najpierw powołano Zakłady Górnicze Lubin, ale 1 maja 1961 r. przekształcono je w Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi. Tak zaczęła się historia, która na dekady połączyła spółkę i region. Dawne województwo zaczęło – dosłownie – stać miedzią i na miedzi, z kopyta ruszyły prace nad budową kolejnych kopalni i ulepszaniem huty. Ledwo poprawiono hutę w Legnicy, a władze zdecydowały, że kolejna powinna powstać w położonym niedaleko Głogowie. Tak tworzyły się zręby czegoś, co teraz nazywa się Legnicko-Głogowskim Okręgiem Miedziowym, a odkrycie Wyżykowskiego zmieniło życie mieszkańców Sieroszowic, Lubina czy Polkowic.

Raczej rolniczy region dzięki jednemu inżynierowi zamienił się w Zagłębie Miedziowe (doczekało się to upamiętnienia w nazwie klubu piłkarskiego), a pod ziemiami dawnego województwa legnickiego zaczęły powstawać wielokilometrowe tunele, wypełnione taśmociągami, którymi podróżował urobek.

Z LUBINA DO CHILE

Zmiany, które przyniósł rok 1989 w Polsce, dotknęły też Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi – po dwóch latach od przełomu zakłady przekształcono w KGHM Polska Miedź SA. Już w wolnej Polsce spółka pozostała przy dotychczasowej działalności, tyle że upadek PRL, a potem akces do Unii Europejskiej przez Polskę otworzyły firmie zupełnie nowe rynki i możliwości.

W XXI w., gdy już efekt pierwszej miedziowej rewolucji trochę opadł, KGHM postawiło na rozwój, ale przede wszystkim poza krajem. Z państwowego giganta stało się globalnym graczem, operującym w Kanadzie, USA i Chile, w tym czasie inwestując w jeden z największych projektów wydobywczych na świecie, czyli w kopalnię miedzi Sierra Gorda w Chile. Lata temu głośno było o łupkach, których szukali Amerykanie w Polsce – KGHM poszło w drugą stronę, ale zamiast łupków postawiło na miedź, a konkretnie na kopalnię odkrywkową Robinson w Nevadzie. To cały konglomerat, bo poza kopalniami KGHM operuje hutami, a także zakładami recyklingowymi – wszystko kręci się wokół i dla miedzi.

Po drugiej dekadzie XXI w. można śmiało stwierdzić, że spółka jest nie tylko krajowym gigantem, lecz także światowym. Świadczą o tym liczby: KGHM jest drugim na świecie producentem srebra (wszystko dzięki szczęśliwemu mariażowi miedzi z tym metalem) i jednym z największych producentów miedzi. Czy to się opłaca? W 2020 r. zarówno srebro, jak i miedź notowały rekordowe ceny na rynkach, bijąc wyniki sprzed kilku lat. Korzystało na tym KGHM, które ogłosiło, że choć musiało się mierzyć ze skutkami pandemii koronawirusa, to rok ubiegły był dla spółki naprawdę dobry: EBITDA wzrosła o 27 proc. (do ponad 6,6 mld zł), choć produkcja nieznacznie spadła: o 9,6 tys. ton i 5,2 tys. ton miedzi płatnej.

Koleje rekordy cen miedzi, a także srebra, są tylko kwestią czasu, bo popyt na te surowce jest coraz większy, a nic nie wskazuje na to, by ktoś miał powtórzyć nagle wyczyn Wyżykowskiego i zwiększyć podaż „czerwonego metalu".

Autor: Igor Wolski

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 254763f74e

PRZYSZŁOŚĆ JEST
Z MIEDZI

www.kghm.com

KGHM POLSKA MIEDŹ

Wierzymy, że przyszłość jest z miedzi! Miedź jest trwała, odporna na rdzę, doskonale przewodzi ciepło i elektryczność. To surowiec niezbędny w fotowoltaice, energetyce wiatrowej, przemyśle motoryzacyjnym, medycynie oraz innych gałęziach nowoczesnego przemysłu.
KGHM to Odkrywca – Gigant – Wizjoner. Działalność wydobywczą i przetwórczą prowadzimy od 60 lat, będąc w niej globalnym liderem. Z pasją i wizją budujemy potęgę KGHM na całym świecie.

eprasa.pl 254763f74e

Przyszłość jest z miedzi

Dawniej – państwowy polski Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi, dziś – lider branży wydobywczej i hutniczej na światową skalę. KGHM obchodzi w tym roku jubileusz 60-lecia istnienia i... układa plany na kolejne dziesięciolecia

Początki budowania miedziowej potęgi Polski sięgają 1957 r., kiedy to Jan Wyżykowski wraz ze współpracownikami odkryli w okolicach Sieroszowic na głębokości 655–658 metrów złoża rudy miedzi. Już cztery lata później zaczęto od podstaw tworzyć Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi (KGHM), zalążek wielkiego ośrodka wydobywczego w Zagłębiu Miedziowym. Od tego momentu minęło 60 lat, w ciągu których spółka rozwinęła się na niespotykaną skalę. W 1991 r. Kombinat przekształcono w spółkę Skarbu Państwa – KGHM Polska Miedź SA. Dzisiaj Grupa KGHM to jeden z liderów innowacji w Polsce, który przeznacza nawet kilkadziesiąt milionów złotych rocznie na badania i rozwój. A nakłady te niebawem mają się potroić!

– Powstawały kolejne oddziały, wprowadzaliśmy innowacje w produkcji, planowaliśmy kolejne inwestycje. Teraz przed nami kolejne lata ciężkiej pracy. Nie jest łatwiej, ale wiemy, że przyszłość jest z miedzi – mówił Marcin Chludziński, prezes zarządu KGHM Polska Miedź SA.

Własnością spółki są również aktywa w Kanadzie, USA i Chile, gdzie KGHM jest współwłaścicielem kopalni Sierra Gorda. Bogate złoża w Europie, Ameryce Północnej i Ameryce Południowej gwarantują Polskiej Miedzi bezpieczeństwo surowcowe w globalnej gospodarce.

NIE TYLKO MIEDŹ

Surowcem strategicznym firmy jest miedź, na którą jest bardzo duże zapotrzebowanie w przemyśle. Stąd też najwięksi światowi producenci tego metalu to filary gospodarek, zarówno w skali krajowej, jak i globalnej. Tymczasem Polska jest jednym z najważniejszych na świecie krajów pod względem zasobności złóż miedziowych, a za sprawą KGHM – również wydobycia tego metalu. Spółka w ubiegłym roku wyprodukowała ok. 700 tys. ton miedzi, w dużej mierze dzięki aż 36-procentowemu wzrostowi produkcji i poprawie efektywności Sierra Gorda S.C.M. Spośród 15 największych producentów z branży wydobywczo-hutniczej tylko trzy firmy – w tym KGHM – zdołały podnieść produkcję w tym trudnym pandemicznym czasie!

Trzeba jednak podkreślić, że nie tylko miedź występuje w złożach, które są eksploatowane. Działalność KGHM przyczyniła się również do zdobycia przez Polskę statusu globalnego lidera pozyskiwania srebra. Aż 12 proc. przychodów Grupy pochodzi ze sprzedaży tego metalu. W 2020 r. Grupa wyprodukowała w sumie 1352 tony srebra. Sprzedaje metal w postaci gąsek, czyli sztabek, oraz granulatu.

Wśród innych metali produkowanych przez miedziowego giganta znajdują się: molibden, ołów, nikiel, ren, platyna, pallad, a także złoto. KGHM Polska Miedź jako jeden z największych wydobywców i producentów metali ma wpływ na popyt na metale na międzynarodowym rynku. A jak to wszystko przekłada się na wynik finansowy spółki?

Z podsumowania 2020 r., które zaprezentowała KGHM Polska Miedź SA, wynika, że miedziowy gigant wypracował rekordowy wynik operacyjny, przekraczający 6,6 mld zł (o 27 proc. więcej niż w poprzednim roku) oraz 1797 mln zł zysku netto.

eprasa.pl 254763f74e

– To efekt solidarnej pracy, szybkiego reagowania i zaufania – skomentował prezes zarządu KGHM. – Działamy odważnie, współpracujemy, zachowujemy zimną krew. Mamy to w górniczym DNA.

Nie udałoby się jednak osiągnąć celu, gdyby nie ludzie – największy kapitał firmy. Dlatego KGHM jako odpowiedzialny pracodawca dba o swoich pracowników, zapewniając im bezpieczeństwo (także finansowe) i higienę pracy.

LICZY SIĘ CZŁOWIEK

„Działamy – dbamy – chronimy" – to hasło Grupy. Jednym z największych sukcesów ostatnich kilkunastu miesięcy, zwłaszcza w obliczu pandemii, było utrzymanie miejsc pracy dla tysięcy pracowników, a także zapewnienie im bezpiecznych warunków do działania w reżimie sanitarnym.

KGHM Polska Miedź SA może się pochwalić rekordowo niskim wskaźnikiem wypadkowości LTIFR (Lost Time Injury Frequency Rate KGHM), który wynosi 7,3, co oznacza spadek o 29 proc. w porównaniu z 2019 r. i aż o 61 proc. w porównaniu z 2010 r.

Także KGHM INTERNATIONAL LTD. w 2020 r. odnotował najlepszy w historii wynik pod względem bezpieczeństwa i higieny pracy, mimo wyjątkowo trudnych warunków narzuconych przez pandemię.

W aktywną walkę z pandemią i jej konsekwencjami koncern włączył się m.in. na Dolnym Śląsku – w najbliższym otoczeniu pracowników. W lutym 2021 r. dzięki współpracy GK KGHM Polska Miedź SA z rządem powstało ponad 100 miejsc w szpitalu modułowym przy Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Legnicy. Specjalną placówkę stworzono też w Wałbrzychu. W Miedziowym Centrum Zdrowia w Lubinie należącym do KGHM również funkcjonuje oddział dla chorych na COVID-19. Spółka Nitroerg z Grupy Kapitałowej uruchomiła produkcję środków do dezynfekcji.

KGHM troszczy się o pracowników i ich rodziny w Zagłębiu Miedziowym. Akcje społeczne wspierające dzieci, rodziny i seniorów są konsekwentnie realizowane od lat, nawet w czasie pandemii. W ramach opieki nad najstarszymi KGHM przystąpił do programu Solidarnościowy Korpus Pomocy Seniorom. KGHM Polska Miedź SA angażuje się również w pieczę zastępczą. W 2021 r. zarząd Grupy przekazał ponad 40 tys. zł na rzecz dzieci pod opieką domów dziecka i rodzin zastępczych w 13 powiatach Zagłębia Miedziowego. Był to efekt badań ankietowych dla pracowników przeprowadzonych w firmie. Za każdy wypełniony formularz przekazane zostały datki na domy dziecka. Środki finansowe przeznaczono m.in. na rehabilitację, kursy i pomoce naukowe dla dzieci z domów dziecka i rodzin zastępczych. Grupa jest też inicjatorem akcji MiedźRodzinę – poszukiwania rodziców zastępczych dla najmłodszych mieszkańców Zagłębia Miedziowego.

W ZIELONĄ STRONĘ

Jak podkreśla Marcin Chludziński, obecnie KGHM to firma, która ma ogromny wpływ na polską i światową gospodarkę. Jej planowanie strategiczne bazuje na czterech filarach: elastyczności, efektywności, ekologii oraz e-mobilności.

Miedziowy gigant dba o jakość produkcji i środowisko naturalne. Systematycznie wprowadza program poprawy efektywności energetycznej i wdraża innowacyjne rozwiązania służące zmniejszaniu zużycia energii.

W spółce realizowane są projekty fotowoltaiczne i wizjonerskie plany związane z odnawialnymi źródłami energii. Na koniec 2020 r. 22,42 proc. ogólnego zużycia energii w KGHM pochodziło ze źródeł własnych, wliczając w to produkcję z bloków gazowo-parowych. A to dopiero początek! Do 2030 r. GK KGHM Polska Miedź SA planuje pozyskiwać 50 proc. energii elektrycznej z własnych źródeł, w tym energii odnawialnej.

W grudniu 2020 r. oddano do użytku farmę fotowoltaiczną w Legnicy o mocy 3 MW. To jedyna w Polsce elektrownia fotowoltaiczna funkcjonująca w oparciu o technologię 4.0. A już niedługo, bo w ciągu dwóch lat, planowane jest oddanie do użytku kolejnych elektrowni fotowoltaicznych o łącznej mocy ponad 10 MW. Farmy solarne będą zasilać Zakłady Górnicze Lubin oraz Hutę Miedzi Głogów. Uruchomienie elektrowni fotowoltaicznych w Zagłębiu Miedziowym pozwoli w skali roku uniknąć ponad 8 tys. ton emisji CO_2 i związków azotów, siarki oraz pyłów.

W 2020 r. w Hucie Miedzi Legnica ruszyła budowa Instalacji Oczyszczania Gazów Poprocesowych, która zmniejszy ładunek resztkowych zanieczyszczeń nawet o 99 proc. Obiekt wart 110 mln zł zostanie oddany do użytku jeszcze w tym roku.

Spółka rozwija flotę pojazdów elektrycznych, wspierających pracowników, którzy przemieszczają się między obiektami samochodami lub hulajnogami elektrycznymi. Najnowszym nabytkiem e-floty KGHM są elektryczne wózki widłowe, które będą wykorzystane przy linii ciągłego topnienia, odlewania i walcowania miedzi w Hucie Miedzi Cedynia. Do dyspozycji całej społeczności Zagłębia Grupa Kapitałowa KGHM oddała natomiast cztery punkty ładowania samochodów elektrycznych.

Na początku 2021 r. Grupa uruchomiła w Zagłębiu Miedziowym Mobilne Laboratorium Środowiskowe (MLŚ), które diagnozuje jakość powietrza, wód czy gleby. Analizy w specjalistycznym aucie zintegrowanym z dronami dokonywane są w kilka minut.

Ale to niejedyne cuda techniki, którymi może pochwalić się spółka.

JESZCZE WIĘCEJ INNOWACJI

Miedziany gigant wiedzie prym wśród polskich innowatorów. Dzięki zaangażowaniu pracowników sięga po nowe technologie, opracowuje nowe rozwiązania wydobywcze, produkuje i tworzy własne urządzenia oraz maszyny do obsługi kopalń i hut. W firmie powstają również projekty związane z zastosowaniem w KGHM uczenia maszynowego oraz sztucznej inteligencji.

W ramach jubileuszu KGHM uruchomi program Dolina Miedziowa, którego celem będzie wsparcie rozwoju innowacji w spółce. Firma będzie rozwijać współpracę z polskimi naukowcami i wynalazcami. Już udało się rozpocząć projekt dotyczący przygotowania dla pracowników KGHM inteligentnego kasku. Urządzenie ma wzmocnić bezpieczeństwo załogi.

Do 2023 r. Grupa chce zwiększyć budżet na innowacje i projekty badawcze, przeznaczając na nie ok. 1 proc. rocznego przychodu spółki. To blisko 200 mld zł!

– Technologie zielone w energetyce i transporcie czy coraz większy rozwój technologii cyfrowych – to wszystko powoduje, że potrzeba więcej miedzi. My musimy odpowiadać na te potrzeby, produkując coraz więcej i jak najtaniej – wskazał prezes miedziowej spółki.

Autor: Anna Wójcik

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 254763f74e

Biznes na ratunek

Radosław Wojtas

Luksusowy hotel dla zamożnych klientów, elegancka restauracja, agroturystyka z duszą, prestiżowa prywatna klinika... Zabytki sprawdzają się w biznesie, a biznes bywa dla nich ostatnią deską ratunku. Polskie przepisy nie zachęcają jednak firm do ratowania tego, co przez tłumaczące się brakami budżetowymi samorządy może nigdy nie zostać uratowane

Kiedy przed siedmioma laty rodziła się Inicjatywa Obywatelska „Ratujmy Gurewicza", przyszłość jednego z największych w Polsce drewnianych budynków malowała się w ciemnych barwach. Dawny otwocki pensjonat Gurewicza był w położeniu podobnym do tego, które nie było wtedy – i nie jest niestety także dziś – rzadkością, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach i na prowincji: zabytkowy obiekt znajdujący się pod „opieką" samorządu stoi opuszczony, „zabezpieczony" deskami zaślepiającymi otwory drzwiowe i okienne. Popada w ruinę, czekając na fundusze i pomysł na zagospodarowanie albo na inwestora, który byłby gotowy wyłożyć środki na zakup i przywrócenie zabytkowi świetności.

O tym, że najbardziej prawdopodobny jest jeszcze inny scenariusz, wiedzieli otwoccy społecznicy, którzy przestrzegali przed nim w liście otwartym do ówczesnego wojewody mazowieckiego: „Wiele otwockich »świdermajerów« [świdermajer, czyli styl nadświdrzański, określa drewnianą architekturę letniskową z XIX i XX w. powstającą na południowy wschód od Warszawy – przyp. red.] zostało rozebranych ze względu na zły stan techniczny. Wiele spłonęło w niewyjaśnionych okolicznościach. Wiele ze starości i z zaniedbania chyli się ku ziemi i wkrótce zapewne czeka je podobny los. Nie chcemy, aby to samo stało się z pensjonatem Gurewicza. Ciągle jest czas, aby zapobiec jego powolnemu popadaniu w całkowitą ruinę".

ŚWIDERMAJER NA NOWO

Opuszczony od 1994 r., odzyskany przez Skarb Państwa i administrowany przez miejscowe starostwo od 2007 r., świdermajer był jednym z poważniejszych zmartwień samorządowców. Budynek zbyt cenny i ważny dla mieszkańców, by nic z nim nie robić, ale jednocześnie w zbyt opłakanym stanie, by myśleć o jego remoncie. „W Otwocku rzadko zdarza się coś, co jednocześnie porusza i łączy tak wielu ludzi. Jesteśmy gotowi zrobić naprawdę wiele, aby dawny pensjonat Gurewicza znów służył mieszkańcom Otwocka (i nie tylko Otwocka). Nie chcemy na jego terenie nowoczesnego osiedla, nie chcemy też patrzeć, jak ulega stopniowemu zniszczeniu. Chcemy, by na nowo stał się dumą naszego miasta i miejscem dostępnym dla wszystkich" – pisali o nim społecznicy.

Próba sprzedaży niestety nie od razu się powiodła. Ostatecznie jednak ten budowany etapami w latach 1906–1921,

Cukrownia Żnin po bezskutecznych próbach sprzedaży przygotowywana była do wyburzenia, a teren do podzielenia na mniejsze działki... FOT. CUKROWNIA ŻNIN

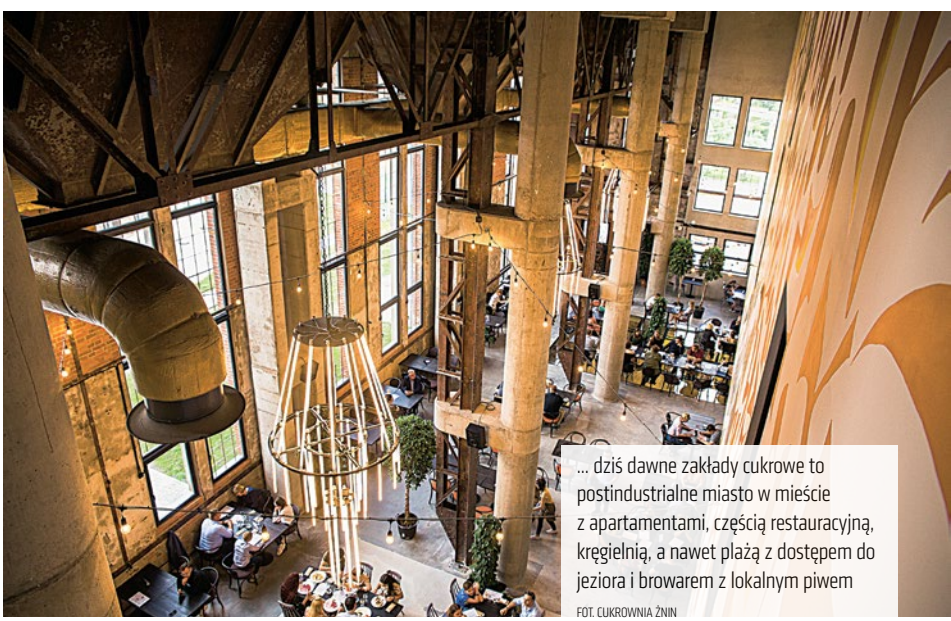

... dziś dawne zakłady cukrowe to postindustrialne miasto w mieście z apartamentami, częścią restauracyjną, kręgielnią, a nawet plażą z dostępem do jeziora i browarem z lokalnym piwem FOT. CUKROWNIA ŻNIN

eprasa.pl 254763f74e

otoczony parkiem, liczący 2700 mkw. (20 tys. m sześc. kubatury) świdermajer wraz z prawie dwuhektarową działką znalazł nabywcę. Spółka zajmująca się sprzedażą samochodów zapłaciła za nieruchomość blisko 1,5 mln zł. „Ten budynek był jak pies wyrzucony z domu i przywiązany drutem kolczastym do drzewa. Jeszcze chwila i skończyłby żywot. Miał jednak szczęście, dobrze trafił" – mówił w jednym z wywiadów o stanie nieruchomości jeden z jego nowych współwłaścicieli.

Dokładna inwentaryzacja potwierdziła tę wstępną diagnozę, a w ramach prac modernizacyjnych wiele elementów trzeba było wykonać od nowa. „Udało się odrestaurować w 100 proc. dwie zdobione werandy oraz całą południową ścianę od strony parku. Odtworzyliśmy konstrukcję sumikowo-łątkową z oryginalnych elementów, jak też drewnianą elewację z odrestaurowanych desek. Z wnętrz starego sanatorium Gurewicza po dokonanej renowacji wykorzystamy ponownie: siedem pieców kaflowych, 26 par drzwi wewnętrznych, żeliwne balustrady schodów na jednej z klatek schodowych" – mówił „GW" jeden z nowych współwłaścicieli zabytku. W dawnym uzdrowisku mieszczą się dziś nowoczesna klinika ortopedyczna oraz ogólnodostępna restauracja i kawiarnia.

KOLEKCJA ZABYTKÓW

W opłakanym stanie był pałac w Łochowie, pierwszy zabytkowy budynek zakupiony przez Władysława Grochowskiego. – Widok był przygnębiający. Budynek był w fatalnej kondycji, a otoczenie takie, że strach było się tam samemu pokazywać, bo wokół zabytku zbierało się nieciekawe towarzystwo. Gmina nie kwapiła się zbytnio, żeby promować ten obiekt, szukać inwestora – mówi „Do Rzeczy".

Władysław Grochowski jeszcze jako student z błyskiem w oku spoglądał w kierunku zabytkowych obiektów, które wymagały ratunku. Na poważnie mógł o nich myśleć, kiedy założona przez niego spółka Arche, działająca w branży deweloperskiej i hotelowej, wyrosła na poważnego gracza. Na XIX-wieczny zespół pałacowo-parkowy w Łochowie trafił przypadkiem. Prezes Arche wybrał początkowo inny zabytek, który chciał zrewitalizować i zamienić na hotel, ale do zakupu nie doszło. Łochów był „nagrodą pocieszenia", którą pokazał mu konserwator zabytków. – Mam szczęście do budynków, których nikt inny nie chce. Tak było z Łochowem, o którym wcześniej nie myślałem, ale gdy tylko go zobaczyłem, poczułem, że muszę zrewitalizować to miejsce. Tak było z następnymi inwestycjami. To nie ja szukam kolejnych zabytków do kolekcji Arche, to one szukają mnie – uśmiecha się Grochowski.

Opuszczonymi koszarami wojskowymi w Górze Kalwarii Grochowski zainteresował się, bo mijał je każdego dnia w drodze do pracy. – Było mi żal tego obiektu – mówi. Kupił więc wybudowane w XIX w. z ceramicznej cegły koszarowce i zamienił na hotel. Jedną z największych inwestycji Arche w segmencie zabytków była metamorfoza Cukrowni Żnin. Po opuszczeniu przez przemysł, który funkcjonował tu od 1894 do 2004 r., budynki próbowano sprzedać, ale przez lata, mimo obniżania ceny, chętnych brakowało. W 2015 r. ponad 34-hektarowy teren z kompleksem industrialnych budynków kupiła Arche. Dzisiaj Cukrownia Żnin to kompleks łączący funkcje hotelowe, konferencyjne, restauracyjne i rekreacyjne.

W hotele Arche przekształciło także Dwór Uphagena w Gdańsku, fabrykę papierosów w Łodzi czy zamek biskupi w Janowie Podlaskim (dwie ostatnie nieruchomości po „przygodach" z pożarami). W planach są m.in. fabryka samolotów w Mielnie, sanatorium policyjne w Nałęczowie, garnizon w Białymstoku czy klasztor we Wrocławiu. – Podstawową funkcją rewitalizowanych przez nas zabytków jest oczywiście funkcja hotelowa i konferencyjna, ale nie zamykamy się na lokalną społeczność. Organizujemy wydarzenia kulturalne, dni otwarte, festyny, wchodzimy w lokalność – mówi Władysław Grochowski. – Zajmowanie się zabytkami to nie jest działalność czysto biznesowa, tu liczy się coś więcej niż potencjalny zysk. To zajęcie dla pasjonatów – dodaje.

Takich jak nowa właścicielka dworu w Rolach na Pojezierzu Bytowskim. – Szukałam niedużego domu w okolicach Bydgoszczy. A wylądowałam 170 km dalej, pod Słupskiem, w ogromnym dworze z hektarami. Nie przejęłam się tym, że miał 1200 mkw., świecił gigantyczną dziurą w dachu, że w salonie rosło spore drzewo, a piwnice były zawilgocone – opowiadała portalowi weranda.pl. Dwór, w którym kiedyś funkcjonowała szkoła, a który dekadę stał opustoszały, wymagał gruntownego remontu. Ponad 70 proc. więźby dachowej było zmurszałe, z podłogi uratowano jedynie kilka desek, stropy trzeba było wymieniać, skuć trzeba było wszystkie tynki, ale inwestycja została doprowadzona do końca i dziś dwór z XIX w. jest oazą dla osób szukających spokojnej agroturystyki.

ŻMUDNE PROCEDURY

Jednak romantyczny zapał bywa czasem początkiem kłopotów. – Łatwo się zakochać, kupić zabytek stosunkowo tanio, ale później przychodzi twarde zderzenie z rzeczywistością. Remont takiego obiektu jest dużo trudniejszy i znacznie droższy, niż można na początku zakładać. Do tego dochodzą trudne i nieprzyjazne procedury. Często mijają lata, inwestycja się nie zaczyna, a miłość się kończy. Później przychodzi jakaś katastrofa, zawala się dach albo wybucha pożar, budynek zostaje wykreślony z rejestru zabytków, a działka się zwalnia. To nie są rzadkie sytuacje. Polskie państwo jest bezradne wobec inwestorów, którzy kupują zabytki, czekają, aż problem sam się „rozwiąże", a działka będzie wolna – mówi Władysław Grochowski.

Dodaje, że często sprawy administracyjne bywają najtrudniejszym etapem inwestycji, trudniejszym nawet niż znalezienie finansowania czy same prace remontowe. – Dlatego inwestorzy liczą na skrócenie procedur, które są uciążliwe zwłaszcza teraz, gdy pandemia utrudniła dostęp do wielu urzędów. Kolejną kwestią zniechęcającą do zajmowania się zabytkami jest sprawa podatku od nieruchomości. Jeśli budynek jest indywidualnie wpisany do rejestru zabytków, to inwestor musi płacić podatek już od momentu rozpoczęcia prac remontowych, bo traktowane jest to jako prace przygotowawcze do prowadzenia działalności gospodarczej. Przecież jeśli nie znajdzie się inwestor, to państwo i tak tego podatku nie dostanie, a zabytek ulegnie zniszczeniu – mówi Grochowski.

I dodaje, że po zainwestowaniu w zabytki już ok. 1 mld zł jest dziś adresatem listów i od inwestorów, którzy przeliczyli swoje możliwości, i od regionalistów, którzy często w dramatycznym tonie piszą o potrzebie ratowania kolejnych zabytków. – Wspaniałych dworków, pałaców i innych zabytków, które niebawem nieodwracalnie popadną w ruinę, jest dużo, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach. Dobrze by było, gdyby przybywało pasjonatów, którzy zechcą je ratować. Mogłoby ich być więcej, gdyby państwo polskie chciało im to ułatwić – mówi Grochowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 254763f74e

RYS. PEGAZ

Z Jarosławem W. Laseckim, przedsiębiorcą, byłym senatorem, który z prywatnej kieszeni odbudował zamek Bobolice
rozmawia Łukasz Zboralski

Uratowałem zamek królewski

ŁUKASZ ZBORALSKI: Szlak Orlich Gniazd w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej znaczą ruiny zamków granicznych zbudowanych przez Kazimierza Wielkiego. Jeden – zamek Bobolice – powstał z ruin, bo pan go odbudował. Jak pan wpadł na taki pomysł?

JAROSŁAW W. LASECKI: Jak często w życiu bywa, przypadki narzucają jego bieg. Przed laty ówczesny konserwator zabytków i wiceminister kultury Aleksander Broda przypadkiem zainspirował nas, abyśmy ten zamek uratowali. Odwiedzając nas kiedyś w naszym dworze na wsi, opowiedział mrożącą krew w żyłach historię, jak chłop gonił go z siekierą właśnie po zamku Bobolice, krzycząc, że to jego własność! I rzeczywiście, jego pradziadek podczas parcelacji gruntów przez cara w 1870 r. dostał skrawek ziemi, a na nim ruiny zamku. Komuna nie zabrała tego skrawka ziemi i po jej upadku ruiny nadal były prywatne. Kupiliśmy je, chcąc ocalić to, co zostało, przed dalszą degradacją. Po wielu latach badań naukowych, w których brali udział i doradzali nam najlepsi polscy profesorowie oraz naukowcy, okazało się, że jedynym sposobem uratowania zamku jest jego rekonstrukcja. Bo nie ma trwałych ruin, są tylko ruiny postępujące. Stąd pierwsza w Polsce po upadku komuny rewitalizacja średniowiecznego zamku. I chyba druga w ogóle, jeśli chodzi o kazimierzowskie zamki. Pierwszym był zamek w Będzinie, zrewitalizowany bodaj w 1834 r. przez Edwarda Raczyńskiego. Ale zamek Bobolice jest piękniejszy i wierniej zrekonstruowany!

Kiedy zwiedzałem ten zamek, uwagę przykuła widoczna tabliczka. Dlaczego wyraźnie podkreśla pan, że obiekt nie został odbudowany przy użyciu pieniędzy z UE czy rządowych?

A został? Przecież nie! Już miałem dosyć pytań, teorii spiskowych i pisania kompletnych bzdur w social mediach o wielkich pieniądzach, które niby zamek Bobolice otrzymał, a które nijak mają się do rzeczywistości. Dostaliśmy zero! W kraju, w którym tyle mówi się o polityce historycznej, o wspieraniu opieki nad zabytkami, o dobrach narodowych, o odbudowie kazimierzowskich zamków, na średniowieczny zamek Kazimierza Wielkiego nie było ani złotówki. A poza tym, czy ta tabliczka nie jest sexy?

Ta tabliczka jest pewnie i z innych powodów. Zakładam, że rekonstrukcja zamku to była droga przez mękę.

Żartuję, że największym problemem było… niebo. W procesie rewitalizacji najczęściej bowiem od urzędników słyszeliśmy: „Nie, bo..." to czy tamto. To „Nie, bo…" będzie prześladować mnie pewnie do końca życia. Jest też jednak inspiracją do walki.

Kazimierz Wielki zbudował zamek w dwa lata. Nam rekonstrukcja zajęła kilkanaście. I kiedyś podczas oprowadzania grupy turystów po zamku jeden z nich zapytał mnie: „A wie pan, dlaczego tylko dwa lata? Bo król nie miał urzędników!". Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym tak to uogólnił. Podczas tylu lat rekonstrukcji zamku Bobolice udało się nam spotkać wielu zacnych ludzi, którzy nam pomagali. Także urzędników.

Jak długo trwała rekonstrukcja?

Pyta pan o lata czy o zawały serca, liczbę nieprzespanych nocy, pudełka tabletek uspokajających czy załamania nerwowe? Bo tych wszystkich było całkiem sporo… A rekonstrukcja trwała kilkanaście lat. Doliczając do tego kilka lat prac naukowych: archeologicznych, historycznych, technicznych, fotogrametrycznych, stratygraficznych, architektonicznych i wielu, wielu innych. To chyba najlepiej przebadany zamek w Polsce.

Konserwatorzy, którzy wówczas hołdowali zapisom Karty weneckiej (międzynarodowej konwencji określającej zasady konserwacji i restauracji zabytków – red.), nawiasem mówiąc, nieprawidłowo przetłumaczonej na język polski, co udało mi się odkryć jako pierwszemu w Polsce i opublikować swego czasu w gazecie „Rzeczpospolita", byli przerażeni faktem, że ktoś chce ich wyręczyć w pracy. Kiedy wraz z moim bratem setki razy przychodziliśmy do urzędu, pytali z błagalnym

eprasa.pl 254763f74e

Jarosław W. Lasecki przed zrekonstruowanym zamkiem Bobolice

FOT. ARCHIWUM ZAMKU BOBOLICE

wzrokiem: „Panowie, po co wam to?". Jakby chcieli, aby ten zamek zupełnie się rozsypał. Zresztą to stało się z zamkiem Ostrężnik należącym do Skarbu Państwa, który w tamtych czasach był w podobnym stanie jak zamek Bobolice. Dzisiaj las i ziemia praktycznie go pochłonęły.

Kto pomagał w rekonstrukcji? Na czym oparto obecny kształt tej budowli i surowców do niej użytych?

Nie da się wymienić wszystkich pracujących przy rekonstrukcji, bo było ich zbyt wielu. Ale nie byłoby tego zamku, gdyby nie świetna praca polskich naukowców: prof. dr Sławomir Dryja prowadził prace archeologiczne; dr Waldemar Niewalda, chyba najlepszy castelolog w Polsce, dokładnie odczytał fazy budowy i przebudowy zamku, rekonstruując jego bryłę; prof. dr Stanisław Karczmarczyk sprawił, że zabezpieczenia techniczne pozwolą, aby zamek przetrwał następne sześćset kilkadziesiąt lat, a inspiracji dostarczali swoimi radami prof. dr Janusz Bogdanowski czy dr Stanisław Kołodziejski. Nie chciałbym pomijać prof. Aleksandra Böhma czy prof. Wojciecha Kosińskiego, a wielu innych nie jestem w stanie ze względu na liczbę wymienić. Przede wszystkim chcę wspomnieć najlepszych kamieniarzy i murarzy z dziada pradziada, bez których nie byłoby tego zamku: śp. Romana Wartę, ostatniego rycerza zamkowego, czy braci Julka, Mirka i Jerzyka Resiaków. To oni włożyli serce w każdy kamień, w każdą szczelinę z zaprawą, by wszystko wróciło na swe stare miejsce. Bo zamek odbudowywany był z tego samego jurajskiego kamienia wapiennego, z którego został zbudowany.

Ile to kosztowało?

Średniowieczny zamek kosztował ok. 10 do 15 tys. grzywien srebra. Grzywna srebra to ok. 230 gramów. Rekonstrukcja zawsze kosztuje znacznie więcej niż budowa nowego. Ile kosztuje gram srebra, można dowiedzieć się z Internetu. A zatem każdy może sobie policzyć. Mnie kosztowało to dużo nerwów, nieco zdrowia i kilka rozczarowań. Ale – jak mówią – co cię nie zabije, to cię wzmocni. Wzmocniony będę rewitalizował inne zamki.

Czy było to także opłacalne finansowo, jako atrakcja turystyczna?

Jeśli czytelnik do tego miejsca przeliczył już srebro na złotówki, to zorientował się, że zamek nigdy się nie „zwróci" w ekonomicznym znaczeniu. Patrząc, że corocznie, właśnie ze względu na zamek Bobolice, do gminy Niegowa przybywa kilkaset tysięcy turystów, na pewno się opłaciło. Przecież setki gospodarstw agroturystycznych, sklepików, punktów gastronomicznych z tego żyją. Fakt, że są to turyści nie tylko z całej Polski, lecz także z całego świata, świadczy, że polityka historyczna i powrót do dawnych czasów polskiej świetności ma sens. Nam wystarczy, aby zamek mógł „zarobić na siebie". Na pensję dla pracowników, na ogrzewanie, prąd, ubezpieczenie, remonty itd. Na zwrot inwestycji nie liczymy. Bo to nie było naszym zamiarem. Chcieliśmy dać temu regionowi coś, z czego mógłby być dumny.

Ponad dekadę temu chciał pan też rekonstruować zamek Mirów. Dlaczego to się nie udało?

Bo rekonstrukcja zamku to wysoko wyspecjalizowana operacja. Nie da się tego zrobić ad hoc. Najpierw przeprowadzaliśmy badania naukowe, podobnie jak w Bobolicach. Teraz trwa proces wzmacniania fundamentów, ścian i elementów konstrukcyjnych. Zamek Mirów pozostanie „niekompletnym zamkiem", bo nie lubię słowa „półruina".

Nie mamy dofinansowania ze strony państwa. Banki – wszystkich 20 największych w Polsce, także te należące do Skarbu Państwa – odmówiły nam finansowania w tej materii. Dlatego najpierw musimy zarobić gdzieś pieniądze, by je później przeznaczyć na ratowanie zamku Mirów. To trwa. Dlatego prace na zamku posuwają się powoli. Może jednak już wkrótce turyści będą mogli rozkoszować się widokiem z jego tarasów.

Rząd Zjednoczonej Prawicy zapowiadał odbudowywanie warowni Kazimierza Wielkiego, ale do dziś tylko pan zrekonstruował taki obiekt. Jak pan myśli, dlaczego?

Idea jest świetna. Niektórzy odrzucają wielkie idee tylko dlatego, że nie są one ich. Może dlatego nie ma jeszcze programu finansującego odbudowę zamków? A sprawa jest prosta. Bo któż jest lepszy do sfinansowania odbudowy Orlich Gniazd jak nie na przykład… Orlen? Konotacja nazwy jest tutaj jednoznaczna.

Mam lata doświadczenia z Boston Consulting Group czy w budowie sieci handlowych oraz jako senator RP i gdyby kiedyś ktoś zaproponował mi funkcję prezesa Orlenu, wiedziałbym, co zrobić (śmiech). Ale przecież to się nie wydarzy… Dlatego warownie Kazimierza Wielkiego – zamki Szlaku Orlich Gniazd, najbardziej genialnej linii obronnej w Europie – pewnie będą musiały jeszcze poczekać. Miejmy nadzieję, że nie dziesiątki lat.

Gdyby pan, po własnych doświadczeniach, mógł podpowiedzieć władzy, jak zrekonstruować więcej takich obiektów, to co by pan powiedział?

Największym problemem są finanse. Bo świetnych polskich naukowców, którzy znają się na zamkach, mamy całkiem sporo. Najprostsze rozwiązanie to „zamkowy odpis podatkowy", np. umorzenie 30 proc. należnych podatków, na prostych zasadach. Jeden warunek: środki muszą być zainwestowane w kazimierzowski zamek na podstawie faktur. Obojętnie, czy własny, czy cudzy, czy prywatny, czy samorządowy. Wtedy nie mielibyśmy problemów z finansowaniem. Ale jak to było z tą ideą? Znajdzie się zapewne całkiem sporo tych, którzy ją odrzucą, tylko dlatego, że nie będzie ich. A zamki odbudujmy, bo Polacy nie gęsi i... swoje zamki mają!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jarosław W. Lasecki – polityk, przedsiębiorca, w Senacie zasiadał w Klubie Parlamentarnym PiS, następnie był senatorem z list PO (najbogatszym w parlamencie); kierował spółkami zajmującymi się nieruchomościami, stworzył w Polsce sieć marketów Plus odkupioną potem przez Jerónimo Martins.

eprasa.pl 254763f74e

Z dr. n. med. Piotrem Gastołem, konsultantem krajowym w dziedzinie urologii dziecięcej
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Urolodzy walczą o... cewniki

KATARZYNA PINKOSZ: Lekarze często występują o dostęp do nowoczesnych leków, zmieniających rokowanie pacjentów. Szokujące jest jednak to, że urolodzy dziecięcy od lat walczą o to, żeby garstka ciężko chorych dzieci z rozszczepem kręgosłupa mogła mieć refundowaną rzecz tak prozaiczną jak cewnik. W Europie nowoczesny cewnik to standard, zwłaszcza że zapobiega groźnym dla zdrowia powikłaniom. A rzecz dotyczy garstki dzieci z rozszczepem kręgosłupa. Ile takich dzieci rodzi się w Polsce?

DR N. MED. PIOTR GASTOŁ: Rocznie w Polsce rodzi się ok. 120–200 dzieci z przepukliną oponowo-rdzeniową, czyli z rozszczepem kręgosłupa. Znacznie więcej niż w krajach zachodnich, bo tam – jeśli rozpoznaje się ciążę z taką wadą – to zwykle jest ona terminowana. U takiego dziecka w pierwszych dniach życia konieczna jest operacja neurochirurgiczna: wykonuje się zamknięcie przepukliny oponowo-rdzeniowej. Potem trzeba radzić sobie z innymi problemami, związanymi z zaburzeniami unerwienia dolnej części ciała, zwłaszcza pęcherza moczowego, a także z zaparciami wynikającymi z zaburzeń unerwienia końcowego odcinka jelita.

Jak funkcjonuje dziecko urodzone z rozszczepem kręgosłupa?

Zwykle nie chodzi, ma porażone niedowładem kończyny dolne. Oczywiście wiele zależy od tego, na jakiej wysokości rdzenia kręgowego pojawiła się przepuklina, ponieważ im niżej, tym zakres porażeń jest mniejszy. Są dzieci, które mogą chodzić (po rehabilitacji), jednak większość jest na wózkach inwalidzkich.

Intelektualnie dobrze się rozwijają?

W większości przypadków tak, choć u niektórych dzieci jest zaburzony przepływ płynu mózgowo-rdzeniowego: konieczne jest wtedy wprowadzenie zastawki do mózgu, by odprowadzać płyn mózgowo-rdzeniowy i uniknąć wodogłowia. Jeśli jednak chodzi o wózek inwalidzki, to dzieci szybko adaptują się do warunków, które mają. Potrafią opanować prowadzenie wózka do perfekcji. Starsze dzieci i dorośli na wózku uczestniczą w turniejach tańca towarzyskiego, grają w koszykówkę. Mimo niepełnosprawności mogą być pełnoprawnymi członkami naszego społeczeństwa. A jeszcze w latach 80. XX w. połowa z nich nie dożywała wieku dorosłego.

Z jakiego powodu?

Niewydolności nerek. Porażenie unerwienia dotyczy też pęcherza moczowego, co powoduje zaburzenie jego funkcji – to tzw. pęcherz neurogenny. Pęcherz nie jest opróżniany, gdyż dziecko nie panuje nad zwieraczem. Pęcherz wypełniony moczem generuje bardzo duży skurcz, duże ciśnienie, by przepchnąć mocz przez nieotwarty zwieracz. To ciśnienie może wpychać mocz do nerek, co prowadzi do wodonercza. Mocz zalega też w pęcherzu, co prowadzi do zakażeń. Z czasem może dojść do niewydolności nerek. Aby zapobiec tym negatywnym skutkom, konieczne jest cewnikowanie.

Głównym problemem jest złe opróżnianie pęcherza. Najprostszą metodą, by odprowadzić mocz, jest wprowadzenie cewnika do cewki moczowej. Staramy się odzwierciedlić fizjologiczną czynność pęcherza: zdrowy człowiek oddaje mocz mniej więcej co trzy godziny, z nocną przerwą ok. ośmiu godzin. Dziecko z pęcherzem neurogennym powinno mieć więc sześć cewnikowań na dobę.

Takie cewnikowanie boli? Rodzic potrafi się tego nauczyć?

Rodzice zwykle szybko uczą się cewnikowania. Dziecka to nie boli, ponieważ ma zaburzone unerwienie. Nie ma czucia w kończynach i czucia w cewce moczowej. Dlatego cewnikowanie jest dla niego bezbolesne. Z jednej strony to dobrze, z drugiej źle, bo nie czuje, kiedy dochodzi do uszkodzenia cewki moczowej.

I tu właśnie tak ważny jest rodzaj

eprasa.pl 254763f74e

FOT. ADOBE STOCK

Przy odpłatności 30 proc. dla wielu dzieci cewniki hydrofilowe nadal nie będą dostępne. Specjalistyczny sprzęt stomijny jest w 100 proc. refundowany, tak samo powinno być w przypadku cewników. Dzięki temu możemy zapobiec powikłaniom, które powodują konieczność pobytu w szpitalu czy operacji, a także cierpieniu dzieci

cewnika. Cewnik starego typu, plastikowy – tzw. suchy – zanim zostanie założony, powinien zostać nawilżony sterylnym żelem, by był poślizg i nie doszło do uszkodzenia cewki moczowej. Problem w tym, że żel jest drogi (droższy niż cewnik), a jeśli tego żelu użyje się zbyt mało, to można uszkodzić cewkę. Dziecko tego nawet nie poczuje. Gdy uraz jest silny, powstaje ranka, która potem się goi, tworząc bliznę, co powoduje zwężenie cewki moczowej. Kolejne uszkodzenie to kolejne ranki, blizenki i dalsze zwężenie cewki moczowej. Cewnikowanie pęcherza może stać się wręcz niemożliwe.

Innym problemem jest możliwość zakażenia układu moczowego. Żel, po otwarciu tubki, przestaje być sterylny. Powinno się go już nie używać, ale większość rodziców używa, z powodu kosztów. Proszę pamiętać, że dziecko z rozszczepem kręgosłupa ma nie tylko problemy z pęcherzem. Konieczne są wizyty u specjalistów, rehabilitacja, wielospecjalistyczna opieka. To wszystko oznacza też koszty.

Czym nowe cewniki, o które walczą dla dzieci urolodzy, różnią się od tych starszej generacji?

Cewnik hydrofilowy jest od razu gotowy do użycia: otwiera się go i można od razu włożyć go do cewki moczowej. Jest pokryty specjalną powłoką, która daje poślizg, dzięki czemu nie dochodzi do zakażeń i urazów cewki moczowej.

Gdy w wyniku mikrourazów dojdzie do zwężenia cewki moczowej, konieczna jest operacja?

Tak. Są różne metody leczenia chirurgicznego. Przy dużym zwężeniu cewki czy jej zarośnięciu konieczne jest odprowadzenie moczu poprzez powłoki brzuszne, przez nakłucie pęcherza. Potem trzeba się zastanowić, jak poszerzyć światło cewki moczowej. Leczenie bardzo często trwa długo, wymaga operacji chirurgicznych.

Również zakażenia układu moczowego najczęściej kończą się pobytem dziecka w szpitalu i długotrwałym leczeniem.

Czy dziecko, które chodzi do szkoły, jest w stanie poradzić sobie z cewnikiem?

Dzieci chcą być samodzielne, nie chcą, żeby w czasie przerwy przychodził do szkoły rodzic i je cewnikował. Uczą się robić to same. Jednak w przypadku cewnika suchego jest to znacznie trudniejsze: trzeba mieć sterylny żel i warunki, by w higieniczny sposób pokryć nim cewnik i włożyć go do cewki. Szkoły idą dzieciom na rękę, starając się stworzyć warunki do przeprowadzenia tej intymnej czynności, ale proszę sobie wyobrazić, jak to jest krępująca sytuacja. W przypadku cewnika hydrofilowego jest to dużo prostsze: wystarczy go odpakować i użyć.

Dzięki korzystaniu z cewników hydrofilowych można by zapobiec wielu powikłaniom, pobytom w szpitalu, operacjom, cierpieniu dzieci?

Tak, dlatego staramy się, by cewniki były refundowane, przynajmniej dla dzieci. Występują o to zarówno urolodzy dziecięcy, jak i rodzice chorych dzieci. Nowoczesny cewnik kosztuje ok. 7 zł, a koniecznych byłoby sześć na dobę; już same cewniki to więc koszt ok. 1 tys. zł miesięcznie. A przecież to nie jest jedyny koszt dla rodziców, gdyż takie dziecko – jak wspominałem – wymaga wielu konsultacji lekarskich, rehabilitacji, wózka inwalidzkiego. Często jedno z rodziców rezygnuje z pracy, by zająć się dzieckiem. Dlatego warto byłoby wspomóc rodzinę taką ulgą. Nie byłoby to dużym wysiłkiem finansowym dla państwa, bo przecież tych dzieci nie jest wiele. To nie jest wielki koszt, zwłaszcza gdy porównać go z kosztami leków w chorobach rzadkich, gdzie często jedna ampułka kosztuje dziesiątki tysięcy złotych.

Nie mogę zrozumieć, że wciąż walczymy o te cewniki. Niedawno pan minister ogłosił, że będą one refundowane, ale z odpłatnością dla pacjentów w wysokości 30 proc.

Płacić 30 proc. to jednak mniej niż 100 proc. To nie jest sukces?

Odpłatność 30 proc. to – według mnie – jest pomoc, ale w wielu przypadkach tylko pozorna. Dla wielu rodziców wydatek 300–400 zł miesięcznie też będzie zbyt wysoki. Dla części dzieci z biedniejszych rodzin cewniki nadal nie będą osiągalne. Nie rozumiem takiej decyzji, gdyż w przypadku bardzo specjalistycznego sprzętu stomijnego jest on w 100 proc refundowany przez państwo. To bardzo dobrze, i dokładnie tak samo powinno być w przypadku cewników hydrofilowych. Są one refundowane dla dzieci w całej Unii, poza Polską i Bułgarią. To powinno się zmienić. Nie chcę mówić politycznie, ale to dla mnie jest dziwna sytuacja, gdy z jednej strony takim rodzinom daje się 500 zł, a z drugiej każe płacić za cewniki.

Warto tym rodzinom pomóc, zwłaszcza że przecież dzięki temu możemy zapobiec wielu powikłaniom, które powodują konieczność pobytu w szpitalu, operacji. A to są też bardzo duże koszty, nie mówiąc już o cierpieniu dzieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr n. med. Piotr Gastoł
– urolog dziecięcy z Kliniki Urologii Dziecięcej Instytutu Pomnik-Centrum Zdrowia Dziecka, konsultant krajowy w dziedzinie urologii dziecięcej

eprasa.pl 254763f74e

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Cud techniki Zygmunta Augusta

JACEK KOMUDA

Dawna Rzeczpospolita nie miała szczęścia do budowy mostów; mówiąc zaś otwarcie – mało ich było, a jeśli nawet trafiał się jakiś na drodze strudzonego wędrowca, to była to zwykle tymczasowa konstrukcja, którą łatwo zabierała kra albo pierwsza lepsza powódź. Krążyło nawet wśród podróżników powiedzenie: „Polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo – wszystko to błazeństwo!".

RYS. PEGAZ, FOT. DOMENA PUBLICZNA

Podziw jednak w Europie budził pierwszy stały most w Warszawie, którego budowa zaczęła się za panowania Zygmunta Augusta – w 1568 r. Schorowany ostatni męski potomek Jagiellonów nie dożył jej ukończenia; zakończyła ją jego siostra Anna Jagiellonka, królowa polska. Była to ogromna konstrukcja o imponującej jak na owe czasy długości – ok. 500 m. Jak podaje Jerzy Lileyko w „Życiu codziennym w Warszawie za Wazów", składał się on z 22 przęseł i wspierał się na podporach z dębowych pali obitych miedzianą blachą. Jego projektantem i budowniczym był Erazm Czioto z Zakroczymia, wszystko zaś kosztowało zawrotną sumę 100 tys. dukatów, więcej niż roczny budżet wojska kwarcianego. Konstrukcja była tak okazała, że stała się sławna w całej Europie. Opisana została w atlasie miast Europy znanym pod nazwą „Civitates orbis terrarum", wydanym w Kolonii w 1618 r. i napisanym przez Georga Brauna i Fransa Hogenberga, a także przedstawiona na panoramie Warszawy. „Zaiste, trudno coś podobnego znaleźć w Europie i nie można go było nie podziwiać" – pisali autorzy.

Jak na ironię most otwarty został 5 kwietnia 1573 r. na początku sejmu elekcyjnego po śmierci Zygmunta Augusta. Budowla miała własną służbę – porządku pilnowało 50 pachołków, ruch był jednostronny – w jednych godzinach wolno było jechać z Pragi do Warszawy, w innych w drugą stronę. Wozy i wszelakie pojazdy konne płaciły mostowe, pieszo można było przejść bezpłatnie. Opisał to zresztą Jan Kochanowski:

A ty śpij, przewoźniku, nie dbając o goście;
Byś i darmo chciał przewieźć, ja wolę po moście.

Most wytrzymał przeszło 30 lat – kilkukrotnie naprawiany i restaurowany, został zniszczony przez spływające lody wiosną 1603 r. Dzisiaj może to trochę dziwić, ale jeszcze sto lat temu Wisła była ogromną i niebezpieczną rzeką. Wystarczy spojrzeć na fotografie z końca XIX w., by przekonać się, jak szeroko się rozlewała i jakie niebezpieczeństwo stwarzała, kiedy po zimie kry zaczęły napierać na przyczółki i filary przepraw.

Most znajdował się u wylotu dzisiejszej ul. Mostowej; pozostała po nim murowana brama, którą dziś nazywa się Starą Prochownią. A to dlatego, że po zniszczeniu przeprawy, za czasów Władysława IV Wazy, ulokowano tutaj wytwórnię prochu. Później zresztą, za czasów Stanisława Augusta, dobudowano do bramy budynek od strony zachodniej i zamieniono go na więzienie zwane „Domem kary i poprawy"; zaś ulica, przy której się znajdował, zaczęła być nazywana Boleścią.

Po katastrofie mostu zygmuntowskiego Warszawa nie miała stałej przeprawy aż do drugiej połowy XVIII w. Owszem, kilkukrotnie budowano prowizoryczne mosty łyżwowe – w latach 1632, 1648 i 1668, służące głównie szlachcie przyjeżdżającej na elekcje. W czasie potopu Polacy zbudowali most na wysokości Solca, a wojska szwedzkie drugi – na wysokości wsi Polków. Kilka kolejnych powstało na początku XVIII w., w związku z licznymi przemarszami wojska.

Kolejny trwały most zbudował dopiero w 1775 r. Adam bywszy Poniński, łotr i zdrajca, targowiczanin, pozbawiony urzędów, godności i nazwiska przez sejm. Co ciekawe, most nie był stały – co roku rozbierano go w okresie zimowym, aby nie został porwany przez przybór wód lub zniszczony przez krę. Wzniósł go Jan Kristian Lehmann, według projektu Efraima Szregera. Przetrwał do czasów insurekcji kościuszkowskiej, kiedy 4 listopada po zajęciu Pragi przez Rosjan naczelnik powstania Tomasz Wawrzecki nakazał spalić konstrukcję, aby odciąć się od nieprzyjaciela. Budowla nie została jednak zniszczona całkowicie – Suworow odbudował ją prowizorycznie, a rok później została całkowicie zrekonstruowana. Zniszczyły ją dopiero w 1806 r. wycofujące się wojska pruskie. W kolejnych latach budowano nietrwałe mosty łyżwowe, które usuwano na czas zimy i przyboru wód. Pierwszy stalowy i trwały, zwany mostem Kierbedzia, wzniesiono dopiero w 1864 r. jako drogowy i dla tramwajów konnych. Kilka lat później, w 1875 r., wybudowano koło Cytadeli most kolejowy. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

SYLWIA BIAŁY PIECZE CHAŁKĘ

Sytuacja pandemiczna zmusiła mnie do zajęcia się także wypiekami, a nasza restauracja musiała stać się również piekarnią. W związku z tym przygotowałam dla czytelników przepis na wypiek – pyszną chałkę maślaną.

Składniki:

- 600 g mąki (najlepiej, aby była to mąka typ 500)
- 40 g cukru
- 10 g cukru waniliowego
- 20 g świeżych drożdży
- 50 g masła w temperaturze pokojowej
- 300 g mleka w temperaturze pokojowej
- 1 łyżeczka mleka w proszku
- Do posmarowania chałki: 1 jajko, 100 ml śmietany 30-procentowej

Przygotowanie:

W małej miseczce w 100 g mleka rozpuścić drożdże, dodać 100 g mąki i łyżkę cukru. Do dużej miski wsypać pozostałą część produktów wraz z zaczynem z małej miski. Zagnieść w całość.

Gotowe ciasto przykryć ściereczką i odstawić w ciepłe miejsce do podwojenia objętości.

Nagrzać piekarnik do 180 st. C.

Podzielić ciasto na trzy części, na oprószonej mąką powierzchni rozwałkować każdą z części na wałki. Pozostawić na 5 min. Połączyć końcówki wałków, spleść je ze sobą jak warkocz, połączyć pozostałymi końcami. Splecione ciasto umieścić na blasze wyłożonej papierem do pieczenia, przykryć ściereczką i zaczekać, aż lekko podrośnie.

Chałka jest już prawie gotowa, teraz należy w małej miseczce roztrzepać jajko wraz ze śmietanką i delikatnie posmarować naszą chałkę.

Wstawić do piekarnika na 30 min.

Chałkę można posypać kruszonką, jednak mi smakuje najlepiej taka bez, idealnie pasuje do domowych konfitur. ©℗

oprac. raw

FOT. T. ZUKOWSKI/EAST NEWS

Sylwia Biały jest szefem kuchni, finalistką programu „Hell's Kitchen Polska".

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Piekarz domowy

Moda na pieczenie chleba rozwijała się pełzająco gdzieś od połowy pierwszej dekady XXI w., ale jej apogeum nastąpiło mniej więcej rok temu, kiedy zaczęła się pandemia. Półki z mąką wymieciono w ciągu kilku dni, z rąk do rąk przekazywano sobie zakwas razem z instrukcjami i dobrymi radami. Na Facebooku chwalono się wypiekami. Tak było nie tylko u nas. Chleb pieczono w Ameryce, w Niemczech i we Francji. Temat pojawił się nawet w serialu, najważniejszym komunikacie współczesności. W pierwszym odcinku „Sukcesji" na HBO Logan Roy, magnat medialny (fikcyjny), miliarder, w prezencie na urodziny, wśród dziesiątków innych prezentów, otrzymuje pudełko z zakwasem chlebowym. Dodam, że inne podarki dla jubilata są na poziomie zegarka Patek Philippe za 15 tys. dol. A jednak to zakwas – „maź", jak ją nazywa obdarowany, niepewny, po co mu ta zabawka – ma tu znaczenie nieoczekiwane. Co dać człowiekowi, który ma wszystko i może kupić wszystko? Tylko coś tak podstawowego, tak taniego i tak niezwykłego jak zaczyn do chleba.

Zjawisko zanalizował i podsumował tygodnik „The Economist". Wyjaśniono czytelnikom, czym jest „sourdough" – zakwas – i na czym polega tajemnica uzyskania z niego bochenka chleba. Poinformowano, że najstarszy zakwas na świecie ma 100 lat i że istnieją hotele, w których go można przechować w dogodnych warunkach.

FOT. ADOBE STOCK

Chleb na drożdżach da się zjeść, ale to nie to. Biała wata pokrojona maszynowo i zapakowana w plastik nie zasługuje nawet na miano chleba. Uczciwy chleb to tylko mąka i woda. Plus znajomość fermentacji. Dodatki w stylu pestek, orzechów, suszonych owoców są moim zdaniem tylko zbędnym ozdobnikiem. Zakwas to mąka, w której pod wpływem ciepła rozwijają się dzikie drożdże i bakterie kwasu mlekowego (Lactobacillus). To te same bakterie jak te, które występują w probiotykach – jogurtach, kefirach, ogórkach kiszonych, kimchi i kiszonej kapuście. Chleb na zakwasie ma więcej żelaza, magnezu i cynku niż pieczony na drożdżach, ma niższy od niego indeks glikemiczny, co ważne dla cukrzyków. Podczas fermentacji zboża bakterie kwasu mlekowego wytwarzają bioaktywne peptydy, które mają właściwości antyoksydacyjne. A zatem chleb na zakwasie jest narzędziem walki z wolnymi rodnikami, która nieustannie odbywa się w naszym organizmie.

Jako socjolog amator stwierdzam, że zeszłoroczne wzmożenie chlebowe to już przeszłość. Jedno, co po nim zostało, to wybór mąk w sklepach. Dobre i to. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Brawurowa szarża w łóżku

Kilka dni temu szedłem z moim synem i jego koleżanką z klasy. Podczas pogawędki okazało się, że młodych czeka lada chwila klasówka z historii, więc Tymon zaproponował, żebym w ramach przygotowań opowiedział co nieco o rewolucji francuskiej.

Zacząłem mówić i natychmiast w oczach dziewczyny dostrzegłem strach pomieszany z obrzydzeniem. Żeby nie zrobić mi przykrości, subtelnym – jak jej się zdawało – ruchem włożyła słuchawki do uszu i odpaliła jakąś muzyczkę. A potem przy pierwszej okazji czmychnęła do domu. Gdzie zapewne czekał na nią… podręcznik do historii.

To, jak bardzo dzieciaki nienawidzą historii, zawsze mnie frapowało. Niby powinna być skazana na sukces, bo ludzie uwielbiają opowiadać historie i słuchać historii. A jednak fascynacja przeszłością wśród najmłodszych – którzy jeszcze niedawno bawili się przecież w rycerzy i księżniczki – jest równie rzadka, co oznaki kultury osobistej u Andrzeja Saramonowicza. Historia jest dla nich ucieleśnieniem nudy.

Dlaczego? Kiedyś miałem prostą odpowiedź: winni są nauczyciele, którzy nie potrafią o swym przedmiocie opowiadać. Trafiłem na kilku takich i faktycznie mogą obrzydzić wszystko. Ale podsłuchuję czasem zdalne lekcje historii i dziś są całkiem atrakcyjne. W dodatku historyczka sprytnie sięga po rozmaite filmy i profile na YouTube. Także podręcznik nie sprawia wrażenia przeładowanego niepotrzebnymi szczegółami. A jednak – jak twierdzi mój syn – nauka historii to dla jego kolegów droga przez mękę. A on sam ma opinię dziwaka, bo historię lubi.

W związku z tym szukałbym przyczyn tej alergii gdzie indziej. I wskazałbym współczesne czasy. A dokładniej – ich samozadowolenie i pogardę dla przeszłości. Współczesność jest przesączona przekonaniem, że to, co było kiedyś, to jedna wielka plątanina ślepych uliczek, wypełnionych niesprawiedliwością, okrucieństwem, bezsensem, fałszem, rasizmem, ciemnotą. I dopiero teraz – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – świat wskoczył na właściwe tory postępu i oświecenia. Takie podejście do ludzkiej przeszłości przywodzi mi na myśl opowieść z „Dzienników gwiazdowych" Lema, kiedy to ludzkość zawstydzona swą historią próbuje ją podrasować na potrzeby innych cywilizacji. I posługujący się wehikułem czasu naprawiacze budują dokładnie identyczną przeszłość.

Historia jest dziś zatem postrzegana jako coś odpychającego. Ale to nic. Może w szkole młodych to nudzi. Potem jednak wielu połyka bakcyla. O czym przekonała się pewna instagramerka czy może raczej tik-tokerka, gdy uwodzicielsko w łożu zapytała męża, gdzie chciałby się teraz znajdować. – Pod Wiedniem, 12 września 1683 r. – poinformował żonę i widzów podczas transmisji na żywo. – Dlaczego? – zdziwiła się, licząc na bardziej romantyczną odpowiedź. – Bo chciałbym zobaczyć szarżę 20 tys. kawalerzystów. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Festiwal Solidarności w Hiszpanii

Małgośka – mówią mi – przywieź trochę słońca z Hiszpanii i dobre wino. Wino to ja umiem spakować w folię bąbelkową, ale przemyt klimatu w walizce jakoś nigdy mi nie wychodzi. Sforsowałam wreszcie graniczny kordon sanitarny, co wcale nie było łatwe, bo chiński wynalazek z koronką długo złomuje się w nosie i uniemożliwia to, czym tak szczyci się UE: „swobodny przepływ osób". Jeśli tylko test PCR okaże się zbyt czuły, to trzeba odsiedzieć ponownie wyrok w izolacji i odbierać telefony od wojska i sanepidu, co za trzecim razem już trąci nudą. Ale udało się: oto ląduję w Madrycie i choć już wydawało mi się, że wszystko w Hiszpanii mnie spotkało, to odkrywam nowe fenomeny.

Zatrzymałam się w tym samym hotelu co w styczniu i ledwie się przedstawiłam, a recepcjonista obwieszcza mi: „A my wciąż trzymamy rzeczy, które zostawiła pani u nas!". Zbladłam na myśl, że przechowali wszystko, czego z premedytacją chciałam się pozbyć, żeby zrobić miejsce w walizce. Zachowałam jednak spokój i spytałam recepcjonistę: „Mam nadzieję że przechowaliście także małą torbę pełną banknotów, którą niechcący zostawiłam?". Tym razem to recepcjonista zbladł, ale widząc ognik w moich oczach, uśmiechnął się: „Gdyby pani ją zostawiła – z całą pewnością czekałaby nietknięta". Po czym wręczył mi pakunek, który przekonał mnie, że sweter, czapka i parasolka pozostawione w Madrycie trzy miesiące wcześniej nabywają w pewnych warunkach właściwości bumerangu. Ale ważniejsze jest to, co wraca do Hiszpanii z Polski: idea solidarności, jaką przejął VOX, żeby stworzyć na nasz wzór pierwszy antykomunistyczny związek zawodowy Solidaridad i przeciwstawić się monopolowi lewicy, której podporządkowane są wszystkie tamtejsze syndykaty.

Mam wrażenie, że to w Madrycie Zachód zaczyna budzić się z letargu. Nie miałam szansy załapać się na Festiwal Solidarności w ojczyźnie, a załapałam się 40 lat później w Madrycie. Mają może nawet trudniej niż my pod pewnymi względami. Europa nie chce widzieć już „prawicowych populistycznych" ruchów, które upominają się o stare słowa typu: „ojczyzna", „rodzina", „wartości chrześcijańskie". Dlatego VOX ma przeciwko sobie całą armadę polityków i mediów hiszpańskich, także europejskich. Za to stoją za nim tysiące ludzi na wiecach pomimo pandemii. Nie mój kraj, nie moje postulaty tej Solidaridad, ale siedząc na podeście dla dziennikarzy, wstałam do hymnu Hiszpanii. Pewnego dnia może się okazać, że to Hiszpanie zawstydzą Polskę i spytają: „Coście zrobili z waszymi ideami? Za ile srebrników unijnych dotacji sprzedajecie duszę?". ©℗

eprasa.pl 254763f74e

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dawno temu w Niemczech...

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Był taki czas, gdy Kościół w Niemczech nie był synonimem nieposłuszeństwa, pełzającej schizmy od Kościoła powszechnego, ale wręcz odwrotnie: dawał przykłady heroicznego świadectwa jedności z następcą św. Piotra w Rzymie i odporności wobec „antyrzymskiego syndromu". Sto pięćdziesiąt lat temu, ogłosiwszy powstanie zjednoczonej pod pruskim przewodem Rzeszy Niemieckiej, Otto von Bismarck przystąpił do rozprawy z „wewnętrznymi wrogami Rzeszy". Jako pierwsi na celowniku znaleźli się katolicy.

Kościół niemiecki wyszedł z kulturkampfu wzmocniony. Mimo ostrych represji, więzień czy banicji niemieccy biskupi i księża się nie ugięli

Antykatolicyzm miał być kulturowym spoiwem nowych Niemiec, tworzonych wspólnie przez zmilitaryzowane Prusy i oddanych zasadzie „zdrowego egoizmu narodowego" niemieckich liberałów. Ci ostatni swój kulturkampf toczyli już od lat 50. XIX w., gdy rozpoczął się renesans katolicyzmu w krajach Związku Niemieckiego. Przekonanie o tym, że katolicyzm jest pod względem kulturowym „ciałem obcym" w Niemczech, uformowanym przez „ducha Wittenbergi", było traktowane przez zdecydowaną większość niemieckiego wykształconego mieszczaństwa jako „oczywista oczywistość". Ono stanowiło polityczną i socjologiczną bazę niemieckiego liberalizmu, który ochoczo wsparł zainaugurowaną przez Bismarcka krótko po zjednoczeniu Niemiec antykatolicką „wojnę kulturową" (kulturkampf). To liberalna większość w pruskim Landtagu i niemieckim Reichstagu posłusznie przegłosowywała przygotowywane przez rząd Bismarcka kolejne antykościelne ustawy.

Kościół niemiecki jednak przetrwał. Ba, wyszedł z kulturkampfu wzmocniony. Mimo ostrych represji, więzień, banicji, konfiskaty majątków niemieccy biskupi i księża się nie ugięli. Zachowali jasny przekaz wiary. Pozostali wierni Rzymowi, z którego płynął równie jednoznaczny przekaz: „Ani kroku w tył!" (mimo że w tym czasie papież był już „więźniem Watykanu", doświadczającym włoskiej odmiany kulturkampfu). Trwanie w wierności i w jedności z całym Kościołem przyniosło owoc w postaci rozwoju sieci niemieckich organizacji i stowarzyszeń katolickich, prasy katolickiej oraz zgromadzeń zakonnych.

Był jeszcze jeden symptom tego krzepnięcia niemieckiego katolicyzmu wbrew kulturkampfowemu „duchowi czasu" – rosnąca popularność katolickiej partii Centrum. Bismarck traktował katolickich posłów jako parlamentarną reprezentację „wrogów Rzeszy". Przywódcę Centrum, pochodzącego z anektowanego przez Prusy Hanoweru Ludwiga Windthorsta, „żelazny kanclerz" traktował jako osobistego wroga. „Przy życiu trzymają mnie dwie rzeczy. Miłość do żony i nienawiść do Windthorsta" – mawiał. Nienawiść była tym większa, że w debatach parlamentarnych niejednokrotnie musiał uznać wyższość retorycznej sprawności katolickiego polityka.

Im dłużej trwał kulturkampf, tym silniejsze stawało się w Centrum. Partia Windthorsta systematycznie powiększała swój stan posiadania w pruskim i niemieckim parlamencie. Pod koniec XIX w. z frakcją Centrum będą musieli się liczyć kolejni następcy Bismarcka.

Nie byłoby siły Centrum, gdyby nie twardy opór niemieckiego Kościoła wobec kulturkampfu. Tego oporu nie byłoby zaś, gdyby niemieccy biskupi i księża nie okazali „pewności wiary i zuchwalstwa rozumu" – jak o przymiotach Kościoła katolickiego zwykł mawiać prymas Wyszyński. W ostatecznej konsekwencji o sile katolickiej partii politycznej decydowała więc jakość formacji duchowej oraz intelektualnej niemieckiego duchowieństwa. Opierała się ona na starej, sprawdzonej recepturze: najpierw zdrowa filozofia (metafizyczna), na niej prawidłowa teologia, która właściwie formuje przyszłych kapłanów. Oni są dzięki temu w stanie prowadzić właściwe duszpasterstwo, także wśród przyszłych posłów.

Los niemieckiej CDU jest ilustracją skutków odwrotnego procesu – gdy w seminariach zamiast Doktora Anielskiego króluje Rahner, a „pewność wiary i zuchwalstwo rozumu" ustąpiły miejsca kultowi współczesnych mód. Jeśli niemieccy biskupi twierdzą, że pójdą „własną drogą" („nie jesteśmy filią Watykanu"), to tym łatwiej jest niemieckiej chadecji iść „własną drogą", gubiąc przy tym literkę „c". ©℗

eprasa.pl 254763f74e

PIANISTA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mamy tu na prerii jednego pianistę wybitnego. W zasadzie… pianistę natchnionego. W Ameryce muzyków bardzo wielu, bo w szkołach „wychowanie muzyczne" to przedmiot obowiązkowy i lubiany, a do tego uczą gry na konkretnych instrumentach, a nie tylko ogólnie o muzyce. Kto kończy amerykański ogólniak, ten powinien umieć na czymś grać. Kto kończy studia, ten, lepiej lub gorzej, ale gra na dwóch instrumentach. Wykształcenie muzyczne traktuje się w USA na równi ze sportowym. Z powyższych powodów to w zasadzie nic dziwnego, że na naszej wiosce pośród prerii mamy jednego pianistę natchnionego. Rachunek prawdopodobieństwa.

***

Nie skończył studiów muzycznych, uczył się pianina w powszechniaku. Ktoś tam odkrył talent, potem rodzice wyłożyli grosz na coś w rodzaju korepetycji i teraz gra chłop od ręki i bez nut cokolwiek usłyszy. Potrafi nawet celowo fałszować na pianinie, jeżeli zagwiżdżesz mu jakąś melodię i sam zrobisz to fałszywie. To jest jego najbardziej lubiany numer: siada w naszej wioskowej knajpie, otwiera klapę starego pianina i wtedy wszyscy wiedzą, że zamienił się w żywą szafę grającą.

Podchodzisz. Stawiasz mu drinka i prosisz, żeby coś zagrał. Zamawiasz za pomocą tytułu piosenki, a gdy tytułu nie pamiętasz, musisz zanucić lub zagwizdać. Wtedy się zaczyna!

Gwizdałeś fałszywie to on gra fałszywie i to jest bardzo zabawne. Umiałby poprawić tę melodię i usunąć fałsz, gdyby chciał, ale… gra dokładnie to, co mu podałeś, a potem woła, by ktoś to uratował i rzucił mu jakiś następny utwór, bez fałszu. Wtedy do pianina podchodzi kolejna osoba i stawia kolejną szklaneczkę z drinkiem, i prosi, by zagrał coś innego. I on zaczyna grać…

Lewa ręka gra nadal tę poprzednią fałszywą melodię, a prawa ręka zaczyna grać tę drugą i... nasz pianista natchniony łączy je ze sobą i miesza w taki sposób, że one się ze sobą nie gryzą. Na tym polega jego sztuczka. On jest kimś w rodzaju żonglera z piłeczkami, któremu dorzucasz kolejne piłeczki, a on żongluje nadal bez utraty rytmu. Nie umiem policzyć, ile melodii naraz potrafi grać nasz pianista natchniony, ale cztery naraz na pewno. Gra i gra, a każdy z zamawiających nadal słyszy tę swoją wybraną melodię. Wszyscy pozostali słyszą swoje.

To sztuczka cyrkowa na pianinie i muzyk zawodowy z filharmonii by to zlekceważył właśnie jako „sztuczkę". Ale… czy umiałby powtórzyć? Czy jedynie skrytykować? Nam, tu w knajpie na prerii, podoba się bardzo i o to chodzi w muzyce – ma się podobać!

***

Nasz pianista natchniony nie skończył studiów muzycznych, jego nauczyciel był nauczycielem prowincjonalnym, a jego drugi nauczyciel (dużo lepszy) był pijakiem, który stracił robotę w Las Vegas, wyniósł się do nas na prerię i tu wytrzeźwiał, ale… Coś robił źle, bo był samoukiem. Bardzo sprawnym samoukiem, któremu nikt nigdy nie powiedział, że ręce i palce układa się inaczej.

Podobnego nauczyciela miał Chico Marx, jeden z Braci Marx, którzy w latach 40. kręcili w Hollywood bardzo kasowe komedie. Te ich filmy to było brawurowe przejście pomiędzy kinem niemym a dźwiękowym. Chico Marx grał w tych filmach na pianinie i robił to bardzo zręcznie, a do tego bardzo śmiesznie. On też miał nauczyciela z felerem – oszustkę, która reklamowała się jako filharmonik wiedeński, a umiała grać tylko prawą ręką (lewą udawała, że gra) i tego nauczyła małego Chico. Po latach Chico nauczył się grać także lewą ręką, a nawet nogą, piętami oraz „z dyńki", ale już nigdy nie nauczył się grać „poprawnie", czyli klasycznie, bo… nie było mu to potrzebne – uzyskiwał lepszy efekt własnymi sposobami. Nasz pianista natchniony robi to samo – uzyskuje dowolny efekt własnymi sposobami.

Do tego momentu ta historia jest w zasadzie do uwierzenia (jeżeli ktoś mi nie wierzy, to traktuję to jako komplement – znaczy, że mam życie nie do wiary). Teraz jednak dorzucę coś, co spowoduje, że historyjka stanie się absolutnie nieprawdopodobna.

Nasz pianista natchniony na pierwszy rzut oka wygląda jak pianino – z powodu zębów. Nie wiem, czemu ich sobie nie naprawia. Może go nie stać na dentystę albo może nie są mu potrzebne wszystkie zęby po kolei i dlatego kilku kluczowych nie ma. Naprawdę nie wiem. Wiem za to, że pracuje zawodowo jako… klawisz. W języku amerykańskim ta gra słów nie istnieje – więzienny klawisz, gra na klawiszach – ale to nie zmienia faktu, że nasz Pianista Natchniony jest z zawodu klawiszem.

I taka to była historia. PRAWDZIWA. ©℗

eprasa.pl 254763f74e

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

PAWEŁ LISICKI „KTO FAŁSZUJE JEZUSA"
SAVERIO GAETA „DUSZE OFIARNE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~494~~ ZŁ

297,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 197 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 254763f74e

Odkryj nowości

navigator

lotosnavigator.pl

LOTOS

eprasa.pl 254763f74e